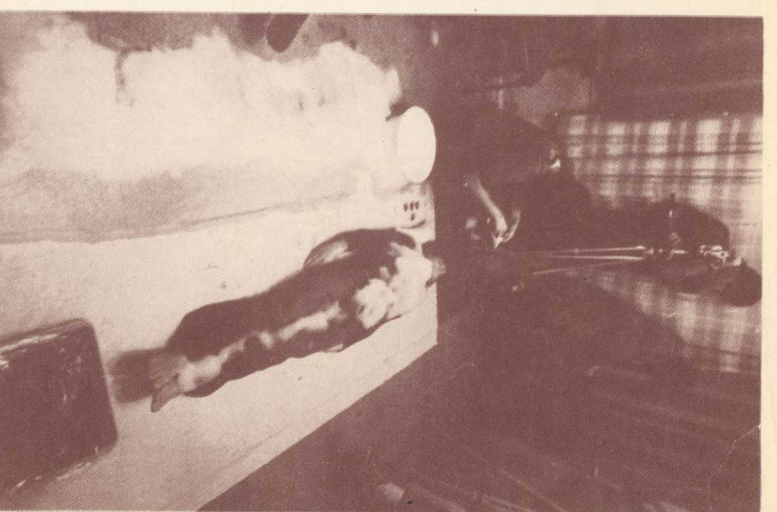
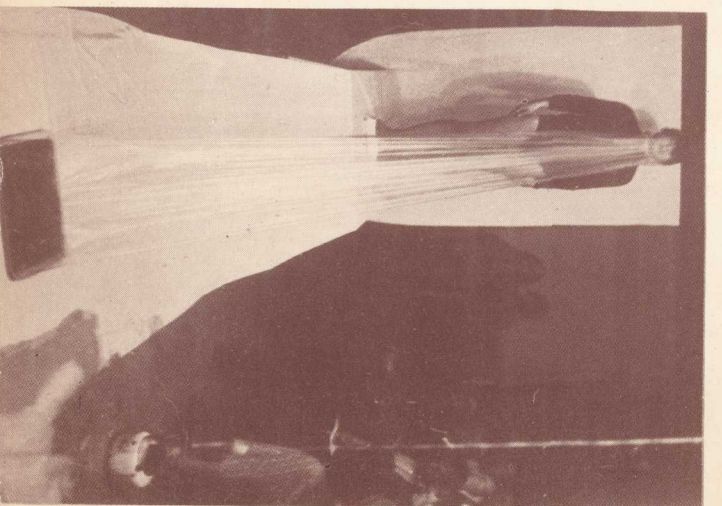
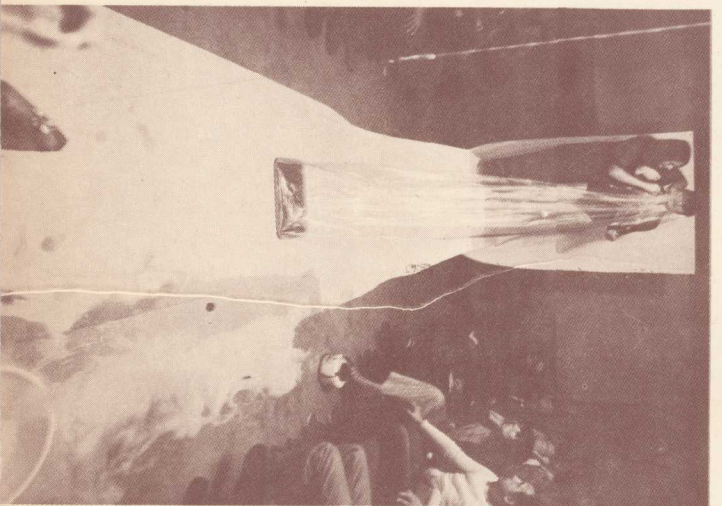
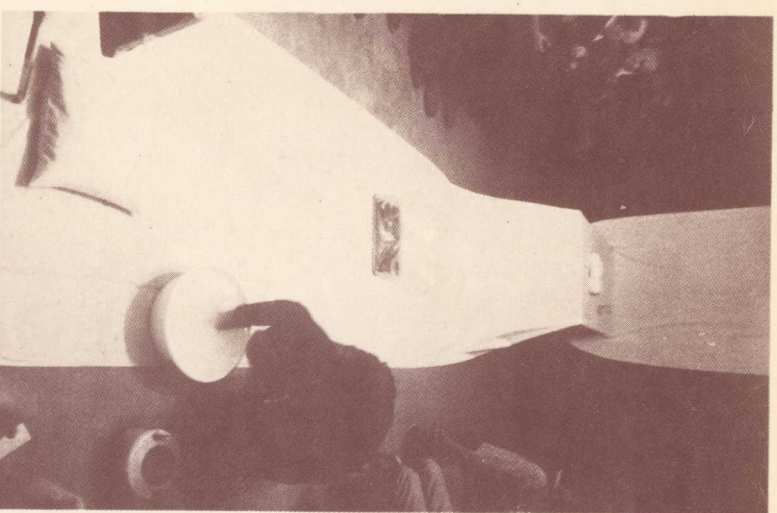
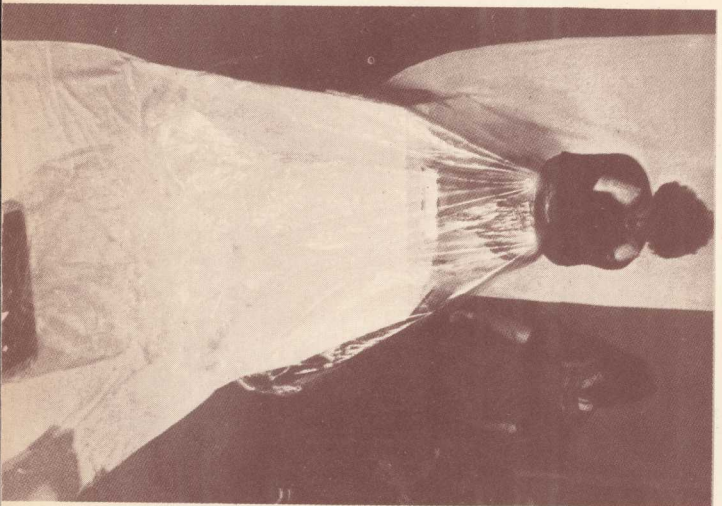
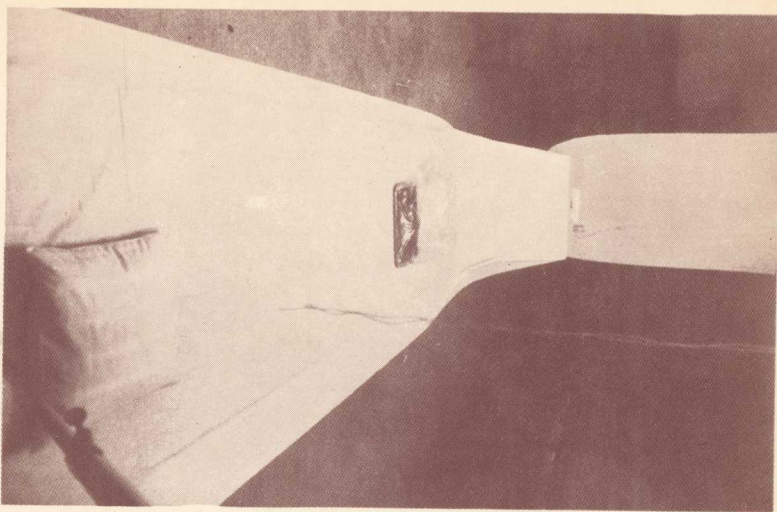
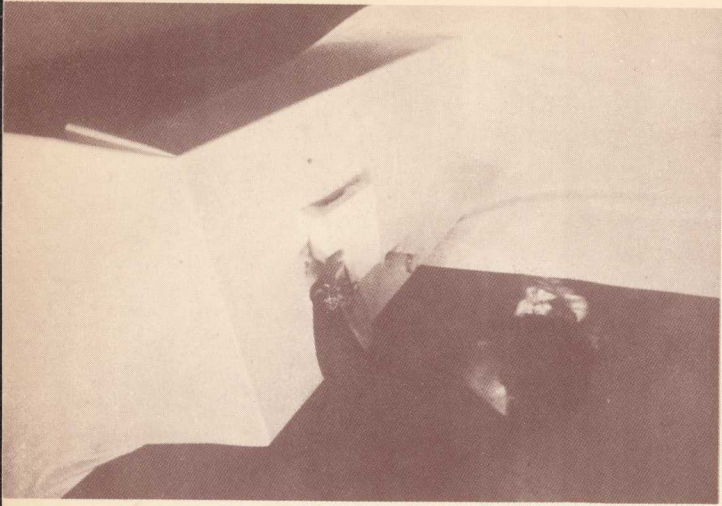


76. spec



morze i ziemia





morze i ziemia

KWARTALNIK
SPOŁECZNO-KULTURALNY

ROK III Nr 1

lipiec 1981

nr [2]

REDAKCJA:

Jan Bujnowski (Red. graficzny)
Jerzy Jurczyk
Zbigniew Kosiorowski (Red. naczelny)
Marian Kowalski (Sekretarz)
Kazimierz Kozłowski
Jerzy Pachlowski
Lidia Wójcik (Red. techniczny)

RSW „PRASA—KSIAŻKA—RUCH”
70-550 Szczecin, plac Hołdu Pruskiego 8

Adres Redakcji:
71-410 Szczecin, ul. Niedziałkowskiego 24
Tel. 23-00-51 lub 23-20-61 w. 254

Cena zł 40,—

Kolorowe zdjęcia i reprodukcje zamieszczone w niniejszym numerze finansowało Szczecińskie Towarzystwo Kultury.

S.Z. Graf. Zam. nr 0491/11.10/81/I. 10 000+25 G—2

Na okładce:

LESZEK ŻEBROWSKI — fragmenty rysunków areografem z cyklu „Lot nad kukulczym gniazdem”, nagroda za debiut im. Olega Bałakirewa na „Salonie Jesiennym” — Szczecin 80. Fot. Z. Ryngwelski (str. 1 i 4). KRZYSZTOF ZARĘBSKI — Strefy kontaktu (performance) „LINIA-OSIEKI 80”. Fot. R. Motkowicz (str. 2).

TERESA BUJNOWSKA — rysunki z cyklu „Projekcja”. JERZY FEDOROWICZ i LUDMIŁA POPIEL — „IN”. JAN DOBKOWSKI — ognisko. Fot. J. Bujnowski (str. 3).

W NUMERZE:

JERZY PACHŁOWSKI, Czym jest, czym winien być Szczecin w kulturze narodowej	1
TEODOR MOSTECKI, Przygotowanie do spektaklu .	3
STANISŁAW WIT WILIŃSKI, Modlitwa zmęczonego .	8
JANUSZ WACHOWICZ, W zgodzie z sumieniem . .	9
WOJCIECH BAJEROWICZ, Nasza ucieczka od wol- ności	12
STANISŁAW TELEGA, Pod urokiem „Modrookiego marzenia”	15
MAREK KOSZUR, A to morze właśnie	18
BOGDAN TWARDOCHLEB, Peru, Wenezuela	22
M. SALOMEA WIEŁOPOLSKA, Opowieść z Ekwa- doru	23
ZBIGNIEW KOSIOROWSKI, Jak woda, która szuka swej formy	27
TADEUSZ BIAŁECKI, Jak wysiedlano Niemców z Po- morza Zachodniego	32
JACEK WIŚNIEWSKI, Kipis	34
PIOTR FLUKS, Wiersze	39
ANNA STANKIEWICZ, Jacek Polaczek — wielość i różnorodność	40
ZBIGNIEW KOCZERGA, Wiersze	42
BOGDAN CHOCIANOWICZ, Przedwiośnie na froncie POP	43
JOANNA KULMOWA, Narodzona z protestem . . .	45
ARTUR DANIEL LISKOWACKI, Nikt nie kocha poety	48
STANISŁAW ZAJĄCZEK	52
ANDRZEJ K. WAŚKIEWICZ, Osobny i z tego wzajem- ny	53
STANISŁAW ZAJĄCZEK, Młoda poezja — problemy wydajności z hektara	56
JAN TUCZYŃSKI, Antologia marynistyki polskiej .	57
STANISŁAW TELEGA, Mała panorama rybackiego świata	59
HENRYK SZEGŁOWSKI, Na rachunek morza . . .	60
HALINA LIZIŃCZYK, Analizy, część II	61
MARCIN KORECKI, Liga Morska	32
Kronika	62—63
STANISŁAW ZAJĄCZEK, Z cyklu „Wersje”	64

CZYM JEST, CZYM WINIEN BYĆ SZCZECIN W KULTURZE NARODOWEJ?...

To pytanie nurtowało i nurtuje nie tylko humanistę powiązanego własnym losem ze Szczecinem. Nie może być przecież obojętne dla każdej polskiej wyobraźni, świadomej swego historycznego dziedzictwa, miasto ze słowiańskim rodowodem, sprzęgnięte z polską historią, zamieszkane obecnie przez prawie pół miliona Polaków, umiejscowione na morskich kresach Rzeczypospolitej. Położone bliżej trzech stolic europejskich, aniżeli Warszawy; przez wodę sąsiadujące z całym światem.

Charakterystycznym znamię kultury narodowej Polaków była zawsze jej policentralizacja obszarowa. W Polsce od wieków działało równolegle wiele centrów kultury, szczególnie na kresach. Wyznaczały one — swoją siłą — twórczą rolę kultury w życiu całości i części. Kultura narodowa w najtrudniejszych chwilach stawiała się zespalamym dobrem. Pozwalała przetrwać, ocaleć. Spleciona z dziedzictwem przeszłości uwierzytelniała osobowość i samostność narodu.

Czym jest, czym winien być Szczecin w kulturze narodowej?...

Budzą głęboki szacunek pierwsze szczecińskie lata polskiej rzeczywistości. Możliwość wznoszenia zrębów nowego życia. Otwieranie wielokierunkowych perspektyw, szczególnie interesujących na polach kultury.

Do Wrocławia, Gdańska ciągnęły, sterowane centralnie, tresty mózgów i twórczej wyobraźni. Wrocław dziedziczy po Lwowie wypracowane przez pokolenia dojrzałe instytucje kultury i nauki. Gdańsk otrzymał wielkie zaplecze nieprzerwanej w swym rytmie polskiej historii. Wprawdzie sztab naukowców z wileńskiego uniwersytetu im. Stefana Batorego osiadł nie w Gdańsku, i niestety nie w Szczecinie, ale w Toruniu. Nikt jednak nie kwestionował niezbędności powołania już w pierwszych dniach powojennej rzeczywistości polskiej, pośród gruzów starej pomorskiej stolicy Rzeczypospolitej, w sposób zorganizowany i planowany, uczelni akademickich. Niektóre z nich staną się fundamentem i integralną częścią Uniwersytetu Gdańskiego.

Prawie wszystko, co powstało w Szczecinie w pierwszych powojennych latach, rodziło się niejako oddolnie. Z żywiołowych inicjatyw i ambicji, które dyktowała wyobraźnia i odpowiedzialność formowana doświadczeniami wojny, w której mógł zginąć cały naród.

Tak powstawały pierwsze szczecińskie uczelnie akademickie. W ten sposób rodziły się inicjatywy instytucjonalnego budowania kultury polskiej w Szczecinie. Prawie wszystko na przekór mocnym barykadom lokalnego i stołecznego partykularyzmu i prowincjonalizmu, którego charakterystyczną cechą był i jest brak wyobraźni.

W zrujnowany przez wojnę, pomorski krajobraz morza i ziemi przybywali nie tylko ci, których koło historii wydziedziczyło z praw i obowiązków rodzinnego krajobrazu, ale także ci, których przyciągał Szczecin jako najbardziej wysunięte na zachód miasto polskie u ujścia prasłowiańskiej Odry i jako wielki port morski stwarzający możliwości odmiennego kształtowania swojego życia, aniżeli w miasteczku i mieście położonym w głębi lądu. Świeżo zakodowane, prawie u każdego Polaka, doświadczenie autentycznego wysiłku morskiego narodu, jakim była budowa Gdyni; wyrwanie się ze środowiskowych opłotków, lepszy zarobek, kontakt ze światem i szansa odkrywania go. Wraz z przybywającymi osiedlała się w Szczecinie bezwyściowa konieczność i odpowiedzialność obywatelska, chęć przeżycia świata i pragnienie doznania morza. Wydaje się, że te właśnie elementy od zarania tworzyły niepowtarzalny klimat polskiego Szczecina.

W obozie koncentracyjnym Gusen (Austria) przed wyzwoleniem w maju 1945 roku grupa więźniów Polaków, zorganizowana w komórce ruchu oporu, postanowiła osiedlić się po wojnie w Szczecinie. Byli wśród nich drukarze, zecerzy, introligatorzy. Jeszcze w obozie przygotowali projekt szczecińskiej placówki wydawniczej.

Kazimierz Kozłowski w swojej pracy doktorskiej „Kształtowanie się środowisk twórczych w Szczecinie (1945—1959)” pisze:

„Ta nieformalna grupa, po przyjeździe do Szczecina zajęła się poszukiwaniem maszyn drukarskich, papieru i lokalu. We wrześniu 1945 r. założyła ona spółdzielnię POLSKIE PISMO I KSIĄŻKA. Do wspomnianych założycieli Spółdzielni dotychczas osiedlający się w Szczecinie inni mieszkańcy chętni do pracy wydawniczo-poligraficznej. Powołano radę nadzorczą i zarząd. Rozwój spółdzielni był bardzo dynamiczny. Już na przełomie 1945—1946 roku działały: drukarnia, dział wydawnictw, agencja reklamowa, introligatornia, wytwórnia opakowań, a następnie księgarnia i wypożyczalnia książek.

Największą inicjatywą spółdzielni było pierwsze szczecińskie pismo — tygodnik społeczno-kulturalny, który wychodził w latach 1946—1949, i odegrał ważną rolę w rozwoju środowisk twórczych, a głównie literackiego.

W pierwszym numerze zespół redakcyjny określił zadania pisma w sposób następujący: „Pragniemy dać wszystkim mieszkańcom Pomorza Zachodniego pewne materiały dotyczące kultury, historii i życia polskiego na tych terenach (...) Jesteśmy pismem regionalnym, ale nie zaściankowym. Regionalność rozumiemy jako obowiązek budowy fachowości oraz jako sumienie tych wartości, które nasz kraj może wnieść i dostosować harmonijnie do problematyki i bogactwa życia ogólnopolskiego. Stąd nam nie będzie obce nic, co jest polskie i co Polski dotyczy...”

W celu pozyskania szerszego odbiorcy zmieniono dwukrotnie tytuł czasopisma. Od 15 listopada 1947 roku, (po zmianie kierownictwa redakcji) do tytułu SZCZECIN dodano w miejsce dotychczasowego podtytułu „Tygodnik Miasta Morskiego” nowy: „Tygodnik Pomorza Zachodniego”, a następnie jeszcze szerzej SZCZECIN — TYGODNIK WYBRZEŻA, a od 1 września 1948 r. usunięto z tytułu słowo „Szczecin” ustalając nazwę TYGODNIK WYBRZEŻA. Intencja zmian tytułu wiązała się ze sprawą objęcia zasięgiem oddziaływania pisma całego polskiego pasa nadmorskiego, a nawet innych miast z Polski centralnej.”

Po dramatycznej walce o istnienie TYGODNIKA WYBRZEŻA na mocy uchwały z dnia 15 kwietnia 1949 roku, bezsilnej już Rady Nadzorczej Wydawniczej Spółdzielni POLSKIE PISMO I KSIĄŻKA, która wyczerpała wszystkie możliwości obrony, szczecińskie pismo społeczno-kulturalne — TYGODNIK WYBRZEŻA — zostaje ostatecznie zlikwidowane. Od urzędywistnienia dalekowzrostnej, dającej szansę uczestniczenia w ogólnokrajowym życiu kulturalnym, do klęski budzącej smutne refleksje.

W pierwszych latach wielu rozpalonym głowom śnił się Szczecin nie tylko w charakterze niezbędnej bramy narodu na świat, kuźnicy przemysłu okrętowego, ale w odważnym marzeniu jako stolica Pomorza Zachodniego. „Matka miast pomorskich” miała się stawać polską „Florencją północy”. Tak to formułował wierny Szczecinowi pisarz Franciszek Gil.

Z rozgorączkowanego uporu powstawały pierwsze uczelnie, prasa, teatry, środowiska twórcze i wielka idea

Uniwersytetu Pomorza Zachodniego nie dająca spokoju po dziś dzień.

Nie liczy się wysiłek uprzątnięcia milionów metrów sześciennych gruzów. Nie przeszkadzają pustynne przestrzenie ruin od Pomorza po Skolwin. Liczy się Szczecin — port świata — nowoczesny przemysł okrętowy, rybołówstwo dalekomorskie. Tak samo ważne jest dojrzałe środowisko humanistyczne wykształcone w murach Uniwersytetu Pomorza Zachodniego i prężne środowisko twórcze. Szczecin chce być potrzebny polskiej kulturze. Chce stać się własnością, nie tylko materialną, wszystkich Polaków.

Pierwszy wojewoda szczeciński pułkownik Leonard Borkowicz ma wyobraźnię i świadomość tego, że bez literatury, sztuki i myśli humanistycznej nie ma oświeconego człowieka i narodu. Zamierza budować na tym kresowym skrawku silne oświecone państwo. Następnym prokonsulom delegowanym do rządzenia, w tej odległej od stolicy prowincji, zabraknie tej wyobraźni z polotem, dalekowzroczności i świadomości ogromnego znaczenia w życiu społecznym literatury, sztuki, myśli humanistycznej. Zamiast prokonsulów ćwiczących się w technice mądrego sprawowania władzy w nadgranicznej prowincji, przysyłano, nierzadko, Szczecinowi władze „w teczce”, żyłące na walizkach w oczekiwaniu na coś lepszego w centrali. Byli to najczęściej ludzie młodzi, bez ambicji i chęci zaznaczenia swojej osobowości w historii tego specyficznego miasta. Chociaż należy przyznać, że zdarzały się wyjątki. Trzeba było lat, żeby wreszcie zaczęli wyrastać z gleby szczecińskiej ludzie rozumiejący powszechnie prawa i obowiązki pomorskiego krajoobrazu, którym trzeba umieć podoląć na miarę swoich sił i talentu.

Pod mądrym, przyjaznym mecenatem wojewody Borkowicza rozrasta się kolonia pisarzy zwabionych tutaj egzotyką szczecińską i szczodrym gestem wojewody.

Początek lat pięćdziesiątych. Podporządkowanie kultury biurokratycznemu zarządzaniu. Zniszczony został tygodnik społeczno-kulturalny. Zostają zaprzepaszczone inicjatywy wydawnicze, gasną rojenia o uniwersytecie szczecińskim, umierają ambicje Szczecina jako prężnego ośrodka myśli humanistycznej w krwioobiegu kultury narodowej. Na martwej fali odboju uciekają pisarze do tradycyjnych ośrodków kultury, gdzie istnieje zaplecze wydawnicze, prasa literacka, dojrzałe ośrodki humanistyczne. W Szczecinie pozostają niedobitki, nieuleczalnie chorzy na to, co można by nazwać „szczecińską chorobą”.

To, co z takim uporem i mozolem budowano w pierwszych latach szczecińskich, bez wyobraźni niszczone w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych.

„Od sześciu lat Ziemia Pomorska, ogromny pas wybrzeża od Szczecina po Gdańsk, pozbawiona była pisma społeczno-kulturalnego, mogącego stanowić ważny czynnik w rozwoju humanistycznej myśli, pisma nie tylko rejestrującego, ale i kształtującego rozwój wszystkich dziedzin kultury (...)” — zwrócił się w maju 1956 roku do czytelników, w słowie wstępnym na łamach pierwszego numeru, redakcja nowego pisma — tygodnika *ZIEMIA I MORZE*.

Pismo obejmie swoim rzeczywistym zasięgiem i ściśle współpracą Gdańsk i Koszalin. Będzie miało etatowego przedstawiciela również w Poznaniu. Na łamach szczecińskiego tygodnika ukazać się znakomite nazwiska pisarzy i publicystów. W krótkim okresie wydawania *ZIEMI I MORZA* ożywią się środowiska twórcze i myśl humanistyczna w Szczecinie, *ZIEMIA I MORZE* pismo autentycznie integrujące całe Wybrzeże stanie się trybuną odzwierciedlającą najważniejsze sprawy dotyczące się w kraju, ze szczególnym uwzględnieniem najistotniejszych problemów społecznych i kulturalnych wybrzeża. Zainspiruje środowisko literackie pierwszą inicjatywą wydawania arkuszy poetyckich.

Przełomy dziejowe są dla kulturalnego Szczecina łaskawsze.

ZIEMIA I MORZE budzi ferment myśli. Znowu ożywa idea szczecińskiego uniwersytetu, który miałby uwzględniać w badaniach naukowych związki człowieka z morzem. Rodzi się także gorzka refleksja nie tylko o perspektywicznej konieczności budowy dojrzałego środowiska humanistycznego w Szczecinie, ale o zastraszającym braku inteligencji z wykształceniem humanistycznym na Pomorzu Zachodnim. Ostre stawianie pytań, jak wybrać z niepokojącej sytuacji. Znowu rodzą się dążenia, by w oparciu o nowoczesną bazę poligraficzną Szczecina, z której korzystają czołowe wydawnictwa w kraju, powołać wydawnictwo własne.

W lipcu 1957 roku po wydaniu 58 numerów tygodnika, wychodzące w Szczecinie pismo społeczno-kulturalne Wybrzeża *ZIEMIA I MORZE*, zostało zlikwidowane. Luki po *ZIEMI I MORZU* nie mógł wypełnić ani powołany popularny magazyn *7 GŁOS TYGODNIA*, ani niskonakładowy miesięcznik *SZCZECIN* wydawany głównie pod auspicjami Szczecińskiego Towarzystwa Naukowego, z inicjatywy środowiska historycznego.

W tym samym czasie, w trzykrotnie mniejszym Olsztynie, o bezspornie skromniejszym potencjale twórczym i humanistycznym, powołano wydawnictwo *POJEZIERZE*. Ciekawie prosperujące, jako oficyna wydawnicza i jako miesięcznik społeczno-kulturalny *WARMIA I MAZURY*, po dziś dzień.

Szczeciński miesięcznik społeczno-kulturalny *SPOJRZENIA*, o którego powołanie ostro i konsekwentnie dopominało się przede wszystkim środowisko literackie, wychodził najdłużej, bo pięć lat (1971—1975).

Szczecin był jednym z nielicznych ośrodków wojewódzkich, który nie posiadał własnego miesięcznika społeczno-kulturalnego, przyznano go więc w końcu i stolicy Pomorza Zachodniego.

Miesięcznik społeczno-kulturalny *SPOJRZENIA* dobrze spełnił rolę kulturotwórczą w życiu Pomorza Zachodniego. Został zniszczony, mimo całej akcji protestu, w ramach centralistycznych decyzji likwidacji pism społeczno-kulturalnych na Wybrzeżu: gdańskich *LITER*, koszalińskiego *POBRZEŻA* i jedynego pisma integrującego społeczność morską — *TYGODNIKA MORSKIEGO*. Wszystkie inne ośrodki w kraju ocaliły swój stan posiadania. Ucierpiało jedynie Wybrzeże mające szansę wzbogacenia kultury narodowej o niepowtarzalne pierwiastki.

Substytutem pisma społeczno-kulturalnego staje się czwartkowy dodatek kulturalny do *GŁOSU SZCZECIŃSKIEGO*, który po miesięczniku przejął tytuł *SPOJRZENIA*. Niestety nie mógł on zaspokoić potrzeb dojrzewających środowisk twórczych i humanistycznych regionu.

Znowu zaczyna się uparta walka o pismo społeczno-kulturalne dla Szczecina. Własnym sumptem, za wyrwane pieniądze, gdzie się da, z ogromnym społecznym wysiłkiem i nieustępliwością o szansę wydania każdego numeru — rodzi się w 1979 roku kwartalnik społeczno-kulturalny *MORZE I ZIEMIA*, który po dwóch latach wydawania na zasadzie społecznej inicjatywy, z dniem 1 stycznia 1981 roku zostaje przejęty oficjalnie przez RSW „Prasa—Książka—Ruch”.

W chwilach społecznych przełomów, w których decydentami stają się ludzie szerzej widzący i głębiej patrzący, rzadka przychylność dla Szczecina. Obok Krakowa, Szczecin dostaje swoją kulturotwórczą szansę. Wprawdzie kwartalnik, ale jednak...

Czym jest, czym winien być Szczecin w kulturze narodowej...? Jest to refleksja na dziś i na jutro, zawsze obecna dla tych myślących i czujących, którzy byli przed nami, którzy żyją wśród nas i dla tych, którzy przyjdą po nas. Szczecin jest potrzebny polskiej kulturze. Chce stawać się własnością, nie tylko materialną, wszystkich Polaków. Chce uczestniczyć w ogólnokrajowym życiu kulturalnym poprzez najpełniejsze ujawnianie na łamach *MORZA I ZIEMI* inicjatyw i niepowtarzalności dojrzewających środowisk twórczych i kształtującej się szczecińskiej myśli humanistycznej. Jeśli mam odwagę stwierdzać, że Szczecin jest potrzebny kulturze polskiej, to trzeba podkreślić z całą stanowczością, że potrzebna jest także solidarność Polski ze Szczecinem.

Ze szczecińskiej perspektywy minionych lat widać, jak niełatwo jest kształtować oblicze kulturalne, tworzyć jego nowy zapis, dorabiać się własnej osobowości, niepowtarzalnej samoistości w orbie polskiej tradycji kulturalnej. Doświadczenie historyczne pokazuje jak niezbędne jest zespolenie pracy, która stwarza wartości materialne, z pracą dającą wartości duchowe. Bez tych dwóch, spletających się z sobą, rodzajów pracy nie ma życia pełnowartościowego, rozwijającego osobowość i wrażliwość dojrzałego, a więc świadomego i odpowiedzialnego społeczeństwa. Tej idei chciałaby służyć najpełniej redakcja *MORZA I ZIEMI*. W tych znakach — symbolach, po raz pierwszy unaocznionych przez Franciszka Gila, otwiera się program ideowy pisma.

Krajobraz pomorski — morza i ziemi — ma szansę wzbogacenia kultury narodowej o nowe, niepowtarzalne wartości. Świadczy o tym dobitnie najnowsza historia Polaków.

TEODOR MOSTECKI

PRZYGOTOWANIE DO SPEKTAKLU

Litwiniec pozbiierał z biurka kartki maszynopisu, z półki znalazł biurka zdjął stronę tytułową oraz teczkę z napisem „Paśnik”. Janusz zachęcał go do wyostrzenia w dramacie pewnych spraw, problemów, więc przesiedział nad maszynopisem całą noc i teraz z uczuciem ulgi zawiązuje tasemki teczeki przeświadczony, że zrobił wszystko, co było w jego możliwości, by zadowolić wymagania reżysera.

Poszło o Człowieka odchodzącego na emeryturę. Zdaniem Janusza z osób dramatu właśnie on najpełniej zaistniał. Wie, co jest za nim i przed nim. Nic. Wielka pustka, kompletna jałowość. I właśnie taka sytuacja może sprzyjać do ukazania tych spraw, które powinny kształtować postawy ludzkie, ba, więcej: wpływać na wydarzenia społeczne i polityczne.

Litwiniec zauważył skromnie, że sztuka i literatura albo w ogóle nie mają wpływu na kształtowanie ludzkich postaw, na wydarzenia społeczne i polityczne, a jeśli już mają to znikomym.

Spojrzał na zegarek. Umówił się z Januszem na ranną godzinę, miał mu dostarczyć poprawiony maszynopis. Zatelefonował do teatru, potem do Ośrodka Radiowo-Telewizyjnego. Nie, ani w teatrze, ani w Ośrodku nie pojawił się. Nigdzie nie zostawił wiadomości. Może coś mu się przytrafiło? Jemu? Nie, na pewno nie. Prawdopodobnie gdzieś dobrze się zabawiał. Przecież to artysta.

Z pewnym trudem Janusz przypomniał sobie, gdzie pozostawił samochód. Nie chciał go trzymać w pobliżu willi Baniochy, bo jadąc do niego miał niejasne plany wobec jego córki, więc wołał zaparkować wóz w bocznej uliczce. Ale w której? Wszystkie podobne do siebie. Z takimi samymi willami nowobogackich, z identycznymi znakami drogowymi, lampami. Jak w „Paśniku”, gdy daczki zaczynają tworzyć osadę podobnych do siebie domeczków, między którymi płaczą się bohaterowie sztuki. „To są paśniki — będzie krzychał jeden z bohaterów — gdzie niebieskie ptaki do woli najeść się mogą, nic im nie zagraża. To są miejsca dla dzierzyny napelniającej bebeczy, do której żaden myśliwy nie może oddać strzału. „To są paśniki — powtórzył i usiłował sobie przypomnieć dalszą część kwestii, w której stwierdza się, że mieszkańcy (mieszkańcy? chyba coś nie tak!) tych paśników są zdemoralizowani, przyzwyczaja-

jeni do tego, że zwalnia się ich od troski o pożywienie dla siebie.

Zatrzymał się. Naprzeciw niego szła grupa przedszkolaków. Dzieci niosły karmniki i śpiewały:

*Aby z głodu nie zdychały,
trochę ziarna, trochę chleba
naszym ptaszkom dziś potrzeba,
by wesóło nam ćwierkały.*

Zatoczył się, wsparty o drzewo patrzył na przechodzących malców jak na korowód postaci przesuwający się przez jego sen.

— Dzieci! — usłyszał ostry głos wychowawczyni — proszę nie patrzeć w prawo, wszystkie dzieci patrzają w lewo. Adaś, która rączka jest lewa? No więc, w którą stronę kazała ci pani patrzeć?

Przestał dla nich istnieć.

A dzieci dalej szły przez sztukę Litwińca i śpiewały, lecz coraz ciszej, dopuszczając do głosu starszych.

W pokoju redakcyjnym „Głosu Pomorza” stopy gazet, maszynopisów, odbitek fotograficznych wywołują wrażenie bałaganu. Litwiniec podniósł ze stołu okolicznościowego zapisane ręcznie kartki papieru, poznał charakter pisma Bożeny, odczytał kilka pierwszych linijek. Ple-ple-ple. Jak dobrze, że zintegrowany naród, jak pięknie, że wszyscy, w ogóle każdy z nas wie, jak ładnie, iż w trosce o dobro społeczne, o najszczytniejsze ideały... Mówią, że robi dzięki tej stylistyce karierę. W całej redakcji nie ma drugiego pióra, które tak lekko wznosi czytelnika na wyżyny frazesów i sloganów. Studiowała razem z Litwińcem, podobnie jak i on miała ambicje literackie, już podczas studiów próbowała sił w dramacie. Teraz jako dziennikarka obsługuje wszystkie ważniejsze imprezy, w których uczestniczą funkcjonariusze partyjni i przedstawiciele administracji państwowej. Znajomość warsztatu dramatopisarza, umiejętność uteatralniania bardzo się jej w tej pracy przydała.

Wziął kilka innych kartek. Scenariusz manifestacji społeczeństwa. Proszę, a więc nie zrezygnowała z dramatopisarstwa! Wprowadza swych bohaterów na wielką scenę, większą niż ta, o której marzył Wyspiański.

GODZINA 11: zamknięcie dróg dojazdowych dla środków transportu. Gotowość kompanii honorowych wojska i młodzieży. Gotowość orkiestr i fanfarrzystów. Formowanie kolumn marszo-

wych. GODZINA 11.20: gotowość kolumn do wymarszu. GODZINA 11.30: sygnał zielonej rakiety z punktu dowodzenia. Rusza pierwsza kolumna z orkiestrą na czele. GODZINA 11.50: kolumna zatrzymuje się na wysokości trybuny. Za kolumną młodzież, zrzeszenia, stowarzyszenia, organizacje społeczne i polityczne. GODZINA 12.07: gotowość delegacji z kwiatami wokół trybuny, gotowość sztafety z pochodnią, z meldunkami. GODZINA 12.30: przyjazd pierwszej grupy gości. Entuzjastyczne okrzyki zgodnie ze szczegółowym scenariuszem w załączeniu.

Weszła Bożena, wysoka blondynka z włosami upiętymi w ciężki ogon. Uśmiechnęła się przepraszająco, spojrzała na kartki, które Litwiniec trzymał jeszcze w ręce.

— Nieaktualne. Nie przyjechał, odwołał przyjazd. Ale nie wyrzucam, bo kiedyś na pewno się jeszcze przyda. — Usiadła obok. — Wybacz, że musiałeś czekać. Naczelnicy zwołał zespół. Przyszliśmy, ledwo powitał, gdy wezwano go do Komitetu. Podejrzewamy, że coś się dzieje. Ale nie mamy pojęcia co? Może słuchałeś wczoraj radiostacji zachodnich? — Nie, Litwiniec nie miał czasu. — Rysiu — ściszyła głos. — Kilka dni temu otrzymałam do lektury maszynopis twej sztuki.

— Kto ci go dał?

— Obojętnie od kogo bym go miała, napisałabym o sztuce to, co naprawdę o niej myślę. — Znamy się nie od dziś. Dlatego chyba nie zrozumiesz mnie źle, jeśli poradzę ci, abyś wycofał maszynopis z teatru. Jak najwcześniej.

— Cenzura zwolniła — zauważył Litwiniec.

— Oni też popełniają omyłki — znów ciepły, serdeczny uśmiech Bożeny. — Może czytałaś nieuważnie? Albo nie skojarzyli sobie sytuacji z twego dramatu z konkretnymi sytuacjami w naszym mieście, postaci z „Paśnika” z pewnymi ludźmi na wysokich stanowiskach?

Litwiniec nie poznawał Bożeny. Patrzył na nią, widział dawną piękną Bożenę, może jeszcze piękniejszą niż pięć lat temu, ale miał takie wrażenie, jakby rozmawiał z obcą osobą, nie zdającą sobie sprawy z tego, czym jest literatura, jakim celem służy.

Stracił ochotę na dalszą rozmowę.

Spieszył się.

— Chyba mnie niewłaściwie zrozumiałaś — zmartwiła się. — Jestem twoją przyjaciółką. Chcę ci pomóc.

— Dziękuję ci za intencje.

— A więc nie wycofasz maszynopisu?

— Nie.

— Zrobisz głupstwo. Czuje, że coś się dzieje niedobrego. I w tej sytuacji, gdy wszyscy będą wyczuleni na opozycję, na wrogów ustroju, ty proponujesz sztukę, w której bardzo krytycznie mówisz o partii, jej działaczach.

— Nie o wszystkich, a tylko o tych, którym partia jest potrzebna do zrobienia kariery, do zdobycia w społeczeństwie przywilejów.

— Jesteś naiwny. Przecież gdy ktoś usłyszy słowo partia, to nie będzie się zastanawiał nad tym czy masz na myśli karierowiczą, czy porządnego działacza. Przeciwny widz ma tendencje do uogólniania.

— Znam tę tezę. Innymi słowy chcesz powiedzieć, że przeciwny odbiorca sztuki w teatrze to ciołek! — Wybuchnął. — Może mi jeszcze powiesz, gdzie są ludzie mądrzy? Jakimi środkami dociera się do nich? Audycjami radiowymi? Dziennikami telewizyjnymi? Referatami przedrukowywanymi w gazetach.

— Nie irytuj się, porozmawiajmy spokojnie — spróbowała go udobruchać. — Przecież wiesz, z kim rozmawiasz, jakie mam poglądy.

Nie, nie wiedział i nie był ich ciekaw.

W jeżdżając w ul. Energetyków, o każdej porze dnia ruchliwą, stale patrolowaną przez służbę drogową, Janusz poczuł się niepokojnie. Bolała go głowa, w oczach miał mroczki. Zwolnił, ostrożnie włókł się za innymi samochodami.

Zaparkował samochód przed teatrem i starając się nie dać poznać po sobie, że ledwo powłóczy nogami, wbiegł na schody, przebiegł długi korytarz, zamasyścił otworzył drzwi do sekretariatu.

— Już chciałam zawiadomić milicję o pana zaginięciu — powitała go chłodno panna Basia, słodka Basienka.

— Mają poważniejsze problemy — odpowiedział szybko, bez zastanowienia.

Popatrzyła na niego uważnie.

— Więc i pan słyszał?

Nie zwrócił na to pytanie uwagi, zerknął na kartkę kalendarza, w którym zwykle panna Basia, droga panna Basia odnotowywała dla każdego wiadomości. Telefon z redakcji. A, to może być coś. Wykreślił numer. No, nareszcie się odnalazł! Od trzech dni go poszukuje. Czy ma coś pilnego do zakomunikowania? A po co by go szukała? Oczywiście. Po przyjacielsku radzi, by przerwać próby nad „Paśnikiem”. Pod byle pretekstem. Natychmiast! Niestety, to rozmowa nie na telefon. Ale niech wierzy: „Paśnik” trzeba wyciszyć. Niezwłocznie. Można przez niego wiele stracić. A zyskać na pewno nic.

Do diabła! Co się dzieje?

Zdzwonimy się jeszcze, pa!

Panna Basia powiedziała o Litwińcu czekającym w bufecie...

A niech go!

i o telefonie od brata, Wiktora Marka...

O, już przypłynął? Będzie picie!

i o telefonie od prezesa Baniochy.

A ten czego chce?

Wziął z biurka maszynopis sztuki Litwińca i zszedł do bufetu. Litwiniec czekał na usprawiedliwienie ze strony Marka za spóźnienie, nie uczynił tego, przeciwnie, nie witając się, otworzył maszynopis na dwudziestej pierwszej stronie. — Co z tym zrobić? — spytał. — Całą noc nad tą stroną przesiadziałem, ale nie potrafię sobie z nią poradzić, więc może ty? — popatrzył na Litwińca ostro, badawczo. — Nie przeczę. Tak mogło być. Na pewno nie jeden naczelny wybudował dachę z kradzionych materiałów. Nie jeden obiecał swym pracownikom złote krzyże, pomoc w wybudowaniu się. I nie jeden, gdy miał kłopoty z podwładnymi, krzyczał, że nie przyszedł z ulicy, za nim stoi autorytet partii, władzy. I co z tego? Z wykrzykników nie powstaje literatura. Nie można na nich poprzestawać. Te twoje obywatelskie emocje musisz przerobić na literaturę, na piękną literaturę. Dopiero wówczas będzie można myśleć o daniu jej w ręce aktorom. A teraz to jest publicystyka. Donosi na naszą rzeczywistość. Stary, ja też jestem za tym, by ją zmienić, ale nie zapominaj, że literatura jest czymś więcej niż donosem wrażliwego na sprawiedliwość obywatela naszego kraju. Za wiele w twoim dramacie żółci. Za wiele. A za mało literatury.

Z dwunastego piętra Ośrodka Radio-wo-Telewizyjnego widok na miasto jest rozległy. Okna pokoju Monata wychodzą na zieloną dzielnicę Pogodno i na szare śródmieście. Nad dachami kilku zakładów pracy powiewają białoczerwone sztandary.

Monat wrócił do biurka. Czyste kartki wciąż jeszcze czekały na treść. Uplywa minuta za minutą, godzina za godziną w nasłuchiowaniu wieści z miasta, wiadomości radia warszawskiego i londyńskiego, w oczekiwaniu na telefon od szefa, z cenzury, z komitetu. Czas płynie nieubłaganie, a nikt nie jest w stanie podjąć decyzji, żadnych decyzji. Argumenty się nie liczą, żadne. Zresztą wysuwano je dość niechętnie, prywatnie. Czekano na oficjalne stanowisko, na wytyczne czego się trzymać, co wolno, a co nie.

Z naiwną szczerością przyznawano się do dezorientacji. Nic z tego nie rozumie, mówiono. Do czego to zmierzają? Czym to grozi? — pytano. Wieloletnie przyzwyczajenia do życia według scenariusza opracowanego gdzieś tam wysoko, u władz, teraz skazywały ludzi na podejmowanie samodzielnych decyzji podobnie jak nieumiejących pływać rzucanie na głęboką wodę.

Młyn pytań, kołowrót tych samych wątpliwości.

Nerwy.

W całym wieżowcu, od parteru do ostatniego piętra przekonanie, że społeczeństwu należy coś powiedzieć. Napisy w bramach zakładów pracy, sztandary, ulotki — to wszystko istnieje, choćby milczenie radia, telewizji, prasy było jak najgłębsze. Powiedzieć o tym, ale co? Pokazać, ale jak? I czy wolno? Nie, nie wolno!

W partyjnym dzienniku z środy 20 sierpnia tylko tytuły gazety oraz informacja BATALIA O CHLEB 1980

mają kolor czerwony, reszta — czarny. A więc w czerni tonie PAP-owska wiadomość o sytuacji na Wybrzeżu, o Plenum KW PZPR w Szczecinie, o powołaniu komisji rządowej do rozpatrzenia postulatów strajkujących, felieton redakcyjny wzywający do zastanowienia się i wieść o tragicznej katastrofie kolejowej w pobliżu Torunia.

Ale czy w tych tytułach i w wyrazach składających się na owe artykuły jest prawda? Jaka? Komu będzie służyć? Kto ma rację, a kto jej nie ma?

Kilka minut później Monat otrzymał wiadomość, że Kronika tv poprzestanie na PAP-owskiej informacji o strajkach, resztę czasu należy wypełnić informacjami kulturalnymi, rozmową o trwającej wystawie malarskiej albo recenzją książki.

Do wywiadu na temat wystawy malarskiej odpowiedni byłby Aluś, tym bardziej że znał kilka ciekawostek o „Portrecie” Jacka Gulczyńskiego, nagrodzonego niedawno na wystawie w Zamku przez wojewodę leszczyńskiego. Niestety, Aluś wybrał się na grzybobranie. Zadzwoił do kilku literatów z propozycją wzięcia udziału w rozmowie o kulturze przed inauguracją roku kulturalnego, która miała się odbyć na początku września. Godnie odmówili, dając do zrozumienia, że są ważniejsze w tej chwili sprawy. Również recenzenci, zwykle goniący za każdym groszem, nie zgodzili się przyjść do telewizyjnego studia.

Zadzwoił do Bożeny. Ucieszyła się, przyjęła propozycję. — Wiesz — mówiła — wstyd się przyznać, bo na pewno z mojej strony to próżność, ale lubię występować przed kamerą telewizyjną. Zrobię ci recenzję książki Kuby Jaworskiego.

— Zgoda — ucieszył się Monat. — To jest dobra, doskonała propozycja. Coś neutralnego. I aktualnego.

Odłożył słuchawkę na widelki i bezwiednie zatarł ręce. Będzie program. Temat uzasadniony, bo książka dopiero co się ukazała, i na pewno nikomu się nim nie narazi.

Litwiniec przeleciał wzrokiem raz jeszcze scenę w dacy Naczelnego. Czy można z niej coś ująć? Wyciszyć? Oczywiście, można nawet usunąć. Całą scenę. To najprostsze i najuczciwsze. Niech sobie istnieją takie kreatury jak Naczelny. Niech gwałcą praworządność, skrzykują się w coraz większe kliki, pisarz nie musi o tym wiedzieć, literatura nie jest donosem na rzeczywistość!

Odsunął z niechęcią teczkę z maszynopisem, wstał, włączył radio. Moskwa. Agencja TASS donosi z ośrodka kierowania lotem, że załoga orbitalnego zespołu naukowo-badawczego „Salut-6” — „Sojuz-37” kontynuuje badania zasobów naturalnych i środowiska. Warszawa. Wczoraj na miejsce katastrofy kolejowej koło Torunia przybyli I sekretarz KC PZPR Edward Gierek i prezes Rady Ministrów Edward Babiuch. Warszawa. Od kilku dni mają miejsce zakłócenia lub przerwy w pracy portów i stoczn, przede wszystkim w Gdańsku i Gdyni, a także w Szczecinie. Ich załogi wysuwają postulaty dotyczące głównie płac i cen. Rzecz w tym, że stopień uwzględniania tych, w zasadzie słusznych, postulatów będzie

zależał od możliwości, a te z kolei limitowane są stanem gospodarki. Wywód jest prosty: każda godzina i dzień zakłóceń w produkcji utrudniają możliwość zwiększenia płac, zaopatrzenia rynku, poprawy warunków socjalnych.

U drzwi wejściowych zadzwieczał dzwonek. Ściszył radio, przeszedł do przedpokoju, otworzył drzwi.

Wizyta Karola zaskoczyła go. Wielu gości mógł się spodziewać, ale nie jego. Ten chłopak, który chyba na przekór ojcu został robotnikiem w stoczni, nie ukrywał swej niechęci nie tylko do ojca — artysty, ale w ogóle do wszystkich artystów, w tym także i do Litwinca. Niewiele mieli okazji do dyskutowania ze sobą, wystarczyła jedna czy dwie, by mogli stwierdzić, że nic ich nie łączy, wszystko dzieli.

Poprosił do pokoju, przyjrzał się jego twarzy.

— Wyglądasz na zmęczonego.

— Do wypoczynku nie mamy najlepszych warunków — stwierdził cierpko gość.

— Gdzie nie macie? — nie zrozumiał Litwiniec.

— W stoczni.

— Idziesz stamtąd? — Raz jeszcze przyjrzał się gościowi. — Jesteś błądy. Stało się coś?

— Mam przepustkę na dwa dni. Dawałem krew dla ofiar katastrofy kolejowej. — Zrobił krótką pauzę. — Wiele jej biorą. Może ma być ona nie tylko dla tamtych?

— Co ty opowiadasz? — Litwiniec odezwał się chyba tylko po to, aby usłyszeć własny głos, spokojny, niby odzwierciedlający stan jego myśli nie dopuszczający do możliwości powstania narodowej tragedii, a jednak drażonej

przez robaka niepewności. Tyle wydarzeń nieprawdopodobnych wokół! — Co ty opowiadasz — powtarza ciszej, nie ma odwagi patrzeć na Karola, by tamten nie wyczytał w spojrzeniu tych uczuć, jakich Litwiniec nawet nazwać nie potrafi: podniecenie i strach, nadzieja wielkich wydarzeń i poddawanie w wątpliwości ich sensu. A przede wszystkim ciekawość, ciekawość dalszego losu ludzi wprzęgniętych w te wydarzenia, ciekawość ludzka, artystyczna.

Przygotowano już krew!

— Ze szpitali wypisują tych, którym pozwala na to stan zdrowia.

Gotowość szpitali!

— Z miejskiego więzienia przewieziono aresztowanych do innych więzień. Będą aresztowania!

— Sądź się, że dojdzie do rozlewu krwi?

Pytanie utyka w gardle, Litwiniec chrząka, irytuje go własny głos, który zdradza emocje człowieka starszego, bardziej doświadczonego, a jednak w tej konkretnej sytuacji mniej wtajemniczonego.

— Nie opuścimy stoczni. I pilnujemy w niej porządku, by nikt nie musiał wchodzić z zewnątrz i dawać nam lekcje, jak należy dbać o dobro społeczne — mówił Karol. — Będziemy tam tak długo, aż ustąpią, aż wysłuchają nas do końca. Nas stać na cierpliwość, ale czy ich także?

Litwiniec nie umiał rozmawiać na ten temat. Najpierw zaskoczyła go obecność Karola, potem jego wiedza o tym, co się dzieje w więzieniu, w szpitalu, gdy on — poprawia maszynopis „Paśnika”, słucha wiadomości radiowych i nic nie wie!

— Zjesz coś? — spytał Karol.

— Pojadę do domu, zjem, odpocznę — mówił Karol. — Ale przedtem musiałem wstąpić do pana.

Litwiniec starał się odgadnąć, czego może chcieć od niego Karol. Pieniędzy? Żywności dla kolegów? Tymczasem tamten wyciągnął z kieszeni złożone we czworo kartki papieru i rozłożył je na biurku.

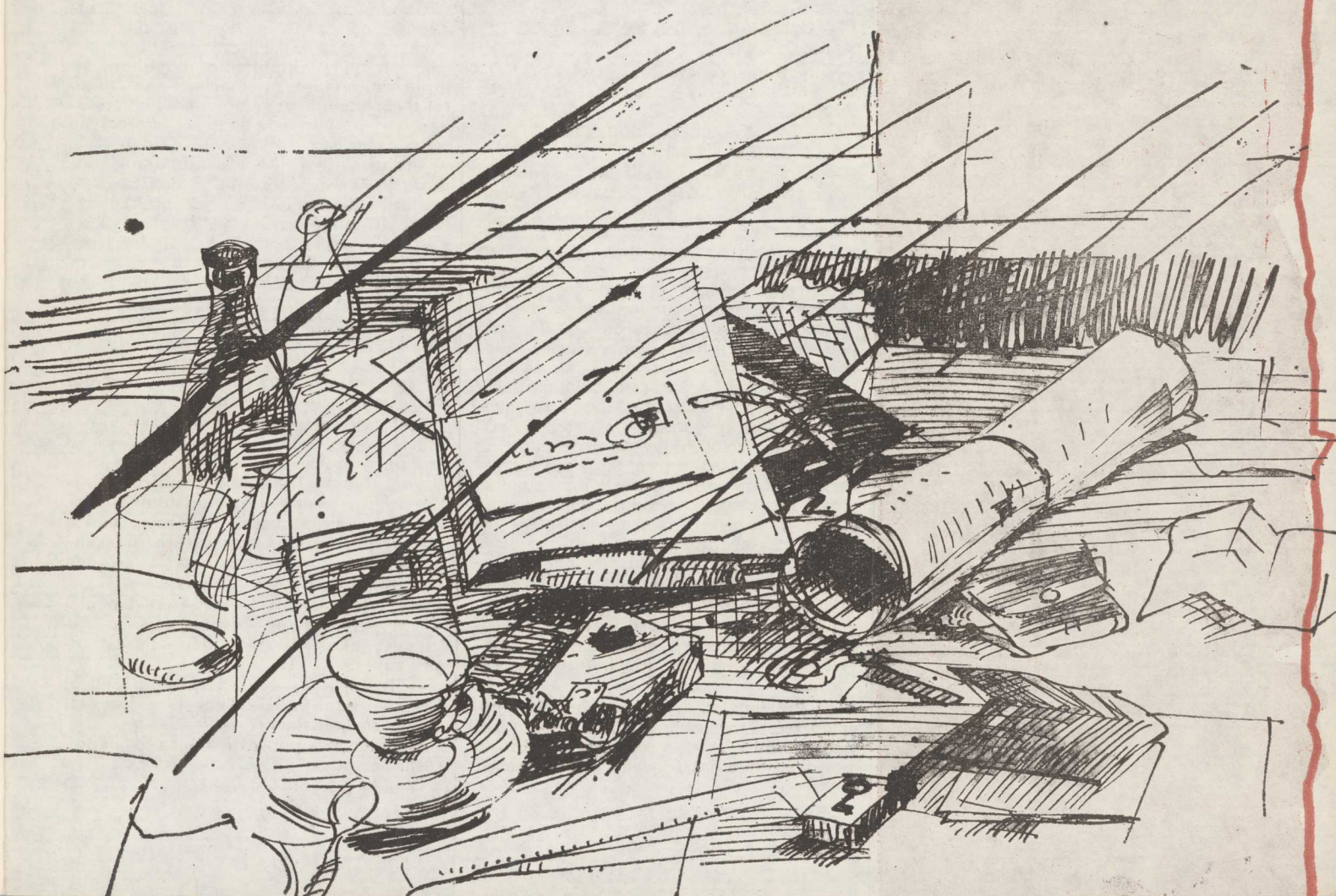
— Co to takiego?

— Nasze postulaty. I wiersze jakie tam, za bramą, piszą ludzie — wyjaśnił Karol. — Myślę, że pana jako pisarza zainteresuje ten materiał.

— Wiele tych postulatów — zauważył Litwiniec. — Myślałem, że walczyście o podwyżkę pensji.

— Pan tego nie rozumie. Przynajmniej teraz. Ta walka o podwyżkę płac wcale nie jest walką tylko o podwyżkę płac. Ma ona wreszcie przekonać nasz rząd, że pieniądź musi mieć swą stałą wartość, że zarobionej przez nas złotówki nie powinniśmy się wstydzić. Że można za nią dostać coś zjadliwego. Chcemy — ciągnął spokojnie dalej — zmusić rząd nie tyle do ustępstw wobec nas, ile do reformy gospodarczej, bez której nie ma przyszłości naszej ojczyzny.

Litwiniec wziął do rąk przyniesione przez Karola kartki papieru, szybko przeczytał postulaty, dziwić się, że jest ich tak dużo i że nie dotyczą tylko podwyżek pensji dla robotników. Wstydził się przed tym chłopcem swej niewiedzy. Kiedy przeczytał o żądaniu ograniczenia działania cenzury w środkach masowego przekazu, w wydawnictwach, poczuł się tak głupio, że z obawy, by Karol nie wyczytał z jego twarzy zażenowania, postanowił żartem



odciąć się choć na chwilę od treści zawartych w robotniczych postulatach.

— Powinieneś wiedzieć, że żądanie pisze się przez „ż” — powiedział. Karol uśmiechnął się.

— Zauważyłem ten błąd. Specjalnie nie poprawiałem. Może te i inne błędy popełnione przez robotników skłonią naszą inteligencję do wyjścia ze swych przytulnych mieszkań? Może dołączą do robotników, popra ich? Przecież walczą nie tylko o swoje sprawy.

Litwiniec poczuł niechęć do tego młodego człowieka, który przyszedł z poleceniem, co powinien w obecnej sytuacji zrobić przedstawiciel inteligencji. Nie miał jednak odwagi polemizować z nim, tym bardziej, że musiał mu w głębi duszy przyznać rację.

Przeszedł wzdłuż regalu z książkami, poprawił kilka z nich, popatrzył na tytuły wydrukowane na grzbietach: Conrad „Zwycięstwo”, A. Saint-Exupéry „Nocny lot”. I S. Żeromskiego „Przedwiośnie”; dawno do tej książki, o rządności państwowej w Polsce, nie zaglądał.

Spojrzał na Karola, szukając w nim podobieństwa z Cezarym Baryką. Chyba ten sam wiek? I co jeszcze? Może ta sama młodość i niecierpliwość przeciw społecznemu paraliżowi? I niedojrzałość w rozumieniu mechanizmów społecznych, niedojrzałość pchająca do żarliwych manifestacji radykała, do buntu?

Czy historia raz jeszcze chce powtórzyć tragizm niemożności porozumienia się pokoleń w sprawie bytu narodowego?

Litwiniec podeszedł do aparatu telefonicznego, wykreślił numer do sekretariatu oddziału Związku Literatów Polskich.

— Panno Kasiu, proszę na godzinę szesnastą zwołać nadzwyczajne zebranie — polecił. — Za ewentualne konsekwencje biorę na siebie odpowiedzialność. Proszę każdemu mówić, że to z mojego polecenia.

— Komitet zawiadomić?

— Nie.

Odłożył słuchawkę.

Litwiniec zaczął się niecierpliwić. Minęło już trzydzieści minut od zapowiedzianej godziny spotkania w oddziale pisarzy, a jeszcze żaden z kolegów nie zjawił się. Zważył, czy sekretarka zdążyła wszystkich zawiadomić. Zapewniła, że tylko do trzech nie dozwoniono, ale wysłała do nich telegramy. Litwiniec czekał więc dalej, smętnie patrząc na spadające z drzew kropki deszczu, na unoszące się na kalużach wody liście.

Kilka minut przed siedemnastą do siedziby związku pisarzy wszedł Tomala, autor „Na między zielonej”, książki przynależnej do literatury nurtu chłopskiego, o której Bożena pisała, że „słowa wzięły górę nad myślą, co uchwytne jest w nadmiarze słów, w manifestacji antyliterackości, odwoływaniu się do ko'okwializmów”.

— Czy wiesz, która godzina? — spytał go z irytacją w głosie Litwiniec.

— Stary, nie wyobrażasz sobie, jak trudno się dostać z Pomorza. Nie nie jeździ. Ani autobusy, ani tramwaje! — usprawiedliwiał się. Jeszcze gorącą wiadomość przyniósł Namotko, autor powieści fantastyczno-naukowych powsta-

łych na fali zainteresowań przyszłością Ziemi i jej mieszkańców.

— Mają przestać kursować pociągi! Zjawił się wysoki, przystojny, w złotym sweterku Ber, krytyk imponujący historyczno-socjologicznymi kryteriami ocen dzieł literackich.

— Panowie, co o tym wszystkim myślicie? — zagadnął od progu. — Przecież to anarchia! — błysnął złotym zębem. — To skandal! Gdzie jest władza? Czy my w ogóle mamy jeszcze władzę? Żadna władza nie pozwoliłaby sobie na coś podobnego. Ale u nas wszystko jest możliwe. Nawet samopalenie całego narodu!

Przed willą podjechał Fiatem 125p Głaz. Wszedł skupiony, z papierosem w ustach.

— Czy wiecie, ile oni chcą dostawać miesięcznie? — spytał myśląc o strajkujących stoczniovcach. — W głowie się im przewraca! Ja na książkę muszę pracować co najmniej rok i dostanę czterdzieści tysięcy, a on pracuje na to trzy, cztery miesiące! Żle się dzieje w państwie duńskim!

Litwiniec otworzył zebranie krótkim wyjaśnieniem, dlaczego postanowił je zwołać.

— Według mnie — przerwał mu Głaz — zebranie zwołałeś za wcześnie, o kilka dni za wcześnie, bo nikt z nas nie wie, co o tych wydarzeniach myśleć, kto za nimi stoi. Ale skoro już zeszliśmy się, to pogadajmy sobie.

— Zwołałem zebranie nie tylko po to, byśmy sobie pogadali, ale i podyskutowali nad rezolucją, jaką przygotowałem — wyjaśnił Litwiniec.

Kosikowa, poetka, wyciągnęła z czarnej torebki notes i długopis. Karpiewski, marynista, poprosił sekretarkę o jeszcze jedną herbatę.

— Czy można odczytać? — spytał Litwiniec.

Nikt nie sprzeciwił się, więc Litwiniec odczytał przygotowany tekst rezolucji.

Głuche milczenie, jakie zapadło potem, przerwał Tomala.

— Już dziś — powiedział — powieściopisarz nie jest w stanie ogarnąć problemów kraju, w którym żyje, kontynentu, świata. Z roku na rok trudność ta będzie wzrastać. Nawet ten pisarz, który urodził się na wsi, a wykształcenie zdobył w mieście, po powrocie na wieś, niekoniecznie będzie się czuł ze wsią związany, a styl życia, jaki przyjmie, nie będzie musiał mieć wiele wspólnego z przynależnością klasową, ani wiejską ani miejską. Współczesny pisarz często staje bezradny wobec wielości sposobów życia, wobec odkrywania wciąż nowego patrzenia na świat. Owa bezradność mści się na pisarzu, który dla określenia nowych treści nie zawsze znajduje odpowiednie słowo i w stare formy uśiłuje wpełnić świeże doświadczenia. I to mnie męczy. O tym chcę rozmawiać z kolegami w związku, który jest związkiem twórczym, a nie politycznym.

— Do rzeczy — przerwał mu Litwiniec. — Popierasz rezolucję czy nie? Tomala spojrzał niechętnie na Litwinca.

— Powiedziałem to, co chciałem powiedzieć. I nic więcej. Tak proszę zaopiniować — zwrócił się do Piórki beżmyślnie wpatrującego się w prawie

czystą stronę książki protokołów. — A twego pytania — zwrócił się z kolei do Litwinca — nie słyszałem.

Ber założył nogę na nogę, błysnął złotym zębem.

— Chciałem nawiązać do wypowiedzi Tomali, która mi się wydaje bardzo na temat, bardziej niż przypuszcza Litwiniec — powiedział. — Godzi się dziś, właśnie dziś przypomnieć, że egzystujemy w epoce przejściowej, żyjemy w przededniu olbrzymiego tempa przyspieszenia życia, w epoce rzeczy nie-trwałych, wśród produktów z wciąż nowymi etykietkami, zaszokowani różnorodnością wyboru stylów życia. Brak stałego systemu wartości, dysonanse estetyczne i ideowe, wieczna polityczna niepewność co do losów świata nie mogą sprzyjać artyście, który w tym wszystkim nie potrafi dokonać rozsądnego wyboru. Uważam, że literatura powinna się rozwijać pod znakiem wiecznych prowokacji artystycznych, a od tego, co traci politykę, zdecydowanie się odciąć. Historia nas uczy, że pisarze byli złymi politykami!

Litwiniec przeciął ręką powietrze.

— Panowie — upomniał — trzymajmy się tematu, wypowiadajmy się za albo przeciw rezolucji.

Namotko obruszył się.

— Nie przerywać dyskutantom, niech gadają do końca. Wywód Bera bardzo mnie zaciękał.

— Dziękuję, skończyłem — powiedział Ber.

Karpiewski przyniósł z kuchni kolejną szklankę herbaty, osłodził trzema łyżeczkami cukru, zamieszał głośno, westchnął ciężko.

— Mój Boże, nie jest łatwo dyskutować na tematy podjęte przez Ryśka — stwierdził ze smutkiem. — Wiele sformułowań w tej rezolucji jest aktualnych od lat. No cóż, co pięć lat zjazd, a co dziesięć kryzys. Kilka miesięcy temu w komitecie mówiłem, że mnie jako pisarza martwi tak samo fakt opóźnienia w budownictwie mieszkaniowym jak i zaległe z ubiegłego roku czterysta tytułów wydawniczych, w takim samym stopniu niepokoją niedostatki w zaopatrzeniu w podstawowe artykuły konsumpcyjne jak brak encyklopedii, podręczników, literatury klasycznej i współczesnej. A jeśli tej troski o książkę dostępną nie wszyscy rozumieją i nie podziela — to tylko dowodzi, że kulturę czytelniczą należy poddać większej ochronie, bo prawdziwa kultura powstająca na pniu piśmiennictwa została już zagrożona przez jej surogaty. Nieraz przyjemne, lecz dla kultury niewiele znaczące.

Jest taki obraz Breughla — przypominał — na którym śmierci Ikara w morzu, oprócz artysty, nikt nie dostrzegł. Obraz ten stanowi najpiękniejszy hołd złożony tym ludziom o niezwykłej wrażliwości, którzy widzą więcej niż inni, którzy często przeczuwają to niebezpieczeństwo, z którego inni nie zdają sobie sprawy.

— Święte słowa — mruknął Tomala. — Myśmy dawno przeczuwali tę sytuację, jaka powstała dziś. Przestrzegaliśmy.

— Bzdura! — błysnął złotym zębem Ber. — Kto przed czym przestrzegał? Gdzie są te książki?

Karpiewski poprosił Głaza o papierosa.

— Jeszcze nie skończyłem — upomniał się marynista o prawo do głosu. — Chcę powiedzieć, że w książkach jest historia i mądrość narodu. Nic więc dziwnego, że dla wrogów narodu zawsze stanowiły one wielkie niebezpieczeństwo. Niemcy w 1944 spalili Bibliotekę Ordynacji Krasińskich, bogactwo Biblioteki Narodowej, pięćdziesiąt tysięcy rękopisów, rewindykaty z Biblioteki Żaluskich, cymelia bibliotek warszawskich. Nie był to przypadek odoosobnionego wandalizmu. Gdy wróg starał się zabić myśl ludzką utrwaloną w słowie, zawsze niszczył kulturę, książki. Dlatego spalono bibliotekę w Pergamonie, bibliotekę w Aleksandrii. Tsin-Chi-Hong-Ti kazał spalić wszystkie biblioteki w swym imperium, oprócz tych książek, które mówiły o jego rodzinie. W książce despoty, wrogowie postępu zawsze widzieli niebezpieczeństwo większe od tego, które było w ludziach. Bali się treści, jakie książka mogła tym ludziom dać: prawdę o sobie, swej przeszłości i nadzieję przetrwania. — Zrobił długą przerwę, rozejrzał się po sali. — Pytam się, komu zależy w tym kraju, by kultura nasza upadła, by książka przestała docierać do czytelników? Jakiemu cesarzowi, despotcie? Jakiemu tyranowi, wrogowi naszego narodu?

Litwiniec spojrział na niego pytająco.

— Jesteś za czy przeciw rezolucji?

— Jestem za każdą rezolucją w obronie kultury czytelniczej w naszym kraju! Musimy zrobić wszystko, by książka we współczesnej kulturze otrzymała należne jej miejsce. W naszym kraju dawno znieśliśmy analfa-

betyzm. Zaliczamy się do krajów ze społeczeństwem oświeconym, a tymczasem na obywatela wypadają cztery tytuły książek rocznie! Żeby dostać tygodnik kulturalny, trzeba mieć znajomości! Na czym się dziś uczymy? Znow na błędach? Nie, nie na błędach — ironizował. — Nasza edukacja opiera się o piśmiennictwo tworzone przez administrację na wymyślnych formułach, jakie towarzyszą nam na każdym kroku, w sklepie, w zakładzie usługowym dla ludności. Dziś nawet mleka nie wypijemy w barze bez papierkowego udokumentowania, ile za nie zapłaciliśmy. Nie umyjemy samochodu bez długiego kwitu, na którym konieczne trzeba odnotować nazwisko, markę samochodu, cenę. Nie kupimy krawata bez instrukcji używania!

— Żyjemy w czasach przerażającego infantylizmu — włączyła się Kosikowa. — Kto odpowiada za ten stan?

Czyż nie władza i partia? Czyż nie ci, w których rękach są środki masowego przekazu? Oni kształtują nowe gusta, wyobrażenia o sztuce, rozrywce. Więcej — o życiu. To oni tworzą typ człowieka stadnego, infantylnego w swych reakcjach, upodobaniach i w sposobie myślenia. Typ nowoczesnego barbarzyńcy! Jestem już stara i tracę nadzieję, by doczekać się lepszych czasów. Cóż mi pozostaje? Śmiać się, bo kto wie — jak mówił Beaumarchais — czy świat potrwa jeszcze trzy tygodnie.

— Zapewniam panią, że świat będzie istniał znacznie dłużej — powiedział Litwiniec. — Więc chyba nie wolno nam tego problemu bagatelizować.

— Może dla was to ważne, jesteście młodzi, ale dla mnie? — pochyliła głowę nad notesem. — Co kilka lat nadzieje na odnowę, a potem życie w zakłamaniu, załganiu, w ustawicznym strachu, że mogą wejść do domu, spłodować wszystko, bo człowiek miał odwagę pomyśleć inaczej niż jest w gazetach, w przemówieniach oficjalnych. Nie wierzę, żeby w tym kraju, w którym monopol na wszystko, nawet na myślenie, należał do partii, jej aparatu, formułowanie jakichkolwiek rezolucji miało sens.

Wstała.

— Zrobiło się zbyt późno. Zresztą nie sądzę, by zebranie zakończyło się jakimś mądrym wnioskiem. A jeśli interesuje was, co myślę ja, głupia kobieta, poetka, o strajku, to powiem: popieram ich, potępiam władzę, która nie umie z nimi rozmawiać.

Ber oburzył się.

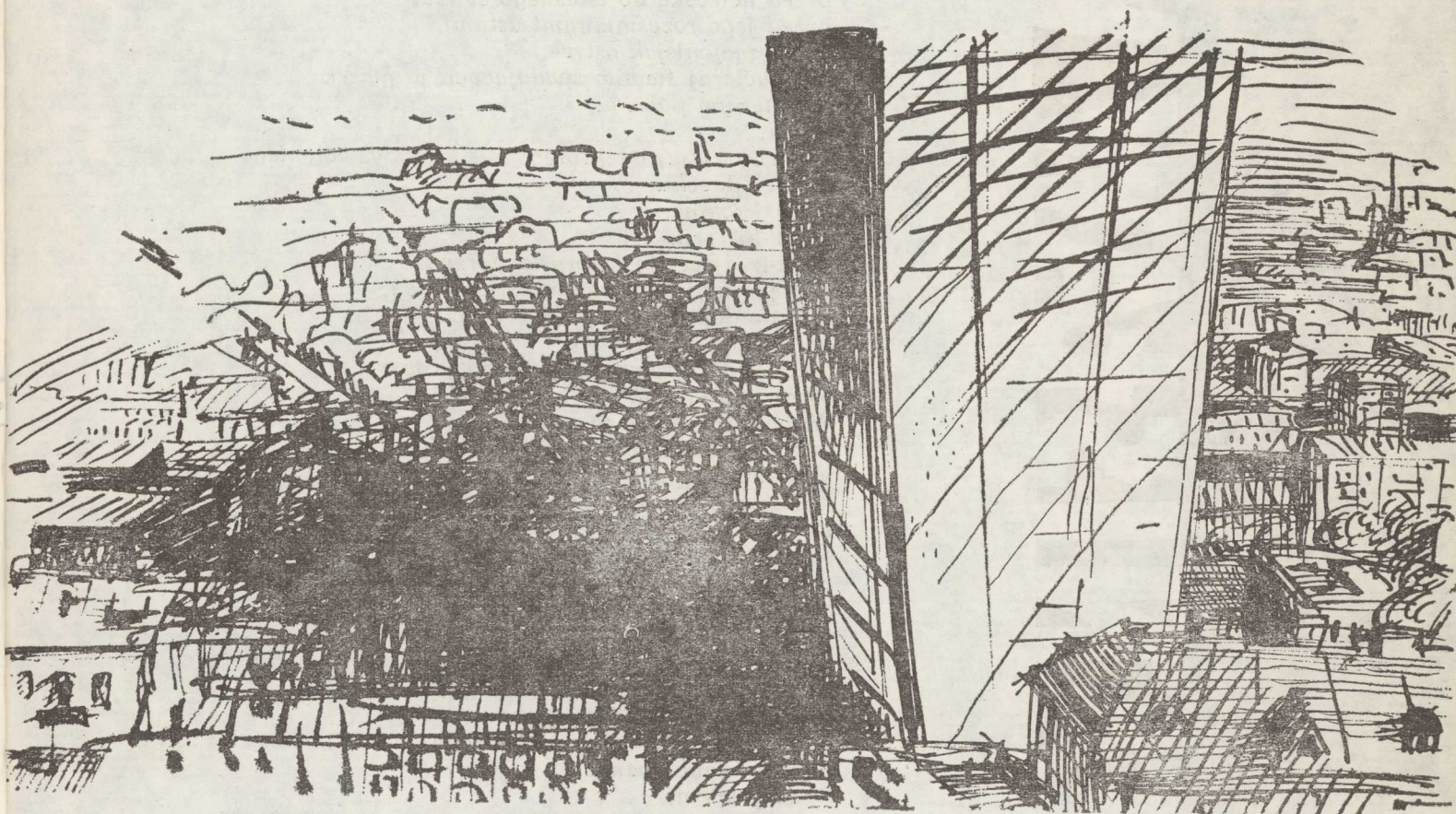
— Wero, jak możesz. Krajowi grozi chaos, katastrofa! Czy zdajesz sobie sprawę, że taka sytuacja sprowadzi do kraju obce wojsko?

— Jakie wojsko? — spytała Kosikowa.

— To nie ma znaczenia jakie — wtrącił się Piórko. — Każdy czołg jest tak samo ciężki, obojętnie, kto nim dowodzi. Proponuję zwrócić się do robotników o rozsadek, o ustępstwa wobec władzy i partii.

— Bzdura! — na to Kosikowa. — Niech raz rząd i partia ustąpią, niech choć raz wykażą się rozsądkiem!

I wyszła.



Modlitwa zmęczonego

Przyjacielowi — dr. Ryszardowi Brzeźniakowi poświęcam

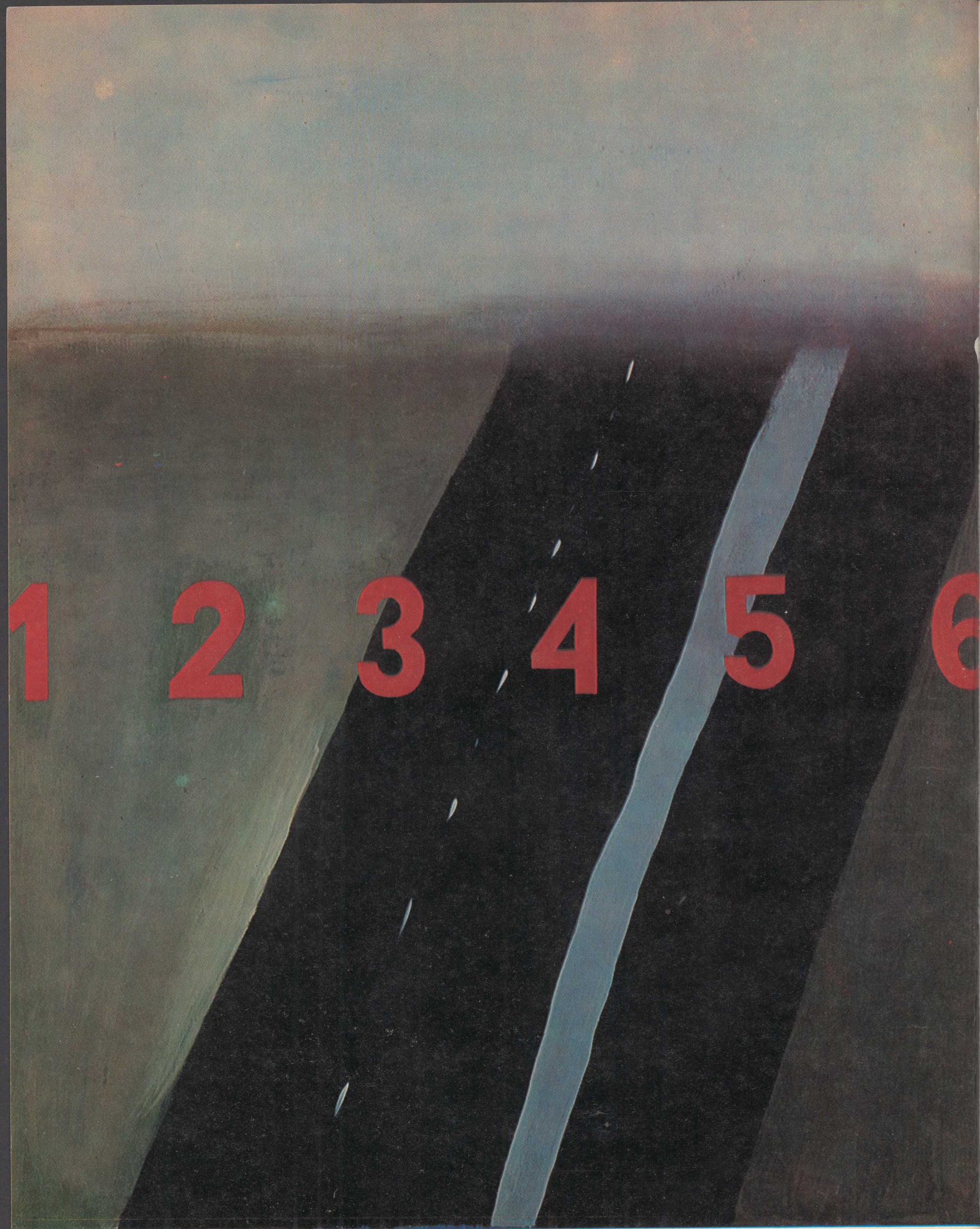
O wodo, która niesiesz na fali mój uśmiech
i moją twarz barbarzyńcy;
w jej środku drga fioletem bezradne oko
ryby.
Ty wchłaniasz mnie razem z cieniem,
ścigającym krew z nożem w ręce.
Złudnie marszczysz kręgi,
o wodo niebieska,
przywodząc z oddali narodziny dziecka
i lęk mężczyzny przed odejściem
w nicość.
Ty mnie rozumiesz, o wodo cierpliwa!
Twoja łagodna dłoń
głaszcze mi skórę matczynym ciepłem,
koi serce wypędzane z ciała.
O ciało, jakżeś kruche przy ziemi i wodzie!
Po co o ciebie walczyć,
kiedy nagle widzę się kwitnącą gałęzią
odbitą w bezdenności natury?
O wodo wierna,
daj chwilę wytchnienia,
nie zatapiaj wiary w czyste słowa,
uczyn moje żyły pełniejsze,
by zapomniały, że istnieją.
Nigdy nie szukałem wrogów dla szukania wrogów,
kiedy przyjaciele stali zbyt daleko
i bezpiecznie.
Wybroń mnie,
ofiarna,
przed ciągłym spadaniem w głąb ciemności,
przed ucieczką do własnego cienia,
przed jego roześmianymi ustami,
błyszczącymi jak ostrze.
Nie zacieraj śladów spadających w piasek
skołatany pulsem.
Rytm,
wieczny rytm, od którego nie ma wyzwolenia!
Rytm oddechu,
rytm kroków,
rytm historii,
powtarzające się rytmy wydarzeń.
Dlatego wyzwól mnie od kajdan losu,
o wodo dobra,
od okrucieństwa,
kiedy wydzieram z twoich sinych warg
ostre żądło haka.
Wybacz mi siebie samego,
wszak jestem tylko kruchym liściem
unoszonym przez prądy
na drugi brzeg rzeki oczyszczenia.
Pomódł się,
o wodo,
za moją wolność, za moje prawa,
za moje strwożone życie
i przywróć zdrowy sen.
Przepływaj przez czujne oczy zwierząt,
ryb, ptaków, drzew, wszystkiego, co żyje
tkwiące w moich żrenicach.
wymywaj z nich ziemskie obrazy,
o wodo nieubłagana!
Dzisiaj wiem,
że tak być musi?

lipiec 1980 r.



TADEUSZ BRZozowski — „Guwernantki”, olej, płótno, wł. Muzeum Narodowego w Szczecinie

Fot. Z. Ryngwelski



STANISŁAW FIJAŁKOWSKI — „Autostrada IV”, olej, płótno, wł. Muzeum Narodowego w Szczecinie

Fot. Z. Ryngwelski

— Dowiedziałem się niedawno, że cenzura zwolniła wreszcie pańską książkę. Jej pierwotny tytuł — „Biała góra”, zmienił pan ostatnio na „Zawzięte trawy”. Czytelnicy „Spojrzeń”, „Morza i Ziemi”, „Nurtu”, mogli zapoznać się z obszernymi fragmentami tej powieści. Jakie były przyczyny, że książka w całości nie mogła ukazać się wcześniej?

Książka leży w wydawnictwie od 1978 roku i tak się tylko wydaje, że łatwo jest wydać książkę podejmującą problem współczesny, a szczególnie problem życia robotników. Dzisiaj mogę powiedzieć, że taką książkę, na przestrzeni ostatnich lat, było bardzo trudno wydać. Chociaż krytyka ogólnopolska nawoływała: pisarze, piszcie książki o tematyce współczesnej, ale ci którzy próbowali pisać na tematy robotnicze, a próbowali pisać prawdę nagą, taką jaka ona jest — to, te książki i ci pisarze mieli sporo problemów.

(Fragmenty recenzji Wydawcy)
„Moje największe zafrasowanie budzi tu postać sekretarza zakładowego Minisiaka, który co prawda musiał odejść z zajmowanego stanowiska, ale którego taka kreacja wydaje mi się dość wątpliwa w praktyce słowa drukowanego...”

...W ogóle powieść Wita Wilińskiego z tego punktu widzenia patrząc, przypomina ogród nie plewiony... stwierdzić muszę, że istnienie wielu zdań i fragmentów utworu może być wątpliwe. Poza postacią sekretarza Minisiaka, odnosi się to również do reminiscencji z wydarzeń grudniowych, strajku okupacyjnego na terenie zakładu...

...Sumując moje uwagi jestem zdania, że powieść Wilińskiego należy wszechstronnie i kompetentnie rozpoznać.

Trzeba będzie przeprowadzić z autorem rozmowę po to, aby w jej wyniku zdecydował się na dokonanie przepracowań”.

Naczelny programem, jaki sobie założyłem przy pisaniu tej powieści, był przede wszystkim człowiek, robotnik, jego wewnętrzne zmagania z sytuacją społeczno-polityczną przed sierpniem 1980 roku. Tytuł książki — „Zawzięte trawy”, metaforycznie oznacza właśnie ludzi. Trawy wyrastające, odradzające się, odmładzające się, to są właśnie ludzie.

— Wspomniał pan wcześniej o prawdzie. Wiem skądinąd, że do wielu spraw podchodzi pan emocjonalnie, a prawdę, jak mi się wydaje, należy szukać spokojnie, na trzeźwo. Poza tym, uważany był pan dotychczas — przynajmniej przez krytyków — za pisarza, który obraca się wśród problematyki wiejskiej. Zastanawiam się więc, na ile ta książka, przedstawiająca środowisko robotnicze, jest książką prawdziwą?

Książka stoi na pograniczu reportażu. Właściwie prawdziwość i wiarygodność tego, co tam pomyściłem, można zawrzeć w tym, że jest to powieść ukazująca niemalże wzięte z życia życiorysy ludzi, pracujących w Zakładach Chemicznych „Police”. Chciałbym tutaj dodać, że w tej powieści nie użyłem słowa „Police”. Po prostu, tego słowa nie mogłem użyć, gdyż cały czas w wydawnictwie przekonywano mnie, że jest to jednak Wielka Budowa Socjalizmu i nie można tak wielkiej budowni kompromitować. W związku z tym zdecydowałem się nadać tej miejscowości, w której się obracałem, gdzie zbierałem materiały do książki i w ogóle, nadać tym zakładom, gdzie przebywałem, nazwę — Biała góra.

Biała góra — wiąże się z wielką, białą górą fosfogipsów — odpadów produkcyjnych, nie nadających się

W ZGODZIE Z SUMIENIEM

do wykorzystania. Biała góra rośnie, staje się molochem, zatruwającym środowisko naturalne człowieka. Dlatego też, między innymi, tytuł „Zawzięte trawy”, jest jakimś symbolicznym tytułem, który mówi o zawziętych ludziach, dążących do sprawiedliwości, do równości społecznej i do wolności, ale również jest to książka, która podejmuje problem naturalnego środowiska, zabijania tego środowiska w sposób bezwzględny właśnie przez takie wielkie zakłady, jakimi są „Police”.

— Powiedział pan, że jest to powieść z pogranicza reportażu. Żeby napisać taką książkę, trzeba doskonale znać realia, poznać ludzi. W jakim stopniu pisarz — człowiek przecież z zewnątrz — jest w stanie poznać środowisko robotnicze? Jak pan praktycznie rozwiązał ten problem?

Na terenie zakładu, oczywiście niecodziennie, przebywałem przez okres dwóch lat. Zawarłem porozumienie, albo może inaczej — Zakłady zawarły ze mną porozumienie o napisanie książki. Chciano, żebym napisał kronikę zakładów, jakąś tam laurkę, jakiś dytyramb na cześć gigantycznej budowy. Nie zdawałem sobie wtedy sprawy, co to będzie za książka, natomiast już wówczas powiedziałem przedstawicielom dyrekcji, że to na pewno będzie powieść, natomiast nie może to być żadna kronika, ponieważ nie jestem powołany do tego, żeby pisać kroniki. Czulem się powołany do pokazania człowieka i jego losów na terenie tych zakładów. W każdym bądź razie sam jeszcze nie wiedziałem, co to będzie za książka. Dopiero po długich, dociekliwych rozmowach z robotnikami pracującymi na wydziale kwasu siarkowego, na wydziale bieli tytanowej, nawozów fosforowych, w laboratorium, dowiedziałem się, jakie tam panują stosunki. I już wtedy mogłem wywnioskować, że te stosunki między załogą a dyrekcją nie są zbyt dobre. Widziałem przepaść między kierownictwem a załogą.

Szydło postanowił zawierać znajomości od dołu. Dyrektorów i sekretarza zostawił na koniec. Z tego też powodu, nie wiedząc kiedy, popadł w tajny konflikt z dyrektorem, a nawet sekretarzem Minisiakiem, który, co tu dużo owijać w bawełnę, był pod przemożnym wpływem Budy. Niby miał dużo do powiedzenia na zakładzie, niby bronił krzywdzonych robotników, ale to były tylko pozory. Dyrektor Buda i tak zrobił, co chciał, przevorsował każdy swój wniosek, nawet jeśli nie był słuszny, bo miał Minisiaka w łapie. Po prostu przyobiecował mu wyjazd do Paryża, w ramach wymiany doświadczeń i już Minisiak mu przytakiwał, klaskał, emokał, a nawet bił brawo. Nigdy nie był kontra. Szydło więc tym bardziej chciał się przekonać, co do wad i zalet dyrektora Budy. O Minisiaku miał już wyrobione zdanie. Po tym, co mówili o nim robotnicy na zakładzie, zorientował się, że człowiek ten partyjnej kariery nie zrobi. Po prostu dlatego, że zbyt płasko myśli i zbyt demonicznie postępuje z ludźmi, z którymi, bądź co bądź, powinien się liczyć. Minisiak był pewny siebie, jednak to, co wokół niego się działo, nie było pocieszające. Ludzie po kątach sarkali, psiloczyli i każdy z nich czekał jak na zbawienie, na konferencję sprawozdawczo-wyborczą. Czyżby

Minisiak w swej aureoli bezpardonowego działacza nie wy-
czuł, że powoli przez te cztery lata traci, a właściwie już
stracił zaufanie tych, którzy go wybierali. Może wiedział o tym,
jednak zapatrzonny w siebie, nie przestrzegał prawdziwej ma-
ksymy: „Dzisiaj chłopie jesteś sekretarzem, a jutro możesz
nim nie być. Byłeś jednym z nas, teraz jesteś obcy.”

— Czy przebywając przez te dwa lata w zakładzie,
poznając ludzi i ich problemy, przewidywał pan w ja-
kimś stopniu to, co nastąpiło w sierpniu 1980 roku?

Dzisiaj pojawia się wiele głosów, które mówią, że prze-
widywano to, co nastąpi... Może wiedzieli naukowcy,
którzy znali aktualny stan naszej gospodarki. Natomiast
jeśli chodzi o pisarzy, przypuszczam, że tylko niektórzy.
W tym czasie było wielu pisarzy, którzy pisali książki —
dytambowe, na cześć wielkich zakładów pracy. Jak wiem
przecież na terenie „Huty Katowice” byli również pisa-
rze-stypendyści, którzy pisali o tym wielkim zakładzie,
o wielkiej produkcji, jaką miała dać Huta „Katowice”.
Nawet tacy wielcy pisarze, jak nieżyjący już Jarosław
Iwaszkiewicz, nie bardzo dostrzegali błędy w tej polityce...
powiedziałbym, kierownictwa partii, które szło w jed-
nym, ustalonym przez siebie, kierunku. Natomiast klasa
robotnicza, robotnicy, ludzie, którzy borykali się ze swoi-
mi codziennymi problemami, ze swoim losem, z brakiem
mieszkań, z brakiem pieniędzy, z zaopatrzeniem, ze
wszystkim, co składa się na życie codzienne, ci ludzie
żyli w cieniu tych wielkich zakładów.

— Co w pańskiej powieści budziło największe zastrze-
żenia wydawcy, jakie stawiano panu zarzuty?

Książka nie mogła się dosyć długo ukazać ponieważ,
co tu dużo mówić, wydawnictwo mocno tę książkę ob-
kastrowało. Nie mogłem się z tym zgodzić. Na prze-
strzeni ponad trzech lat wzywano mnie pięć razy do
wydawnictwa. Rozmowy trwały od czterech do pięciu
godzin. Były to trudne rozmowy, uciążliwe, męczące.
Przekonywanie. Ja przekonuję redaktora, on przekonuje
mnie. Walczymy o każde słowo. Dochodziło do tego, że
nawet skreślano mi słowo „klika”, nie mówiąc już o tym,
kiedy używałem zwrotu „czerwona burżuazja”. Panie,
co pan robi — mówili redaktorzy — chce pan nas za-
pedzić do więzienia! To była przesada, ale tak się zdarza,
wręcz zawsze tak jest, że zanim tego rodzaju książka
trafi do cenzury, to zostanie tak przesiana przez sito
wydawnicze, że właściwie pisarz nie jest w stanie tej
książki poznać. Mnie, oczywiście, trudno było zgodzić
się na taką wersję obkastrowaną, obrzezaną... tak to
wulgarnie nazywam, ale inaczej nie można. Bo jeżeli
się literaturę kroi, to inaczej tego nie można powiedzieć.

Przed Sierpniem nie było szans, żeby ta książka się
ukazała w tej wersji, w jakiej teraz, po Sierpniu może
się ukazać. Ale nawet już po Sierpniu, gdy byłem w
wydawnictwie, pojawiły się problemy. Sprawa utknęła
na wydarzeniach grudniowych. Redaktorzy nadal się
obawiali, czy wydarzenia grudniowe mogą być w lite-
raturze poruszane. Uważałem, że jeżeli Sierpień pokazał
wszystkim ludziom w Polsce, pokazał całemu światu,
że w Szczecinie, Gdańsku, w Elblągu zbudowano pomni-
ki ofiarom Grudnia — czasu, w którym Polak strzelał
do brata, to literatura musi odpowiedzieć na pytanie
dlaczego dzisiaj, po Sierpniu, te pomniki się buduje?
W związku z tym powiedziałem panom redaktorom:
Panowie, trzeba o Grudniu napisać. Literatura nie może
przejsz obojętnie obok ofiar Grudnia.

Zresztą, dlaczego ja, pisarz, nie miałbym napisać o wy-
darzeniach grudniowych, jeżeli robotnicy w Sierpniu
wywalczyli to, że moja książka może teraz się ukazać?
Dlatego też czuję się w obowiązku spłacenia robotnikom
długu. Kiedy po raz piąty byłem w wydawnictwie roz-
mowa miała przebieg wręcz dramatyczny, ale nie po-
puściłem. I być może, choć częściowy opis wydarzeń
grudniowych w Szczecinie w tej książce się ukáže.

Tereska O., siedząca przed domem na inwalidzkim wózku,
którą mąż znosi codziennie po schodach, żeby mogła zaczerp-
nąć świeżego powietrza. Góldyn dobrze wie, kim jest Te-

reska O. Dzisiaj liczy sobie ona dwadzieścia osiem lat, a ma-
jąc siedemnastego grudnia osiem lat mniej, padła ofiarą ów-
czesnych wydarzeń. I Góldyn wie, co Tereska cierpi, co myśli,
kiedy się z wózka nie może bez pomocy ruszyć. Tereska O.
jest jedną z najnieвинniejszych ofiar grudniowej zawieruchy
i bezlitosnego rozpasania uzbrojonych ludzi w hełmach. Otóż
osiem lat temu Tereska mieszkała w Sz. Jest to bardzo ładna,
o pociągłej twarzy blondynka, o żywych szafirowych oczach.
Tereska pamięta: było grudniowe popołudnie, dość mroźne.
Opatulona wracała z pracy do domu, do swojej małej córeczki.
Gdy znajdowała się na skrzyżowaniu ulic Śląskiej i Jagielloń-
skiej, z placu Grunwaldzkiego wyskoczył scot, waląc w kie-
runku poczy przy Bogurodzicy. Tereska zobaczyła go i ze
strachu przyspieszyła kroku, potem zaczęła uciekać wzdłuż
chodnika, żeby czym prędzej dobiec do domu. I wtedy właśnie
któryś ze scota pociągnął serię z broni maszynowej. Potem,
w szpitalu zwierzała się lekarzom, że uderzenie kul było tak
silne, że nagle poczuła się jak gdyby podłączona pod prąd
wysokiego napięcia. Seria poszła ukośnie z tyłu, pomiędzy
nerką a sercem, rozrywając mięśnie kręgosłupa i uszkadzając
rdzeń kręgowy, Tereska była przytomna, upadła na bok, żeby
twarzą nie uderzyć o chodnik. Nogi osunęły się jej z chodnika
na jezdnię. Miała otwarte oczy, nie straciła przytomności.
W tym momencie widziała jak podbiega do niej kilku prze-
chodniów. Wciągnęli ją do bramy. Wszyscy się dziwili, dla-
czego w tym miejscu ten ze scota strzelał do ludzi, kiedy
jak raz tutaj nie było żadnych zgromadzeń. Po prostu chod-
nikiem biegła przerażona samotna dziewczyna. Jaką zemstą
kierował się ten, który strzelał, nikt nie wie. A warto byłoby
dzisiaj zobaczyć jego twarz i podstawić mu lustro, żeby się
sobie dobrze przyjrzał i sam siebie osądził.

Wydaje mi się, że ludzie w tej powieści, znaczy moi
bohaterowie, są bohaterami skrzywdzonymi, są bohate-
rami, którzy jak gdyby przez dziesięciolecia, ponosili
klęskę. Poddawali się uświęconym obietcom wodzów,
komuś zawierzyli, ale ten ktoś ich okłamał.

(Fragmenty recenzji Witolda Nawrockiego)

„...Zdaje sobie sprawę, że problemy, o których opowiada Wi-
liński, mogą budzić obawy różnych ostrożnych lektorów. Zwłasz-
cza sprawa wypadków grudniowych, które dla opowiadających
o sobie robotników, były niematym przeżyciem. Ale proszę
pamiętać, że jeśli w krytyce stale namawiamy, by powieść
o pracy ukazała również polityczne perspektywy sytuacji ro-
botniczej zbiorowości, to sprawy te muszą się nieuchronnie
pojawiać. Właśnie tak, jak w powieści Wilińskiego, jako pro-
blem robotniczej solidarności i dyscypliny, ale i jako zarze-
wie nowych konfliktów...”

„...Wypadki ukazują również polityczno-moralną dojrzałość in-
nych bohaterów, na przykład Jasia Kawki, tego trudnego czło-
wieka, który walczy o wspólny interes i zawsze naraża się na
zarzut „konfliktowości”. „Konfliktowość” to teraz nowa eks-
komunikacja. Mierność i bierność wydaje się bowiem w wielu
wypadkach właściwszą skalą wierności, aniżeli działanie, które
narusza stojącą wodę oficjalnego spokoju. I wreszcie ukazuje,
że w skali robotniczego doświadczenia stanowiło epokę waż-
nych konfrontacji, że nauczyło myśleć o swoich sprawach nie
tylko w formule oczekiwania na cud...”

„...Interesujące w powieści jest również to, że Wiliński niekon-
wencjonalnie rysuje płaszczyznę zawodowej rzeczywistości i to
nie tylko wtedy, kiedy opowiada nam życiorys „niewygodnego
człowieka” — Kawki lub konfrontuje doświadczenia osobiste
narratora z życiorysem Ziela, odkrywając w jego losie pewne
zbieżności z życiową formułą jego własnej proletariackiej ro-
dziny, czy kiedy w przejmujący sposób opowiada o zmaganiach
Benka z białą górą, zakończonych klęską, szaleństwem robot-
nika (najlepszy kawałek prozy o pracy, jaki czytałem w ostat-
nich latach), ale także wtedy, kiedy ujawnia dysonanse wy-
wołane metodami kierowania fabryką lub zespołami ludzkimi.
Kiedy ukazuje dojrzałość robotników i szturmowszczyzną dy-
rekcyj i zespołu technicznego, kiedy ujawnia istnienie kolizji
między kierownictwem a robotniczą zbiorowością, kolizji, które
muszą istnieć i są nie do usunięcia, więc czemu o nich nie
pisać. Lub kiedy demaskuje karierowiczowski typ sekretar-
skiej formuły egzystencji na pasku u dyrektora, w bezustannej
unżonej postudze wobec tego niesympatycznego autokraty...”

...Sam już nie wiem, czy to dobrze starać się o dobro za-
kładu. Skoro człowiek piętnuje zło, tylko biedy sobie napyta.

Koledzy niekiedy plecami się odwróca. Sztamy nie ma, ot co. Dyrekcja z jednej strony pochwali, z drugiej da łupnia. Jak wtedy, gdy na otwarcie wydziału kwasu siarkowego miał przyjechać z Warszawy sam minister, albo jeszcze ktoś większy, to jakiś dureń kazał nam zawalić ziemią te wykopy, któreśmy wyryli pod rurociąg. A potem, kiedy minister odjechał, przyszło polecenie, żeby te same wykopy na nowo odkrywać. To mówię, że chłopaki, kiedy zasypywali tę swoją mozolną robotę, aż płakali ze złości. Musiało być gładko, bo minister nie mógł widzieć nieporządków. Więc do jasnej cholery pytam ich: — Panowie, czy to budowa, czy farsa? — Wtedy mnie chcieli wyrzucić na zbity pysk. Zamknąłem się więc i dałem spokój. Ale krew mnie zalewała, kiedyś musiał patrzeć, jak chłopaki z brygady na powrót ryli te same doły. Albo te rdzewiejące pod gołym niebem części do maszyn.

Minister nie mógł ich widzieć, bo byłby skandal jak diabli. Więc panowie z dyrekcji zebrali gromadę ludzi i kazali im postawić szczytny plot, na którym pozawieszali olbrzymie transparenty: „Witamy ministra”, „Niech żyje”, to i owo. Bóg wie, czego tam nie było, żeby tylko ukryć drogie przecież, niszczone części do maszyn. Powiedziałem im: — Panowie, to ma być oszczędność materiałów?! — W rezultacie, po cichutku, przeniesiono mnie na wydział nawozów fosforowych, żeby mi zamknąć gębę nawozową kurzawką.

— Pan mówi, że ci ludzie, „przez ileś tam dziesięcioleci ponosili klęskę”. Ale przecież dość rozpowszechniony jest pogląd, że ludzie ci — wywodzący się przecież często ze wsi — osiągnęli duży awans społeczny.

Pozorny awans. Jaki to może być awans dla człowieka ze wsi, który przyjdzie do wielkiego zakładu, kiedy on właśnie zostawia swoją ziemię i ta ziemia nie rodzi tak jak powinna rodzić? I cóż to za awans, kiedy stawał przy maszynie albo pracował w straszliwej kurzawce nawozów i wyglądał szaro, jeszcze bardziej szaro niż wyglądał na wsi. Cóż to za awans, jeśli przychodził ze wsi w skażone środowisko. To nie jest awans. Moim zdaniem, dla tych ludzi to była klęska, którą oni później zrozumieli. Uświadomili sobie ciężar swojej krzywdy.

(Fragmenty recenzji Krzysztofa Nowickiego)

„...Od czasu „Białego runa” Leona Gomoliczkiego nie mieliśmy chyba tak rzetelnej, uczciwej powieści, która by próbowała postawić sam problem elementarny: O ile w ogóle możliwe jest poznanie zakładu pracy przez literata...”

„...Przed wszystkim autor nie ma gotowej recepty. Traktuje sprawę poważnie i wyciąga ze swej poznawczej przygody liczne wnioski. Co najważniejsze jednak, nie popełnia rozpowszechnionego błędu: nie udaje, że zna „prostych ludzi”. Bohaterowie książki funkcjonują w sposób rzeczywisty i autentyczny...”

„...W ten właśnie sposób, poprzez prezentację — jak podejrzewam — niemal autentycznych życiorysów i postaw przekraczamy, jako czytelnicy, „zamknięte koło zakładowego życia”. Wit Wilński nie poetyzuje rzeczywistości, nie rozczula się, jak jego poprzednicy, nad przemysłowym krajobrazem, lecz przez cały czas zastanawia się jak przedrzeć się przez tę „kwasową mgławicę”. Bo przecież autor nie ukrywa komplikacji, jakie rodzą się w momencie, gdy w zakładzie pojawia się ktoś z zewnątrz. Literat otoczony zostaje nieufnością, której Wit Wilński nie demonizuje, gdyż tak naprawdę patrzy na całą kwestię bardzo realnie.

Pojawienie się poety — Piotra Szydły, nie jest przecież wydarzeniem dla zakładów. Wprawdzie dyrektor wspomina, że dziesięciolecie się zbliża i „my chcemy mieć książkę”, to jednak naprawdę obecność Piotra w środowisku pracy staje się nieoczekiwanie problemem wewnętrznym bohatera.

I to wydaje mi się najciekawsze w tej książce. Wilńskiemu udało się pokazać związek obserwowanego świata ze światem utraconym bohatera, z jego dzieciństwem. Rzeczywistość zakładów pozwala także inaczej spojrzeć na białą górę inteligencji, do której należy Piotr, budzi świadomość jak bardzo on sam oddalił się od „klasy swego pochodzenia”.

W ten sposób wyprawa w krainę realności, zamiast zdawkowych informacji, staje się istotnym problemem samego boha-

tera. W zakładach odnajduje on nie tylko świat prawdziwy i godny podziwu, lecz także taką formę ludzkiej egzystencji, przecież bardzo zróżnicowaną, która prowadzi do wewnętrznego rozrachunku”.

...Piotr Szydło, syn chłopco-robotnika z centralnej Polski, po czwudziestu latach mozolnej edukacji stał się inteligentem. Ileż to zdrowia natracił, ile wyrzeczeń i przekleństw kosztowało go wspinanie się po stromych, śliskich schodach, ile doświadczył obłądki, żeby stać się tym cholernym inteligentem. Biała wieża, której szczyt osiągnął, dziś wydawała mu się gruzami, pod którymi leża jego matka i ojciec, jego babka i dziadek, wszyscy przodkowie. Cały ród Szydłów mozolił się przez kilkadziesiąt, a może kilkaset lat, żeby on, Piotr mógł wykształcić się na inteligenta. Zakotłowało mu się w głowie, pot wystąpił na czoło, perlisty i zimny. Czuł kość w gardle. Pojął, że to nagłe przedzierzgnięcie się w robocze ciuchy stało się grą. Rękawem otarł pot z czoła. Przyszłszy odkrywać tu nową ziemię, podziwiać krajobraz ludzkiego utrudzenia, poczuł się samotny i nagi. Obecność nie dawała mu spokoju. Nie było to wyrzuty sumienia, nie, a tylko krótkie powroty do swoich, do stron rodzinnych, do biednego parterowego domku z czerwonej cegły, krytego papą, na którego prawym południowym narożniku leżał duży kamień, popękany od wybuchów kalichloru w gozdzinę Zmartwychwstania Pańskiego, pokaleczony od moździerzy. Tęsknił do wązłutkiej ubitej ścieżynki, pędzącej na łąki do Noteci. Miał przed oczami ten obraz, kiedy na bosaka gonił po niej, popychając kluczka z drutu, starą dzwoniącą fajerkę. Samotny i nagi, pomyślał: to też doświadczenie...

Zawsze stałem na stanowisku, że pisarz nie może być, wręcz nie powinien być na niczych usługach. Pisarz powinien służyć prawdzie. I powinien tę prawdę ukazywać. A jeżeli ktoś mu w tym przeszkadza, to powinien twardo stać na stanowisku i o tę prawdę walczyć. I właściwie wtedy dopiero literatura ma sens. Bo jeżeli literatura zacznie kłamać, tak jak wszystko było zakłamane przez kilka dziesięcioleci... no to już będzie niedobre, będzie piekło... Zadaniem pisarza jest bronić każdego słowa, jeśli to słowo służy człowiekowi, służy jego dobru. Przecież nigdy kłamstwo nie służyło dobru człowieka. Kłamstwo zawsze narobiło wiele zła. Mamy tego dowód teraz. Ludzie wręcz stracili zaufanie, nie tylko do dyrektorów... ale stracili zaufanie do samej partii. I jakże trudno teraz, widzimy, jest to zaufanie u ludzi odzyskać. Ile zła może uczynić kłamstwo w społeczeństwie. Każda informacja powinna istnieć w czystości słowa, jako informacja czysta. Tym bardziej pisarze... Pisarz nie może występować wbrew własnemu sumieniu. To co pisze, musi pisać zgodnie z własnym sumieniem. Po prostu, występując przeciwko samemu sobie, on siebie zabija, niszczy, unicestwia. Pisarz żyje przecież w określonej rzeczywistości i jego rolą, jego powołaniem jest ukazywać prawdę tej rzeczywistości. A jeżeli ta prawda jest zamykana, kłajstrowana, to trzeba tę skorupę zrywać i ukazywać nagie ciało prawdy.

...tej prawdy nikt nie podważy, bo przyszłe lata i tak wydzwonią ją na kościolach. Ale tak mocno, tragicznie, z takim nie wypowiedzianym żalem i gniewem Ludu, że popękają spię. Nikt prawdy nie zamknie do więzienia na siedemdziesiąt spustów. Nikt prawdy nie zakopie w celofanowych workach do tajemniczych dołów. Nikt nie jest zdolny jej poćwiartować i rozrzucić po cmentarzach, po lasach, po polach. Lud zawsze ją wygrzebie własnymi, nagimi pazurami i będzie nad nią płakał jak dziecko, i będzie nad nią wylł zagryzając wargi do krwi. Żaden władca nie oszuka Ludu, bo jeśli to uczyni, nie godzien zwać się Jego synem. Lud sam wybierze Syna i będzie mu wierzył, czy to się będzie komuś podobało, czy nie. Bo takie jest prawo Ludu i nie ma na to rady.

— I rację ma w Ewangelii Łukasz, kiedy głosi: Nie bójcie się tych, którzy zabijają ciało, a potem nic więcej uczynić nie mogą! — myśli Wawrzyniec Goldyn, twardy kawalerzysta, patrząc ze łzami w oczach na okaleczoną Tereskę O.

Rozmawiał:
JANUSZ WACHOWICZ

nasza ucieczka od wolności

Mądry Johan Huizinga stwierdził onegdaj w swoim dziele „Homo ludens”, wydanym dawno, bo w 1938 roku, że kultura objawia się jako wyłącznie ludzka potrzeba życia wśród piękna. Forma zaś, w jakiej potrzeba ta zostaje zaspokojona, jest formą zabawy. „Egzystencja zabawy potwierdza nieustannie, i to w sensie najwyższym, ponadlogiczny charakter naszej sytuacji w kosmosie — mówi Huizinga — bawimy się i wiemy, że się bawimy, a więc jesteśmy czymś więcej niż jedynie rozumnymi istotami, ponieważ zabawa nie jest rozumna”.

Doprawdy trzeba było nie lada optymizmu, żeby coś takiego stwierdzić w obliczu narastającego faszyzmu, który zresztą próbował wkrótce potem w obozie koncentracyjnym wybić autorowi nie tylko z głowy jego wiarę w człowieczeństwo powszechne, globalne.

Kultura zatem jest umową, konwencją, która w różnych przejawach towarzyszy człowiekowi wszędzie, ale nie jest żywiołem. Sformalizowała się, trzeba się jej uczyć, nabywać; pojawia się jak nawyk, jak język. I jest, i nie jest praktyczna. Daje zarobić twórcom, olśniewa, onieśmiela i porywa odbiorców. Galatea schodzi ku Pigmalionowi, król podnosi pądzę Tycjanowi, wazon czy dziewczyna — zastanawia się na płótnie Siemiradzkiego rzymski patrycjusz, Presley, Beatlesi i ich fankluby i tak dalej. Bezinteresowne zachwycenie sztuką, życzliwość, a czasem i nienawiść.

W roku 1981 odczytuję w książce Huizingi, któryś tam raz, tę najlepszą znaną mi definicję kultury. „Ludzka potrzeba życia wśród piękna” — powtarzam, a dziwny szum zza okna wytrąca mnie coraz to z równowagi. Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że szum ten bije z otwartej niedawno kilka kroków od mojego domu specjalnie zbudowanej i zaprojektowanej w tym celu — meliny pijackiej. Najmniej setka zalanych mężczyzn kotłuje się i obejmuje w dymie i smrodzie, w atmosferze żalosnej, ulotnej wspólnoty. Coraz to ktoś wytacza się z szynku gotów wziąć w ramiona cały świat. Gramolący się z rynsztoka facet śpiewa „Jeszcze Polska nie zginęła...”

To jest też kultura, a przynajmniej jej składnik. Huizinga nawet w wojnie, w śmierci, w bohaterstwie widzi elementy zabawy, ale wódki nie zauważył w tym zestawieniu. Być może w jego cichej, przedwojennej Holandii nie był to problem, może do niego, szlachetnego klerka, echa tej ludzkiej pasji w ogóle nie docierały. Ale chyba nie był to większy problem, inaczej Holandia nie byłaby dzisiaj tak bogata.

„Ludzka potrzeba życia wśród piękna” — myślę, a przed oczami mam przewalający się pod naszym sklepem monopolowym tłum i największą kolejkę, złożoną głównie z kobiet, jaką kiedykolwiek w naszym miasteczku i w życiu widziałem. Za chwilę tłuszcza wyłamie drzwi i wybije szyby. Nadjedzie milicja. Padną słowa o wolności, że pewnie by się strzelało do ludzi, że to już koniec świata,

gdy wódki braknie, że w czasie okupacji łatwiej nawet o nią było.

„Natura człowieka, jego pasje i lęki są dziełem kultury”, zapewnia mnie z półki inny wielki humanista, autor „Ucieczki od wolności” Erich Fromm i uczy równocześnie, że trafiają się okoliczności, kiedy człowiek od tej wymarzonej wolności ucieka, kiedy uciekają od niej całe narody, pchając się dobrowolnie w jarzmo tyranii.

W kulturze zatem trzeba szukać źródeł tego, jaką zabawę człowiek wybiera, jakie piękno lubi. Najłatwiej wybrać to, które wymaga w odbiorze najmniej trudu. Najłatwiej sięgnąć po kieliszek, być kibicem. Nie jest paradoksem, że taką dziwną nienaturalną i wymagającą cyrkowych umiejętności, a równocześnie wyjątkowo zależną od przypadku piłką nożną pasjonuje się najwięcej kibiców. Nic tu nie trzeba umieć, a można uczestniczyć i oceniać.

Tymczasem rzeczywistość, życie — ciągle potwierdza, że zwolennicy twardego treningu mają wiele dowodów na to, że przy jego pomocy można osiągnąć więcej niż idąc gładką drogą wyłożoną najpiękniejszymi dobrymi chęciami czy motywacjami. Nawet ten aforyzm o piekle jest na ich korzyść. Cóż z tego, że koszty ponoszone przez pracusiów graniczą często z torturami, że tacy na przykład geniusze jak Mozart czy Beethoven mieli zmarnowane dzieciństwo? Nie czuje się tego słuchając ich muzyki. Gdyby zmierzyć tę radość, to męstwo, tę siłę wzruszeń, jaką teraz czerpią z tej twórczości miliony ludzi — można by mówić o nowym prometeizmie. Któż pamięta przy tej okazji, o tresurze, jaką przeszli ci geniusze w młodości? Przecież to jest prometeizm!

Nauki szczegółowe zarówno w odniesieniu do społeczności jak i do jednostki nie wypowiedziały się do dzisiaj kategorycznie, jaki rodzaj motywacji popycha ludzi do największych osiągnięć i co tu dużo gadać — także szczęścia. Nie da się ukryć — szczęścia nie można przeżywać w samotności, musi się ono odbić w lustrze cudzych oczu, musi być przymierzone do cudzej przeciętności, a nawet zazdrości czy zawiści. Są to rzeczy znane, opisane, zdefiniowane w podręcznikach. Wiadomo na przykład, że można dziecko i dorosłego zachęcać, motywować, porywać do działania dwoma sposobami — albo przez mobilizowanie ich nagrodą pieniężną, materialną, przez gwałt, przymus, rywalizację, walkę — albo uruchamiając szlachetne strony ich natury: patriotyzm, koleżeństwo, przyjaźń, poczucie społecznego interesu, wiarę, przykład rodzicielski czy historyczne ideały. W każdym z tych przypadków jednak motyw pracy posunięty do zadawania sobie męki w skrajnych, bohaterskich przypadkach nawet śmierci — nie ulega wątpliwości. Na ogół trzeba ciężko pracować, bardzo ciężko, na szczęście, bo inaczej jednostka czy społeczność są skazane na piekło zazdrości, zawiści czy też frustracji, nudy czy katastrofizmu albo wręcz zagładę.

Nie mam zamiaru przykładać tych dywagacji do naszej sytuacji ogólnej, mimo iż znalazłbym w niej wiele przykładów potwierdzających tę starą prawdę, że okresowe wybuchy entuzjazmu prowadzą jedynie do rozczarowań, że dobre pomysły, wspaniałe nadzieje bez zamienienia ich w nawyki, w trwałe odruchy — są źródłem kolejnych porażek.

Chcę chwilę zatrzymać się przy sprawach tak ważnych, jak upowszechnianie kultury w tak zwanym terenie.

Wiele jest w tym względzie biadania i czarnych prognoz, jako że idzie tu o tak zwaną jakość życia, która jest nieodłączna od szeroko pojmowanej kultury.

Kurczy się możliwości nieograniczonego korzystania z dóbr tego świata. Już dziś wiadomo, że trzeba będzie z wielu rzeczy zrezygnować, a o niektórych wręcz zapomnieć. Świat robi się ciasny, nie starcza po prostu rzeczy. Więc też coraz powszechniej mówi się o owej jakości spędzania życia, która musi ludziom w końcu zastąpić dziką żądzę posiadania, robić ich lepszymi, łagodzić obyczaje, uczyć wrażliwości, dostarczać przeżyć wyższego rzędu.

Idzie mi o to, że kultury trzeba uczyć tak samo, jak matematyki, jazdy ciągnikiem czy pieczenia ciasta. Mamy za sobą kolejny okres złudzeń w tej dziedzinie. Znowu wyszło, że nie można jej utrwalić samą gadką, transparentem, przy pomocy telewizji i pobożnej nadziei, czyli metodami werbalnymi, czyli tkwiąc w fotelu, licząc na to, że jakoś się ułoży, że ludziska sami przyjdą jeść ją z ręki, że rzucą wodę jako podstawowe źródło radości.

Fromm przez ucieczkę od wolności rozumiał, tę na oko niepojętą, okresową zgodę niektórych społeczeństw na przykład na faszyzm, dyktaturę, stalinizm, woluntaryzm. Statystycznie wypija się już w Polsce na głowę osiem litrów czystego spirytusu i nie jest to uwaga typu ni przypiął ni przylatał. Jest to cyfra, jeśli odjąć od niej niemowlęta, niektóre kobiety i dzieci, niektórych chorych w szpitalach, więźniów, a nawet połowę narodu, jest to cyfra makabryczna. To już szesnaście litrów czystego spirytusu na głowę, to już trzydzieści dwa litry wody na głowę. Jeśli ktoś mi udowodni, że liter wódki to za mało, żeby człowiek stracił przytomność, to wtedy odszczekam, że to nieprawda jakoby przez co najmniej miesiąc w roku połowa naszego narodu była nieprzytomna. Na razie jednak jest. Delikatniej — przez dwa miesiące jest półprzytomna po półlitrze. Życzliwie — przez cztery miesiące jest zawiana, bo po ćwiartce człowiek jest tak jakoś dziwnie wesoły, roz-targniony, jakoś tak sam pcha ręce w maszynę, zlatuje z rusztowania, skręca do rowu, kaleczy, zabija, jest niezyc-liwy dla bliskich i bliźnich.

Zaiste uciekamy od wolności w specyficznie polski sposób. Przy obecnym tempie rocznego przyrostu wypitego spirytusu w roku 1990 ma go być na głowę Polaka około dwudziestu litrów. Nic tu nie pomoże fakt, że tylko połowa rodaków zabierze się do tego dzieła. Będzie to tym straszniejsze społecznie, bo druga, niepijąca połowa o tyle ciężiej i dłużej będzie musiała pracować na leżących w łóżkach i rynsztokach alkoholików, na ich leczenie, ratowanie, zasiłki dla ich rodzin i dzieci. Czyżby jedyną naszą nadzieją były w tych warunkach kolejne nieurodzaje w rolnictwie, które zmuszą władze do ograniczenia produkcji spirytusu?

Może jest to przecenianie problemu, ale wymaga on w naszym kraju rozwiązań nie mniej gwałtownych niż te, które spowodowały zawarcie sierpniowych umów społecznych. Bez jego rozwiązania są one niewiele warte. Skończmy wreszcie z podrzucaniem sobie komplementów — rząd podlizuje się społeczeństwu, które jest takie niby mądre, związkowcy też żonglują dziesięciu milionami swoich świadomych członków. Tymczasem coraz więcej Polaków jest coraz bardziej pijanych. Pijaństwo staje się coraz mocniejszym elementem naszej kultury, jest podstawową formą zabawy naszego społeczeństwa.

Tam jest morze

Tu jest morze dom

To jest latarnia morska.

STANISŁAW TELEGA

POD UROKIEM „MODROOKIEGO MARZENIA”

Nie ma chyba piękniejszej metafory o morzu jak ta właśnie, Conradowska, zrodzona z kolorystycznego zachwytu i metafizycznego odczucia morza. Powstała ona u tego pisarza pod żaglami na morzach południowych, choć jej pierwsze spięcia i skojarzenia pojawiły się znacznie wcześniej, nad stronicami warszawskiego „Wędrowca”, którego Conrad był namiętnym czytelnikiem w młodości. Pismo to, powstało w drugiej połowie XIX wieku, zakładało programowo, że będzie, zgodnie z tytułem, poświęcone m.in. „opisom podróży naokoło świata i opisom cudzoziemskich obyczajów”, a więc siłą rzeczy i morza.

I rzeczywiście poświęcało ono dużo miejsca tym właśnie zagadnieniom m.in. drukując opis pierwszej polskiej morskiej wyprawy afrykańskiej Stefana Rogozińskiego, a jeszcze wcześniej głosy zajadłej dyskusji na jej temat między takimi prominentami literatury jak: Sienkiewicz i Prus przeciw Świętochowskiemu, który był jej przeciwny. Ponadto w piśmie tym znajdujemy wiele opisów różnych wypraw morskich np. sławny wówczas „Dziennik podróży naokoło świata” Artura Grasseta, czy liczne relacje z podróży nadmorskich i morskich np. Anczyca, Belzy, Gruszeckiego, Konopnickiej i innych. Do nawiązania kontaktu z tym właśnie piśmem i zamieszczania w nim regularnych korespondencji na tematy morskie namawiał Conrada w wiele lat później jego wuj, Tadeusz Bobrowski, pragnąc w ten sposób utrzymać go w rygorze „wywłaszczenia się w polszczyźnie”.

„Modrookie marzenie” uwiodło w tym czasie wyobraźnię nie tylko Conrada, ale także wielu innych pisarzy czy malarzy tego okresu, jak np. Sienkiewicza, Żeromskiego, Konopnickiej, przede wszystkim zaś Przybyszewskiego, w którego twórczości odezwało się podobnie kolorystycznym zafascynowaniem wodami Atlantyku i norweskich fiordów i wyraziło się w metaforze o „błękitnej godzinie” morskiej. Równie mocne było urzeczenie morzem w tym czasie u słynnego malarza francuskiego, Paula Gauguina, który wyruszył na morze jako chłopiec okrętowy, a w późniejszych latach w ogóle porzucił wielki kontynent i osiedlił się na stałe na odcinanych wyspach, najpierw na Martynice, a potem na Tahiti, aby być bliżej pierwotnej natury, gdyż — jak twierdził — „posiada ona nie kończące się tajemniczości i potęgę wyobraźni”¹.

To samo można powiedzieć o innych francuskich malarzach, jak Claude Monet, Paul Cézanne, Gustaw Courbet czy norweski malarz Edward Munch², rosyjski plastyk Iwan Ajwazowski albo grupa malarzy duńskich w Skagen nad Kattegatem w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku. To samo obserwujemy, choć w mniejszym stopniu, i w naszym malarstwie okresu impresjonizmu i symbolizmu, żeby wymienić np. Józefa Pankiewicza, Wł. Sliwińskiego lub młodzińcy okres Ferdynanda Ruszczyca.

I na ten właśnie czas drugiej połowy XIX wieku, dokładniej na lata osiemdziesiąte i dziewięćdziesiąte przypada silniejsze i powszechniejsze aniżeli kiedykolwiek przedtem podjęcie tematu morskiego w sztuce — literaturze, malarstwie, a nawet w muzyce. W poezji modernistycznej wyraziło się to zjawisko, żeby przytoczyć opinię choćby K. Wyki, jako „szczególne upodobanie do obrazu morza, oceanu, fal” i w związku z tym jako skłonność tej poezji do „nie-

skończoności, zacierania granic i uczuć czy przesuwania ich na taką odległość, że przestają być dostrzegalne”³.

W prozie natomiast, i to w prozie europejskiej, szczególnie zainteresowanie morzem stało się jeszcze powszechniejsze dzięki podjęciu tego tematu przez takich pisarzy jak Conrad, Pierre Loti, Claude Farrere czy Juliusz Verne, nie mówiąc o pisarzach przygodowych i sensacyjnych jak Sabatini, Kingsley, Marryat czy Stevenson, cieszących się ogromną popularnością. Szczególnie znamienna ze względu na ten temat, jest czwórka piszących oficerów i kapitanów marynarki o różnej randze literackiej i różnej narodowości, mianowicie Conrad, Loti, Farrere i Polak, Mariusz Zaruski. Nawet u najslabszego z nich, Zaruskiego, temat ten osiąga rzadki w naszym piśmiennictwie stopień autentyczności, a w twórczości Conrada najwyższy stopień uniwersalizacji literackiej.

Nurt marynistyczny w prozie światowej zaczyna się już w pierwszych latach romantyzmu, głównie w twórczości Melville’a, Marryata czy Copera, aby w połowie tego wieku zafascynować czytelników powieściami morskimi Vernego⁴ czy Stevensona⁵, a potem rozwinąć się w pełni w drugiej połowie XIX wieku w twórczości Conrada, Lotiego czy Farrera, a przy końcu tego wieku u Londona. Pod tym względem symboliczny niemal jest list młodego, dwudziestokilkuletniego Londona do kapitana żeglugi wielkiej Conrada, w którym London wyznawał, że zaczął pisać dopiero po przeczytaniu jednego z utworów Conrada, ponieważ utwór ten dosłownie nim wstrząsnął. W ten sposób zamykający się dziewiętnastowieczny świat morski Conrada otwierał na progu nowego, dwudziestego wieku, Jack London, z równą śmiałością i urzeczeniem, choć bez Conradowskiej genialności w przedstawianiu nie tylko mór i oceanów, ale przede wszystkim tak zbliżonego do nich „zawsze niespokojnego oceanu ludzkiego życia”, jak to sam pięknie określił.

Ten dziewiętnastowieczny, narastający etapami aż do swego szczytu z końcem XIX wieku, nurt marynistyczny wywodzi się z romantycznego odkrycia i przeżycia natury jako podstawy wszelkiej sztuki i jej przeciwstawienia się wszelkiej cywilizacji. Natury pojętej oczywiście jako natury wolnego i nieskrępowanego żywiołu, szczególnie morza i gór, będących symbolami szczególnego piękna, wolności i swoistości.

¹ Z brulionu listu o Redonie w: *Moderniści o sztuce*, PWN 1971, s. 261.

² Oto np. dwa obrazy Muncha w interpretacji St. Przybyszewskiego — „Śmiała a silna linia wybrzeża, tworzącego na pierwszym planie zatokę, a ginąca gdzieś w dali. Nad brzegiem dwie grupy drzew, pośród nich białe ściany rybackiej chaty, w morze wybiega długi pomost, a na pomoście para ludzi: (w niej) dziewczę w białej sukni. A ponad tym niebo w dzikim przepychu, rozdarte w szerokie, kłębiące się pasy gasnących ogni i purpury... (inny obraz) — Żółty żagiel, przeraźliwie żółty żagiel zajmuje całe prawie tło obrazu. Jakby cienkie czerwone pasmo widać krawędź łódki. Stary rybak siedzi w łódce, ale sterem kieruje śmierć” — ST. PRZYBYSZEWSKI, *Na drogach duszy* — Edward Munch, w: *Moderniści o sztuce*, PIW 1971, s. 403.

³ K. WYKA, *Modernizm polski*, wyd. 2, Kraków 1967, s. 165.

⁴ Wystarczy przypomnieć choćby „Dzieci kapitana Grandta”, „20 mil podwodnej podróży”, „Tajemnicza wyspa”, „W 80 dni dookoła świata”.

⁵ STEVENSON R. „Wyspa skarbów”.

Charakterystyczne pod tym względem jest wyznaczenie na temat morza Fryderyka Chopina, który tak pisał w jednym z listów z wyspy Majorki: „Człowieka przenika (tu) poetyckie uczucie, które zdaje się emanować ze wszystkich otaczających przedmiotów... Jestem zupełnie bliski tego, co jest najpiękniejsze na świecie... Stałem się lepszym człowiekiem... Niebo (tu) jak turkus, morze jak lazur...”¹

W drugiej połowie XIX wieku jednak ten nawrót do romantycznego pojmowania natury miał swoje głębsze, nie tylko literackie czy ideowe przyczyny. Zbiegały się one z wielkimi przeobrażeniami społeczno-ekonomicznymi oraz wielkimi odkryciami przyrodniczymi i geograficznymi. Dzięki dynamicznemu rozwojowi produkcji okrętowej i wprowadzeniu maszyny parowej jako głównego napędu statku i zwiększeniu się przez to bezpieczeństwa podróży rozwinęło się, na niebywałą dotychczas skalę, podróżnictwo morskie. Zaroilo się więc od wypraw naukowych tropiących „białe plamy” na geograficznej mapie świata, żeby wymienić chociażby tragiczną wyprawę De Longa do bieguna północnego, która stała się impulsem do pierwszej marynistycznej powieści W. Sieroszewskiego czy wyprawy Franklina, Scotta, Amundsena i innych szukających rozwiązania geograficznego lub biologicznych zagadek świata. W wyprawie sławnej „Belgiki”, która pierwsza przezwyciężyła za kołem podbiegunowym na Antarktydzie, brało udział dwóch, wybitnych później, uczonych polskich, z których jeden, Antoni Dobrowolski zostawił dokumentarne i świetnie napisane pamiętniki z tej wyprawy i był w okresie międzywojennym inicjatorem sześciu polskich wypraw arktycznych. Byli nawet tacy, którzy organizowali wyprawy nie tyle naukowe, ile podróżnicze jak np. Benedykt Tyszkiewicz, który na własnym jachcie odbył w 1875 roku podróż naokoło świata, czy Ignacy Milewski wyprawiający się na własnym jachcie motorowym na Morze Białe lub Józef Siemiradzki do Ameryki Południowej.

Niezwykły w tych latach wzrost zainteresowań sprawami morskimi spowodowany był w naszej polskiej sytuacji, także dodatkowymi względami. Jednym z nich były tułaczce losy wielu wybitnych jednostek, głównie przyszłych pisarzy jak np. H. Jabłońskiego, Sygurda Wiśniowskiego, M. Zaruskiego, W. Sieroszewskiego, A. Dobrowolskiego i innych, jak i nie mniej tułaczce losy całych grup społecznych, poszukujących pracy za oceanem, co siłą rzeczy powodowało zbliżenie z morzem, a w wielu wypadkach stało się tematem literackim, żeby przypomnieć M. Konopnickiej PANA BALCERA W BRAZYLII czy Sienkiewicza ZA CHLEBEM lub mało wartościową, ale znaną jako replikę w stosunku do PANA BALCERA W BRAZYLII powieść niejakiego Stefana z Opatówki NA MORSKIEJ WYDMIE (1894).

Inną znowu przyczyną tych szczególnych zainteresowań morskich była sprawa „emigracji zdolności” jak to określił W. Lutosławski, a potem, w roku 1899 podniosła już w nastawie i głośny sposób E. Orzeszkowa. Ona to uczyniła z tej „emigracji zdolności” problem „zdrady narodowej” Conrada, czyli, jak to samo określiła „tego pana, co to dla pieniędzy pisze angielskie książki”. Gwałtowna dyskusja zapoczątkowana na ten temat w czasopiśmie „Kraj” zwróciła powszechną uwagę nie tylko na Conrada, oddając mu z czasem w tym samym piśmie pełną sprawiedliwość, ale także na związaną z jego emigracją sprawę morza.

Ponadto kolejnym czynnikiem pobudzającym zainteresowania morskie w ówczesnym społeczeństwie polskim stało się stopniowo, coraz większe odkrywanie Bałtyku jako polskiego morza i mieszkającego na wybrzeżu ludu kaszubskiego jako ludzi morza — najpierw w publicystyce, potem w nauce i wreszcie w literaturze. W wyniku tych różnorodnych czynników ukazało się w ciągu jednego tylko dziesięciolecia (1880—1890) ubiegłego wieku czterdzieści pięć powieści, zbiorów opowiadań lub szkiców — polskich i obcych autorów — a w ówczesnej prasie krajowej około sto kilkadziesiąt różnego rodzaju oddzielnych opowiadań, reportaży, szkiców z podróży, wspomnień itp., czyli tzw. „małych form beletrystycznych” o tematyce morskiej. Ukoronowaniem niejako tego procesu zagęszczania tematyką morską naszej literatury tego okresu było wydanie w następnym dziesięcioleciu, już w 1897 roku, Conradowskiego WYKLEJENIA (pt. WYGNANIEC), a po wydaniu w 1904 roku LORDA JIMMA i coraz triumfalniejszym wejściu tego pisarza do naszej literatury, było pojawienie się najlepszych utworów marynistycznych W. Sieroszewskiego, St. Przybyszewskiego, M. Konopnickiej, T. Micińskiego, Hajoty, Deotymy i innych pomniejszych pisarzy oraz znakomitych fragmentów mor-

skich w większych utworach St. Żeromskiego czy H. Sienkiewicza. Warto więc odnotować dla przykładu, choćby w przypisach, tytuły i daty pojawienia się we wspomnianym dziesięcioleciu 1880—1890 tych wszystkich dużych form prozatorskich, z których oczywiście tylko nieliczne mają większą wartość literacką, ale przez swoją powszechność i nasilenie tematyczne — nie mówiąc już o lirycie tamtego okresu — wnoszą do naszej literatury nowy temat, nową problematykę, nowy pejzaż, nowe sytuacje losu ludzkiego czy narodowego — na długo przed WIATREM OD MORZA¹. To zagęszczenie tematyki morskiej w literaturze, a także, choć w mniejszym stopniu, w plastyce morskiej, nie uzyskało jeszcze wówczas jednoznacznego terminu nazewniczego, choć istniał on już w słownictwie rosyjskim i francuskim, lecz odnosił się tylko do malarstwa. W języku rosyjskim terminem tym był wyraz „marinist” i oznaczał „malarza pejzaży morskich”. W takiej też formie jako „marynista” i w takim znaczeniu stwierdzał jego obecność w naszym piśmiennictwie tzw. warszawski SŁOWNIK JĘZYKA POLSKIEGO z roku 1902, choć definiował go jeszcze dwojako, mianowicie jako „malarza scen morskich, okrętów” oraz jako „naśladowcę stylu włoskiego poety, Mariniego” i nie umieszczał go w jakimś konkretnym cytacie. Dopiero w dziesięć lat później, w roku 1912, wyraz ten w innej trochę formie znajdzie swoje powiązanie z literaturą w wypowiedzi znanego krytyka Stanisława Brzozowskiego, który określał twórczość Conrada jako „marynizm”.

¹ ST. TELEGA, FELIKS NOWOWIEJSKI (rozmowa z synem kompozytora, Kazimierzem Nowowiejskim) „Odra” — katowicka — 1948, nr 49.

Zestawienie opracowane na podstawie „Przewodnika Bibliograficznego” z r. 1880—1890.

1. ANCZYC WŁ. L.: Przypadki Robinsona Kruzo (wyd. 3, W-wa 1880),
2. BELZA S.: Jeden miesiąc w Norwegii. Z dziennika podróżnego... (W-wa 1880),
3. DZIEDZICKI Z.: Podróże Nordenskjölda w okolicach podbiegunowych (Kraków 1880),
4. (bez autora): Robinson Kruzo nowy... (wyd. 2, Wadowice 1880),
5. MELVILLE H.: Cztery miesiące pobytu na jednej z wysp Markizów... (W-wa 1881),
6. MUELDNER H.: Znad brzegów morza północnego, Wspomnienia z podróży... (W-wa 1881),
7. REHMAN A.: Szkice z podróży do południowej Afryki... (W-wa 1881),
8. (bez autora): Rozbitki, przygody rodziny angielskiej (Poznań 1881),
9. STAHL J.: Robinson szwajcarski... (wyd. 2, W-wa 1881),
10. BADE TH.: Robinson amerykański... (W-wa 1882),
11. DEFOE D.: Robinson Kruzo, czyli przygody rozbitka opracowane dla dzieci... (Kraków 1882),
12. JACOLLIOT L.: Tajemnice Afryki. Ostatni statek niewolniczy... (W-wa 1882),
13. MAYNE REID: Młodzi żeglarze... (W-wa 1882),
14. ANCZYC WŁ. L.: Przypadki Robinsona Kruzo (wyd. 4, Kraków 1883),
15. DEFOE D.: Robinson Kruzo (Lwów 1883),
16. RAYNAL F.: Rozbitki albo dwudziestomiesięczny pobyt na wyspach auklandzkich (wyd. 2, W-wa 1883),
17. ZIEMBA K. (i inni): Ostatnie dni Arkony i Swantewild (1883),
18. ENGELSTROEM W.: Wyspa Gotland, obrazek z podróży (W-wa 1884),
19. MAYNE REID: Potów potworów morskich (W-wa 1884),
20. (bez autora): Robinson Kruzo... (wyd. 3, Wadowice 1884),
21. SYGIETYSKI A.: Na skałach Calvados (1884),
22. CZERMAK W.: Przepawa Czarnieckiego na wyspę Alsen (Lwów 1885),
23. DYBOWSKI B.: Wyspy komandorskie (Lwów 1885),
24. GRILLPARZER F.: Gra uczuć i fal morskich. Dramat w 5 aktach (Tarnów 1885),
25. HOFFMAN F.: Przygody Piotra na okręcie i w więzieniu (Kraków 1885),
26. (bez autora): Odkrycie Ameryki. Krzysztof Kolumb (Kraków 1885),
27. (bez autora): Przygody Ferdynanda Korteza... (Kraków 1885),
28. COBB S.: Tajemnice burzy morskiej (Gródek 1886),
29. GERSTAECKER F.: Rozbitek korsarza (Gródek 1886),
30. JOKAJ M.: Oceania, historia świata zaginionego (Łódź 1886),
31. MORAWSKI Z.: Listy z podróży do Ameryki Południowej (Kraków 1886),
32. POEICHE I.: Na dalekim oceanie (Złoczów 1886),
33. POEICHE I.: Pierwsza podróż Krzysztofa Kolumba (Złoczów 1886),
34. ROGOZIŃSKI S.: Wyprawa... (W-wa 1886),
35. COOPER F.: Czerwony korsarz (Kraków 1887),
36. LOTI P.: Rybak islandzki (W-wa 1888),
37. MANTUEFFEL G.: Listy z nad Bałtyku (Kraków 1888),
38. GŁĘBIOWSKI H.: Obrazki rybackie (1888),
39. MIZERA M.: Do Ameryki po złoto (W-wa 1888),
40. (bez autora): — Robinson Kruzo nowy... (wyd. 4, Wadowice 1888),
41. ENGELSTROEM W.: Wyspa Gotland, Obrazek z podróży (Poznań 1889),
42. ZALESKI: Voyage à Ceylon et aux Indes (Rome 1889),
43. AMICIS E.: Na oceanie (W-wa 1890),
44. ANCZYC WŁ. L.: Przypadki Robinsona Kruzo (wyd. 5, Kraków 1890),
45. CHECIŃSKI J.: Robinson szwajcarski (wyd. 3 W-wa 1890).

W związku z tym daty 1902 i 1912 wydawały mi się już na tle przedstawionych tu faktów zagęszczenia nurtu marynistycznego w pewnym stopniu spóźnione, niezharmonizowane z narastającym tak zadziwiająco nurtem marynistycznym w latach osiemdziesiątych. Toteż z dużą satysfakcją odnalazłem — przypadkowo zresztą — wyraz „marynista” w czasopiśmie **WĘDROWIEC** z roku 1870, gdzie użyto go w artykule o twórczości sławnego malarza rosyjskiego, Iwana Ajwazowskiego, autora ponad tysiąca obrazów o treści marynistycznej¹.

Tak oto ten drobny w zasadzie, ale znamienity dla poruszonego tu tematu, przykład leksykalnej natury — podobnie zresztą jak próba opracowania pierwszego polskiego słownika marynarskiego już w 1876 roku² oraz pojawienie się w druku już w roku 1883 pierwszej polskiej encyklopedii morskiej³ — jest w jakimś stopniu współbieżnym dowodem potwierdzającym prawidłowość narastania tematu morskiego w sztuce i nauce. Co więcej, wydaje się, że tylko szczególnie niekorzystny zbieg okoliczności politycznej natury przeszkodził w zadamowaniu się w naszym słownictwie — już w tym czasie — wyrazu marynista czy marynistyka. Sprawa nie jest jeszcze dokładnie publicznie zbadana, ale pozostają faktem niezbitym dwa znamienne wydarzenia, które przeszkodziły w upowszechnieniu się w tym właśnie czasie tego wyrazu. Oto po pojawieniu się wyrazu „marynista” w warszawskim „Wędrowcu” w r. 1870 ukazała się w tym samym piśmie w parę lat później, w r. 1876, wzmianka, że w Warszawie odbędzie się wystawa znanego malarza Iwana Ajwazowskiego. Wystawa ta jednak się nie odbyła, ponieważ została zbojkotowana ze względów politycznych przez społeczeństwo Warszawy, przy czym bojkot ten nie był wymierzony przeciw sławnemu malarzowi, lecz carskim władzom, które wydały wtedy jakieś zarządzenie wymierzone przeciw Polakom. Na skutek tego nie mogło być odzewu w prasie zarówno na temat samej wystawy, jak i jej marynistycznego charakteru, co sparaliżowało niejako w zarodku zarówno dalsze rozpowszechnienie się wyrazu „marynista” w ówczesnym piśmiennictwie, jak i ewentualne spory na temat tego terminu, który przecież w tamtych jeszcze latach nie miał jednoznacznej treści.

Oczywiście sprawa terminologicznego określenia jest sprawą drugorzędą w literaturze, ma charakter tylko czynnika porządkującego, a nie wartościującego. Tym niemniej sam fakt pojawienia się tak wcześniej tego terminu i związanego z nim pojęcia świadczy o narastaniu nowego tematu w literaturze, która przez cztery niemal wieki od czasu swego powstania wypowiadała się w sprawach piękna i w sprawach jednostki oraz narodu poprzez doświadczenia i przeżycia zamknięte w granicach wiejskiego krajobrazu. Ta nowość miała więc urok fascynacji i pokusy „modrookiego marzenia”, a jednocześnie otwierała skłonność do mitów, alegorii i symboli, skłonność do otwierania horyzontów do innych światów i doświadczeń egzotycznych. Jej charakterystycznym przykładem była z jednej strony narastająca atrakcyjność pisarstwa Conrada i jego wpływ na literaturę światową, a z drugiej strony paradoksalność zjawiska, że w kraju brano za „dobrą monetę” pisarstwo człowieka, który morze znał tylko z opisów, gdy zaczął pisać marynistyczne powieści — odbył w późniejszym okresie tylko jedną podróż do Ameryki — a który zdobył niezwykłą popularność nie tylko jako pisarz młodzieżowy. Był nim Władysław Umiński, autor takich powieści jak **ZWYCIEŻCY OCEANU** (1891), **NA FALACH ATLANTYKU** (1898), **TAJEMNICZA BANDERA** (1901), **WĘDROWNA WYSPA** (1895), **Z ODMETÓW MORSKICH** (1904), **CZARODZIEJSKI OKRĘT** (1916), **W GŁĘBINACH OCEANU** (1920).

Jak mi oświadczył Umiński w wywiadzie w 1949 roku, kiedy miał już 74 lata, źródłem jego marynistycznych aspiracji była lektura naukowa o morzu i wyprawach morskich oraz związane z tym zagadnienia przyrodnicze i geograficzne, jak również zagadnienia fantastyki naukowej⁴. I ten właśnie pisarz, którego książki ukazywały się w wielokrotnych nakładach (np. „Zwycięzcy oceanu” — 8 wydań!), stał się w tamtym okresie wychowawcą morskim ówczesnego pokolenia, a jego książki cieszyły się poczytnością, szczególnie wśród młodzieży, jeszcze w okresie międzywojennym i były tłumaczone na wiele obcych języków (np. na rosyjski, czeski i słowacki), choć ich wartość artystyczna była znikoma, a naiwność tematyczna duża.

Najpełniej natomiast wyraził nową tematykę w tamtym okresie pisarz, który również nie był człowiekiem morza, ale poznał je dokładnie w czasie swego burzliwego życia, dużo podróżował i w swoich licznych powieściach i opowiadaniach czy reportażach wprowadził już nie tylko pojedyncze motywy czy wątki marynistyczne, ale całe tematy i zagadnienia poświęcone sprawom, w których morze było decydującym tłem i odgrywało zasadniczą rolę. Ponadto wprowadził do literatury różnego rodzaju prototypy gatunkowe marynistyki, np. pierwsze powieści polarne: **WSKÓD LODOW** i **UCIECZKĘ**, pierwsze powieści historyczno-morskie, w których morze było decydującym czynnikiem losów ludzkich, mianowicie **BENIOWSKI** i **OCEAN**, pierwszą powieść rybacką z Dalekiego Wschodu **INGWA**, pierwszą powieść psychologiczno-obyczajową **JAK LIŚC JESIENNY**, pierwszy reportaż o **POLOWANIU NA WIELORYBY**, pierwsze szkice i impresje z mórz Dalekiego Wschodu, a w wolnej Polsce, pierwszy scenariusz do filmu morskiego.

Ponadto umiał on nadać swym utworom charakter wyraźnego autentyzmu morskiego nie dając się uwieść łatwiej mitologizacji morza, a jednocześnie potrafił przenieść swoje bogate przeżycia osobiste, wynikłe z przymusowego długoletniego pobytu na zamkniętych terenach zesłania z ludźmi różnych narodowości, na doświadczenie i konflikty ludzi przeżywających na jednym statku podobne, odwieczne problemy.

Pisarzem tym był Wacław Sieroszewski, wieloletni zesłaniec na Dalekim Wschodzie, działacz radykalnej lewicy, pisarz o dużym talencie obserwacyjnym i znajomości psychiki ludzi prostych. Właśnie dzięki temu charakterowi swojej twórczości zainicjował współczesną marynistykę wszechstronnej i obszernej aniżeli inni pisarze z końca XIX i początku XX wieku. Dlatego jego, a nie Żeromskiego, jak to czynią niektórzy krytycy i historycy literatury, uznać należy za ojca współczesnej naszej marynistyki¹.

W związku z tym możemy się pokusić o wskazanie z dużym prawdopodobieństwem dokładniejszej daty narodzin polskiej marynistyki, a więc na lata zamknięte w granicach 1880—1900, kiedy w naszej literaturze XIX wieku nastąpiło największe nasilenie twórczości tematyką morską i największe zafascynowanie morzem jako „modrookim marzeniem”.

¹ ST. TELEGA, „Marynista” istniał już w 1870 r., *Nautologia*, nr 1/2 1970 oraz ST. TELEGA, „Co stanowi Z. Brocki w sprawie „Marynisty” z 1870 roku”, *Nautologia* 1977, nr 2.

² ST. TELEGA, „Pierwszy polski słownik marynarski” z 1876 r., *Nautologia*, 1971, nr 1.

³ FR. KSAWERY TUCZYŃSKI, „Morze, zjawiska w niem lub na niem”, III tomy 18883—1885.

⁴ ST. TELEGA, *Czarodziejski okręt, czyli o twórczości Wł. Umińskiego*, „Odra” Katowicka 1949, nr 20.



MAREK KOSZUR

A TO MORZE WŁAŚNIE...

Kiedy pierwszy raz zetknąłem się z morzem? Hm... Oczywiście w dzieciństwie. Jeździłem z rodzicami do Sopotu, do Gdyni. Tam najwięcej czasu spędzałem wśród marynarzy, na nabrzeżach czy statkach, których kapitanowie pozwalali mnie i moim rówieśnikom wchodzić na pokład. Jedną z takich wakacyjnych przygód pamiętam szczególnie mocno. Miałem 14 lat.

Jeden z chorążych na okręcie „Ślązak” tak sugestywnie opowiadał o pracy na morzu, o życiu na okręcie, że postanowiłem poświęcić się tym sprawom. Oczywiście nie przypuszczałem jeszcze, że choroba nie pozwoli mi na pływani. Po powrocie z wakacji do Poznania w 1934 r. kupiłem w księgarni przy pl. Wolności książkę Olgierda Żukrowskiego zatytułowaną „Współczes-

ne okręty wojenne”. Hm... Zacząłem ją czytać już na schodach księgarni. Przeszedłem jednak ulicę i w parku na ławce dokończyłem lekturę. Dopiero później uświadomiłem sobie, że siedzę w środku miasta, że to popołudniowy szczyt komunikacyjny, że obiad czeka na mnie w domu, słowem — zapomniałem o bożym świecie. Chciałbym jeszcze raz przeżyć taką chwilę fascynacji...



Kilka ogólnych stwierdzeń. Jerzy Pertek, nawet wśród ludzi, którym obce są sprawy morza, kojarzy się jednoznacznie z tą problematyką. Jego opracowania z historii żegluga i wojen morskich są jakże kompletną literaturą przedmiotu. Fantastyczna dokumentacja, setki spisanych na prośbę autora relacji i pamiętników, notki biograficzne, katalogi systematyczne i odtwarzające przebieg działań wojennych na morzu, fotografie — to prawdziwe archiwum, którego może pozazdrościć niejedno muzeum. Książki J. Pertka to także nowe zjawisko w literaturze, nowy sposób narracji, przedstawiania faktów.

„Zapewne był Pertek pierwszym tak oryginalnym, i do dziś jest niedoścignionym, popularyzatorem historii wojennomorskiej — mówi Edmund Męclewski. — Nie potrafię umiejscowić go wśród przedstawicieli literatury faktu. Pertek jest sam kartą dla siebie”.

A wszystko zaczęło się tak banalnie. Wycieczki nad morze, chłopięca fascynacja, entuzjazm dla spraw morskich, tak charakterystyczny dla okresu międzywojennego, literatura. Książka Żukrowskiego stała się pierwszą w jego bibliotece. Od tej chwili gromadzi wszystko, co ukazywało się o morzu, notuje swoje spostrzeżenia, zbiera wycinki prasowe.

Doskonale pamiętam atmosferę tamtych dni. Budowa Gdyni, akcja propagandowa Funduszu Rozbudowy Floty, relacje z dalekich rejsów, Liga Morska i Kolonialna. Nie byłem odosobniony. Moi koledzy również pasjonowali się tą problematyką. Wyjazdy nad morze, do Jastarni i na Hel, gdzie stacjonowały nasze okręty wojenne. Te stare, małe niemieckie okrętki: torpedowce, stawiacze min, kanonierki. Wyjazdy stały się jakimś rytualnym obrzędem. Nic nie było w stanie mnie powstrzymać. Marynarka Wojenna udostępniała te jednostki zwiedzającym codziennie po południu przez 2—3 godziny. Ja byłem tam cały czas.

Ówczesna prasa wiele miejsca poświęcała morskim rubieżom kraju. Mówiono o potrzebie rozbudowy naszej Marynarki Wojennej, o wzmocnieniu stanu obronności tej granicy, konieczności wzbudzenia, głównie wśród młodych, chęci odbywania służby wojskowej na okrętach wojennych. Organizowano konkursy, quizy, znaczna część miesięcznika „Morze”, który ukazuje się od 1924 roku, była poświęcona Marynarce Wojennej. Fotoreportaży publikowane w prasie ogólnokrajowej należały do bardziej atrakcyjnych.

Nam młodym podobał się ten szyk, ten fason ludzi w marynarskich mundurach. Ileż to dramatów rodzinnych miało wówczas miejsce, bowiem syn, który zgodnie z życzeniem rodziców uczył się na administratora, lekarza, miał przejąć interesy ojca — uciekał nad morze i zaciągał się do Marynarki Wojennej. Nie przerażała tych młodych nawet owa pruska dyscyplina i żołnierski dryl. Godziny ćwiczeń i musztry. Ciągłe alarmy, wyczerpanie psychiczne i fizyczne. Wielu zapadało po prostu na tę niewytłumaczalną „morską malarię”...

Jerzy Pertek również marzył o pływaniu. Ba! Nie wyobrażał sobie, kończąc gimnazjum, że może być inaczej. Specjalistyczne badanie lekarskie i testy wykazały całkowitą sprawność organizmu. W rubryce określającej kategorię zdrowia wpisano dużą literę „A”. I nagle wszystko się zawaliło. Na rok przed maturą — zapalenie środkowego ucha. Drobiazg. Kilka, może kilkanaście dni leczenia i po wszystkim. Pojawiły się jednak komplikacje. Całkowite zdrętwienie prawej ręki. To też drobiazg, ot, przez kilka dni kłopoty z pisaniem. Lekarze nie umieli określić ani przyczyn, ani ewentualnych dalszych konsekwencji tej chwilowej niedyspozycji. Po paru miesiącach J. Pertek wraca do zdrowia. A więc sprawa pójścia na morze staje się znów aktualna.

W tym czasie została utworzona Szkoła Lotnicza dla Oficerów Rezerwy. Ponieważ kwalifikowałem się już tylko do tego typu formacji wierzyłem, że podobna placówka powstanie w Marynarce Wojennej. Zamierzałem skorzystać z tej okazji i zapisać się na pomaturalny kurs dla podchorążych. Czekam więc rok, dwa, ale niestety. Później wybuchła wojna i szkoły nie utworzono.

Nagle — nawrót choroby. Trwało to kilka miesięcy. Nadal brak diagnozy. Coraz bardziej jestem ograniczony... Zaliczałem się do ludzi bardzo aktywnych, ruchliwych, nie mogłem siedzieć na jednym miejscu dłużej, jak kilka chwil. Tymczasem...

W nie najlepszej kondycji rusza J. Pertek w poszukiwaniu Rejonowej Komendy Uzupełnień. 6 września 1939 roku jest już w zbombardowanej Wrześni. Dalej na trasie jego wędrówki Konin, Koło i Kutno. Coraz dalej od morza! 10 września jest już w Warszawie. Tam, w Hotelu Europejskim czyta gazetę. Jego uwagę zwraca notatka mówiąca o zatopieniu niemieckiego U-boota przez polski kontrtorpedowiec „Wicher”. Jak się później okazało, „Wicher” miał walczyć gdzieś na Morzu Północnym w okolicach Wilhelmshaven spoczywał na dnie helskiego portu wojennego. Wycinek z tej gazety jest pierwszy w nowym zbiorze materiałów J. Pertka. Następny, to informacja o nabożeństwie za dusze „wszystkich poległych na Westerplatte”. Te nieprawdziwa informacje wykorzystał także K. I. Gałczyński w wierszu, o tych, którzy „czwórkami do nieba szli”.

W „tułaczym plecaku” coraz więcej materiałów o działaniach wojennych na morzu. Czy uda się kiedyś odtworzyć zbiór ponad 1000 książek, które zostały w poznańskim mieszkaniu? Trzeci wycinek mówił o wyczynie załogi „Orla”, która ucieka z Tallina, gdzie nasz podwodny okręt został internowany. Co dalej się wydarzyło? Jakie były losy bohaterów tych trzech informacji prasowych?

Zbiera dodatkowe wiadomości, uzupełnia o szczegóły, gromadzi swoisty zbiór korespondencji wojennych. Prenumeruje niemieckie pisma fachowe, przede wszystkim „Marine Rundschau” oraz polską prasę podziemną. W krótkim czasie odmówiono mu sprzedaży

niemieckich gazet na pocztę. Każdy bowiem prenumerator był rejestrowany przez władze niemieckie. Znalazł jednak sposób. W księgarniach „nur für Deutsch” sprzedawcami byli często Polacy. Zaprzyjaźnił się z nimi i znów dysponował całym serwisem informacyjnym.

Wkrótce mój zbiór mieścił się w walizce dość okazałych rozmiarów. Na dobrą sprawę był to materiał konspiracyjny. Jedna bowiem informacja z punktu widzenia prawa nie stanowi problemu, ale ich zbiór i jeszcze usystematyzowany — to już gorsza sprawa. Dzięki tym wycinkom mogłem śledzić przebieg działań wojennych na morzu. Korzystałem także z komunikatów radiowych. Przed Powstaniem Niemcy wywieźli rodziców do Podkowie Leśnej. Obawiałem się, że moje archiwum może przysporzyć kłopotów, nie tylko mnie, ale i moim bliskim.

Postanowiłem przenieść wszystko w bezpieczne miejsce. Kilka walizek pełnych wycinków i notatek zostawiłem w Podkowie. Miałem dużo szczęścia, bo w kilka dni później materiały pozostawione w Warszawie zostały zniszczone. Bardziej cenne — zakopałem.

Po wojnie władze polskie wydały zarządzenie, w myśl którego trzeba było pod groźbą kary zdawać wszystko, co niemieckie. Gromadzono znaczne ilości książek, gazet, podręczników, map — albumów. Każdy ze zdających otrzymał pokwitowanie.

Mój ojciec był w wielkiej rozterce. Wiedział, czym są dla mnie te materiały. Którejś nocy przeprowadził gruntowną selekcję, wybrał duplikaty i mniej istotne wycinki, dołożył do tego parę książek i oddał. Resztę, w dalszym ciągu kilka walizek, schował. Jestem mu bardzo wdzięczny za to. Po dwóch latach odkopaliśmy te materiały. Część z nich zbutwiała. Wiele trudu kosztowało mnie ich odtwarzanie. Zbiór ten stał się podstawą mojej dzisiejszej działalności.

Po wojnie J. Pertek wraca do Poznania. Rozpoczyna pracę dziennikarską w Zachodniej Agencji Prasowej. W owym czasie Agencją kierował Edmund Męclewski. Jeden z członków zespołu, red. Pilichowski, zaproponował Pertkowi napisanie cyklu artykułów o losach poszczególnych polskich okrętów wojennych. Były one drukowane w Biuletynie Informacyjnym Agencji i docierały do wielu czasopism. Ich redaktorzy niezwykle wysoko ocenili te materiały. Stąd też w każdej niemal gazecie krajowej pojawiały się interesujące opracowane opowieści morskie.

Po kilku miesiącach wezwał mnie dyr. Męclewski i mówi: Panie Jerzy, z tego powinna powstać książka. Trzeba tu przypomnieć, że Agencja przygotowała się właśnie do wydawania książek. Dostałem więc miesiąc urlopu i przez cały sierpień prawie nie wstałem od biurka. Nie miałem czasu na czytelowanie tekstu. Dziewczyźnie dyktowałem a vista na maszynę. Po kilku miesiącach pobraliśmy się. Do dziś żona pomaga mi w pisaniu. Robi to świetnie.

Rodzice oddali nam do dyspozycji pokój. Byłem naszpikowany wiadomościami, ale w pewnej chwili zwątpiłem w tę metodę pisania. Czas był krótki. Jednak doświadczenia dziennikarskie znacznie ułatwiły mi selekcję materiału. Tak powstała pierwsza książka „Wielkie dni małej floty”. To książka mojego życia.

Energiczny, wszędzie obecny, aktywny. Z łatwością przygotowywał materiały do Biuletynu. W 1946 roku Jerzy Pertek reprezentuje Zachodnią Agencję na szczecińskich uroczystościach „Trzymamy straż nad Odrą”.

Wiele wrażeń dostarczył mi ten wyjazd. Przy Walach Chłobrego zobaczyłem znów moje „stalowe kolosy!” Przypłynęły bowiem do Szczecina cztery trałowce. Nie mogłem jednak zawieść red. Męclewskiego. Przykazał mi pchać się wszędzie, słuchać, dowiadywać i zebrany materiał natychmiast ślać do Centrali. Tam nawiązałem największe życiowe przyjaźnie. Poznałem późniejszego admirała Steyera i komandora Urbanowicza. Odniosłem również duży sukces dziennikarski. Zaplanowano bowiem, że jednym z punktów szczecińskiej uroczystości będzie inauguracyjne posiedzenie Komisji Morskiej — później Ministerstwa Gospodarki Morskiej. Główne uroczystości odbywały się przy Jasnych Błoniach. Po połowej mszy Bolesław Bierut dekorował pionierów ziemi szczecińskiej. Ponieważ Męclewski kazał być wszędzie, więc mało brakowało i mnie Bierut udekorowałby. Kiedy podszedł do mnie, uskokczyłem w bok pokazując legitymację prasową. Dużo było śmiechu. Później odbyła się defilada. Wszyscy uczestnicy tej manifestacji, a przede wszystkim goście z całego kraju, zmęczeni podróżą pobiegli do bufetów. Specjalne przyjęcie zorganizowano dla dziennikarzy. Drobną zakąską, kieliszek, słońce, zmęczenie i dziennikarską brać zmogło. Pamiętałem cały czas o owym posiedzeniu Komisji Morskiej. Pamiętał o tym także Czesław Piskorski, do dziś aktywnie działający w Szczecinie. Byliśmy więc jedynymi korespondentami, którzy przysłuchiwali się obradom prowadzonym przez Bieruta i ministra Kwiatkowskiego.

Drobne chwile radości i satysfakcji są jednak doprawdy tylko chwilami. Ciepła choroba na długie miesiące odrywa J. Pertkę od pracy. Już wiadomo, jakie są konsekwencje. Głównym miejscem jego działalności pozostaje dom. Rozglądam się po pokojach. Prawdziwa uniwersytecka biblioteka. Tyśiące książek we wszystkich chyba językach świata, oprawione czasopisma, teczki i skoroszyty. Tu panuje cisza. Z dala od ruchliwego centrum, w wil-

lowej dzielnicy Poznania powstaje, ciągle uzupełniana o nowe szczegóły, monografia floty, o której angielski historyk napisał: „ze wszystkich flot Zjednoczonych Narodów żadna nie walczyła lepiej w warunkach najwyższych trudności operacyjnych, jak Polska Marynarka Wojenna”. Przez wiele jednak lat borykał się J. Pertek z wielkimi kłopotami mieszkaniowymi.

— *Próbowałem interweniować — mówi red. E. Męclewski — Wykorzystałem wszelkie możliwości. Władze miasta załatwiły jednak tę sprawę same.*

Swego czasu przyglądałem się morskim zainteresowaniom władz kulturalnych poszczególnych miast. Rozmawiałem wówczas z przedstawicielką Wydziału Kultury Urzędu Miejskiego w Poznaniu. Przyznała, że zapomnieli, że ktoś nie dopatrzył, a w ogóle sam zainteresowany najprawdopodobniej zbyt mało zabiegał o swoje sprawy. Dobrze, poprzestaśmy na tym.

Dziś dzieło J. Pertki znajduje uznanie wśród ekspertów i czytelników jego książek na całym świecie. Potwierdzeniem bardzo obfita korespondencja, licznie nadsyłane informacje, książki, dokumenty. Nie ma prawie dnia, żeby nie zblądził na ul. Zakręt ktoś, kogo nazwisko jest w sprawach morskich bardzo znaczące. Mnie udało się wcisnąć na parę godzin — po wizycie gościa z Anglii, ale przed nadejściem gościa z Francji czy Kanady.

I tu rzecz charakterystyczna. Człowiek tak ceniony i znany nie znalazł miejsca w teoretycznych czy krytycznoliterackich opracowaniach. Przynajmniej ja na takie nie natrafiłem. Owszem, wspomina się jego książki, odwołuje do nich, ale to wszystko. „Jest kartą sam dla siebie...”

Jerzy Pertek jest reprezentantem drugiego, po określanym mianem pokolenia „Wiatru od morza”, ugrupowania twórców zajmujących się popularyzacją spraw morskich. Jego literackimi rówieśnikami są: Lech Bądkowski, Franciszek Fenikowski, Stanisława Fleszerowa-Muskat, Leszek Prorok i Franciszek Gil. Jest to pokolenie zauroczone morzem, morzem, które na swym brzegu kazało wybudować port i miasto, które przyjęło na swa służbę banderę światu dotychczas nieznaną. Patrzyli oni już na bohaterów, na ich dzieła i próbowali pójść wyznaczonym kursem. Wojna przerwała ten sen „o morskiej potędze Polski”. Po wojnie przysłyły nowe zadania. Pertek postanowił zdać światu sprawę o losie tych, którzy „nie mieli sobie równych”.

„Wielkie dni małej floty” — to brzmi już jak termin literacki, określenie pewnego zjawiska, dużej liczby książek poświęconych tej tematyce. Pertek jest pierwszy. Wyznaczył nowy zakres literackich penetracji, zadośćuczynił dużemu społecznemu zapotrzebowaniu. Dla mnie najbardziej charakterystyczne w tej twórczości jest swoiste mitologizowanie uczestników działań wojennych na morzu, niekiedy zwykłych marynarzy, których śmierć moglibyśmy na dobrą sprawę nazwać bez-

imienną. Sugestywnie i jednocześnie bardzo wiernie, zgodnie z całą rzeczywistością morską i jej specyfiką tworzy Pertek jakby z pojedynczych obrazów całość morskiej wojny.

Ukazuje jej bezwzględność, do niego nieporównywalną tragedię „tych, co na morzu”, dramat trzeciej kategorii ludzkiego rodu, której starożytni wyznaczyli miejsce po żywych i umarłych. Na kartach jego kronikarskich zapisów ożywają sytuacje, utrwalają się w naszej pamięci sylwetki kapitanów, oficerów, marynarzy. Oszczędny komentarz, niezbędna narracja, prosty język. Zapewne dlatego w ankiecie, którą swego czasu przeprowadziłem wśród kilkuset uczniów Liceum Morskiego i Wyższej Szkoły Morskiej w Szczecinie nazwisko Pertki zostało wymienione na pierwszym miejscu, razem z kpt. K. O. Borchardtem.

Zawsze mierzyłem „zamiar podług sił”. Przez całe 35 lat. Efektem jest kilkadziesiąt tytułów, broszur w kilkuset tysięcy nakładach; jest moja ukochana książka „Wielkie dni...”, która od swojego I wydania do obecnego IX zwiększyła swą objętość sześciokrotnie. Trzeba do tego dodać ponad dwa tysiące artykułów. Jest też książka „Polacy na morskich szlakach świata” — pierwsza tego typu dokumentacja naszych zainteresowań morskich. Teraz rozwijam ten temat. Przygotowuję również „Słownik polskich ludzi morza”, 750 sylwetek, od podróżników po naukowców. Jednym z moich ulubionych tematów jest historia bitwy pod Oliwą. Miałem szczęście, że udało mi się odnaleźć w Bibliotece Gdańskiej zapomniane rękopiśmienne relacje uczestników bitwy i dokumenty dotyczące tego okresu. Ale to wszystko nie. Najwyżej cenię sobie te listy. Przecho-wuję je. Szczególnie mi bliskie są słowa podziękowań kapitanów i oficerów, skreślone gdzieś daleko, w obcych portach i na dalekich morzach, a które mówią, że to moje książki zawiodły tych ludzi na te odległe morskie szlaki. Mnie się nie powiodło. Ale, hm... dzięki tym listom...

Patrzę na koperty, niektóre pośliznęły już, inne porozklejały się przez częste otwieranie. Są też świeże, dopiero nadane.

— *Niezwykle pracowity, wytrwały. Gdy postawił sobie cel, bardzo uporczywie go realizował — mówi E. Męclewski. — Szalenie sumienny w terminach, ich dotrzymywaniu. Rzetelny w robocie. Pamiętam, jak któryś z krytyków, też znawca problematyki morskiej, próbował poddawać dyskusji twórczość Pertki. Ten nie pozostawiał partnerowi chwili na oddech. Argumenty i dokumentacja sypały mu się jak z rękawa. To człowiek dużej wiedzy.*

Przed kilkoma laty kiedy redagowałem dla Krajowej Agencji Wydawniczej ilustrowane zeszyty naukowe pt. „II wojna światowa” spotkał się. Po tylu latach! Poprosiłem J. Pertkę o przygotowanie zeszytów poświęconych problemom morskim. Przypomniał mi się okres współpracy z lat 40-tych. Nic się nie zmienił. Zawsze bardzo pogodny, spokojny, opanowany. To duża klasa. Takich rzeczy nie da się sztucznie robić. To musi być jakaś silna wola. I on ją ma. Mnie się zdaje, że jego zawsze ciągnęły większe formy. Owszem, stosował metodę szkiców, dzięki którym — jak to robił Sienkiewicz — miał przed sobą obraz całości.

Wielki pasjonat. Ta twórczość to jego życie. Ona go trzyma przy działaniu, energii życiowej.

— Co ceni Pan najbardziej w tym człowieku?

— Tę pogodę w stosunku do trudności jakie przyniosło mu życie. Jest to cecha szczególnie charakterystyczna. Ja jestem taki, wie pan, ruchliwy, żywy. Nie mogę sobie wyobrazić tego spokoju. On wszystko zamienił na wielką koncentrację wysiłku i woli. Znalazł swój spokój wewnętrzny i jednocześnie sposób na wyżycie się tej olbrzymiej energii w obszernej i dynamicznej twórczości. Cieszę się, że mogłem z nim współpracować.

Może w sumie źle wywiązałem się z tego dziennikarskiego zadania, może lektura książek, kilkugodzinna rozmowa czy opinie innych, to zbyt mało, by pisać o Pertku. Może tu i ów-

dzie znalazło się słowo zbyt uładzone, jakby nie wypowiedziane przez tego człowieka. Niechętnie spotyka się z dziennikarzami, tym bardziej radiowcami i ich mikrofonami. Przede mną byli koledzy z telewizji. Było to, jeśli dobrze usłyszałem, pierwsze po tylu latach działalności spotkanie z kamerą. Szalenie oszczędny w słowach, wręcz wstydzący się mówić o sobie, a o przeżytych trudach szczególnie. Wzrok gdzieś zapatrzonego, mało elastyczne ruchy twarzy, jakby w ciągłym wyrzucie lub tęsknocie. Głos monotony, prawie jednostajny, długie przerwy między zdaniami, jakby czegoś nasłuchiwał, coś słyszał, ale gdzieś daleko. W gruncie rzeczy nie wiadomo jednak, czy to odgłos wielkowiejskiego zgiełku, czy to...



W roku 1974 M. Salomea Wielopolska wydała swą pierwszą książkę¹. Był to, opracowany przez nią, na podstawie listów i notatek, pamiętnik Feliksa Woytkowskiego. Niezwykła to, moim zdaniem, opowieść. Nie dlatego, że opisany jest w niej egzotyczny kraj (Peru) i nie dlatego, że Woytkowski, entomolog i botanik, odkrył wiele nowych gatunków roślin i owadów, z których liczne noszą nazwy pochodzące od jego nazwiska. Niezwykłość tej książki mianowicie, to niezwykłość jej głównego bohatera, ekscytująca postać badacza, podróżnika, odkrywcy. To nieustanny dramat jaki rozgrywa się między nim — człowiekiem pełnym zwykłych ułomności, a między nim — niestrudzonym eksploratorem. Dramatowi temu towarzyszą niemałe pytania o granice ludzkiego poświęcenia, o moralne prawo poświęcania innych: „Moja żona zgubiła buty w błocie i szła dalej boso dźwigając małego, przytroczonego na plecach. Musiała tak iść pięćdziesiąt kilometrów, raniąc delikatne stopy; było to okrutne i trudne do wytrzymania, a jednak nie płakała i nie skarżyła się. Po wielu godzinach takiej udręki (...) szczypcami i nożyczkami wyrzywałem drzazgi, kolce i żwir wibte w ciało pokaleczonych nóg. Sądze, że właśnie wtedy zaczęła mnie nienawidzić” (s. 34).

Woytkowski był z tych, którzy z determinacją potrafia „porwać się z motyką na słońce”, którzy z uporem wyrabiają słoneczne odpryski, co przyplacają wieloma osobistymi porażkami. Był szaleńcem! Zapuszczał się w najdziłsze ostępy dżungli, w najbardziej niedostępne, mitem owiane rejony Peru po to tylko, by zbierać rośliny, po to tylko, by stwierdzić, że legendarne miasto Inków jest położoną na odludziu... hacjendą. Kompletował niezmiernie rzadkie zbiory dla sławnych placówek naukowych rozsianych po całym świecie. Tam je opisywano, opracowywano, tam zbierano splendory. On zaś borykał się z nieustannymi kłopotami finansowymi: „Na Wigilię zjadłem dwa jajka na miękko, chleb, kawę... Śmiałem się z tego wszystkiego, bowiem było to zbyt smutne, by płakać” (s. 267).

Woytkowski był samotny, choć, o paradoksie, przyjaciół miał niemal na całym świecie. Praca była dla niego koniecznością prawdziwie egzystencjalną, była warunkiem sine qua non życia. Oddawał się jej z całą determinacją, choć nie uwalniała go ona od poczucia fatalności swego — i nie tylko — losu: „Być obecnym w czasie polowania owadów-morderców (...) być obecnym przy aktach kanibalizmu, gwałtu, przy czynach dwornych czy przy oznakach miłości, oglądać cały miniatury świat na powierzchni pnia nie przekraczającej trzydziestu jardów

kwadratowych — to zdać sobie sprawę z analogii ze światem *homo sapiens*” (s. 76).

Woytkowski był uparty. Jego zasada, zgubna z punktu widzenia zdrowego rozsądku, to — wciąż naprzód. Jakże był zachłanny w swoim dążeniu do poznania: „Wydaje się, że wypoczynek po drodze osłabia mięśnie i ducha do tego stopnia, że dalsze wędrowanie staje się bolesne, o ile nie wykłuzone” (s. 112). Był postacią z jakiegoś surrealistycznego dramatu, z jakiejś przedziwnej groteski. Jego losy to policzek wymierzony... Hm, komu? Losowi? Bzdura.

Jesienią roku 1965 wrócił do Polski. Podczas ostatnich dni pobytu w Peru, złożony ciężką chorobą, mający przed sobą widmo głodu, myślał o kraju rodzinnym jako o ziemi „z której mogły płynąć wszelkie błogosławieństwa” (s. 268). Wrócił. Zamieszkał u brata w Krakowie. Chciał jeszcze pracować: Zmarł w maju 1966 roku.

Zasługą M. Salomei Wielopolskiej jest podanie pamiętników tego wielkiego badacza w bardzo interesującej formie. Wartość akcji, bogactwo języka, plastyka opisów, wierność przekazom, wysunięcie na plan pierwszy postaci Woytkowskiego, jego dramatu, czynią z książki niezmiernie spójną i atrakcyjną całość, która zmusza do przemyśleń. Gdybym powiedział, że czyta się ją jak powieść, byłoby to, sądząc, zbyt mało.

Rozczarowała mnie natomiast druga książka Wielopolskiej², będąca czymś w rodzaju baedekera po Wenezueli. Dominuje w niej poziom opisu, horyzonty niezbyt rozległe, bo zbyt często zakreślone ramą okiennej samolotu czy samochodu. Interesujące są tu tylko streszczenia indiańskich czy kreolskich legend i mitów, opisy wierzeń i rytuałów. Nie są one jednak umieszczone na szerszym, kulturowym tle. Doskwiera książce brak ogólniejszych refleksji, brak bohatera. Autorka zdała relację z podróży, ułożyła ją chronologicznie, wzdłuż trasy, a nie tematycznie. Mogłoby się to przyczynić do pogłębienia problematyki, jaśniejszego i pełniejszego jej przedstawienia. Dany został czytelnikowi nie obraz Wenezueli, a obrazki z poszczególnych regionów czy miast, które nie składają się w całość. Przeładowane są do tego zbyt dużą, zupełnie czasem niestrawną, ilością faktów.

¹ F. WOYTKOWSKI: *Peru, moja ziemia nieobiecana*. Wybór tekstów, opracowanie, przekład z hiszpańskiego i angielskiego, wstęp i posłowie M. Salomea Wielopolska. Wrocław 1974.

² M. SALOMEA WIELOPOLSKA: *Araquaney*. Szkice z Wenezueli. Wrocław 1980.



ARTUR NACHT-SAMBORSKI — „Martwa natura z fikusem”, olej, płótno, wł. Muzeum Narodowego w Szczecinie

Fot. Z. Ryngwelski



PIOTR POTWOROWSKI — „Fontanna w Ostii”, olej, płótno, wł. Muzeum Narodowego w Szczecinie

Fot. Z. Ryngwelski

Szosa biegnie skrajem dżungli ciągnącej się u stóp Kordyliery Zachodniej. W głębi lasu, w stronę rezerwatu Indian Los Colorados prowadzi trakt, który kończy się nad rzeką pustym zakolem porośniętym śladami kół samochodowych.

Rzeka szeroka, płytka i rwąca, a koryto pełne jest wielkich głazów powstrzymujących nurt białymi smugami spienionej wody. Nie dokucza tutaj duszny upał, gdyż od wody ciągnie chłód. Bujna roślinność o rozmaitych odcieniach zieleni zakrywa wysokie, strome brzegi. Łączy je nisko położona kładka. Po drugiej stronie wykopane w ziemi schody, wzmocnione palikami, prowadzą do zabudowań na skraju urwiska. Jest to siedziba wielkiego szamana, a zarazem wodza Indian Los Colorados — Abrahama Calazacoń oraz jego krewnych.

Statystyka z roku 1974 podaje, że plemię liczy zaledwie trzysta osób. Są czystej krwi Indianami, którzy zdołali zachować swoją odrębność i obyczaje. Zamieszkują dżunglę po zachodniej stronie Andów, uznaną przez rząd Ekwadoru za rezerwat. Los Colorados są sławni z dwóch powodów: po pierwsze malują ciało i włosy na kolor czerwony, a po drugie są najlepszymi szamanami, z którymi mogą współzawodniczyć tylko brujos z plemienia Yumbo. Posługując się roślinami i ziołami leczą wszelkie choroby.

Jednak zaskakujące rezultaty, znacznie lepsze od lekarzy, uzyskują w leczeniu chorób reumatycznych i artretyzmu. Ściągają do nich nie tylko Indianie innych plemion, ale i mieszkańcy odległych miast, którzy przyjeżdżają tu na koniec tygodnia. Los Colorados, jak na Indian, są materialnie dobrze sytuowani. Mają własne plantacje, wpływają ze sprzedaży ziół i leczenia, a od turystów wymagają z góry zapłaty za zrobienie każdego poszczególnego zdjęcia. W najbliższym miasteczku — Santo Domingo de Los Colorados, mówi się nawet o Abrahamie Calazacoń, że millonario. Dużo w tym przesady.

Jego dom jest piętrowy, zbudowany z belek i desek z szybami w oknach. Przytulone do domu bardziej prymitywne, parterowe przybudówki wyglądają jak szopy. Wielki dziedziniec otoczony starymi drzewami o rozłożystych koronach. W ich cieniu rozpostarto maty, na których suszą się jakieś duże liście i rozmaite zioła. Do grubych pni i konarów przymocowano niezliczone ilości storczyków, uważane przez Indian za święte rośliny. Niektóre gatunki służą szamanom w obrzędach i lecznictwie. Klepisko dziedzińca wymieciono do czysta, a w samym jego środku cały rząd sporych otworów kwadratowych. Przy jednym z nich tkwi nieruchomo Indianka z Sierry. Rozpoznaje się ją po stroju. Pomimo upału siedzi w wełnianych spódnicach rozpostartych na ziemi oraz w bluzce z długimi rekawami. Na głowie ma typowe nakrycie — męski, filcowy, czarny kapelusz. Taki właśnie noszą Indianki w Andach Ekwadoru. Dziedziniec spełnia rolę apteki, przychodni lekarskiej i szpitala.

M. SALOMEA WIELOPOLSKA

OPOWIEŚĆ Z EKWADORU •

W kwadratowych otworach leczy się chorych. Indianka czeka przypuszczalnie na szamana. Siedzi tak obojętnie i bez ruchu, że uzupełnia egzotykę tego dziwnie statycznego obrazu. Po prawej stronie dziedzińca, tuż za drzewami jest gęszcz krzewów, gęsto rosnących liści, paproci, las spleciony lianami, powojami — prawdziwa dżungla. Natomiast z lewej strony ciągną się rozległe plantacje. Wąziutka ścieżka budzi ciekawość i wciąga w bananowy świat. W rzeczywistości ścieżka jest korytarzem wśród łodyg i masy wielkich, podłużnych liści wchłaniających nie tylko słońce, ale niezbędne do oddychania powietrze. W miarę posuwania się w głąb plantacji nieoczekiwanie zjawiają się małe enklawy: trochę przestrzeni, a pośrodku chata kryta strzechą z liści. Jej mieszkańcy zajęci są gospodarstwem. Kobiety i mężczyźni, nadzy do pasa, biodra mają opasane kawałkiem kolorowego materiału, szerokości ręcznika. Indianki noszą mnóstwo koralików zakrywających piersi; niektóre kobiety mają ciało, a nieraz i twarz, pomalowane w ciemne paski. Czarne, długie włosy noszą związane lub splecione. Młode dziewczęta są śliczne i radosne. Coraz bliższe kontakty z ludnością miast i odwiedzającymi rezerwat turystami zmieniają dawne obyczaje: coraz częściej młode kobiety osłaniają piersi barwnym szalem. Mężczyźni — starzy i młodzi wyróżniają się niezwyklejnym uczesaniem. Obcięte „pod misę” włosy są całkowicie pokryte i zlepione jakby czerwoną gliną i tak uformowane, by nad czołem powstał daszek ocieniający oczy. Nie jest to fryzura, a raczej sztywna, czerwona czapka z własnych włosów. Nazwa plemienia — Los Colorados jest trafna. Na czerwony kolor maluje się nie tylko włosy, ale i ciało. Używa się w

tym celu rozkruszonych na proszek nasion achiote (Bixa orellana L.) które miesza się z rybim bądź zwierzęcym tłuszczem. Takie malowanie nie jest wyłącznie ozdobą, ale przede wszystkim ochroną przed pasożytami, ukąszeniami moskitów, dokuczliwych meszek i licznych insektów uprzykrzających życie w dżungli jak również przed palącym słońcem.

O ile Indianie, szczególnie andyjscy, są niekomunikatywni i raczej smętni, to Los Colorados stanowią ich przeciwieństwo. Są zaskakująco pogodni, weseli i nie unikają rozmów z obcymi przybyszami.

Bywają przypadki, które nieoczekiwanie stają się spełnieniem życzeń. Chciałam koniecznie poznać wodza Los Colorados, ale nie proszona nie śmiałam nachodzić go w domu. Wracając późnym popołudniem spotkałam go z żoną i synkiem przechodzących kładką, a później czekających przy samochodzie — właśnie na mnie. Nie mieli innej okazji dostania się do miasta, a wielki szaman miał wysoką gorączkę, kaszlał i był „muy resfriado” — bardzo przeziębiony. Prosił, abym go zawiozła do lekarza w Santo Domingo de Los Colorados, dokąd właśnie jechałam. Z powrotem zamierzał wynająć taksówkę. Pomyślałam „medice, cura te ipsum” i z radością zaprosiłam ich do samochodu. Żona i synek ubrani byli po miejsku, natomiast Abraham Calazacoń mógł pozować jako przedstawiciel swego plemienia. Włosy miał oblepione na czerwono, nagi do pasa, wokół bioder miał owinięty kolorowy materiał, a na wyjazd do miasta zarzucił na ramiona ręcznie malowany jedwabny szal. Jako, że fascynują mnie storczyki i tyle ich widziałam na jego obejściu, rozmawialiśmy sporo na ich temat. Już żegnając się ze mną powiedział:

— Jeżeli będziesz w Quito, możesz odwiedzić mojego wielkiego amico Don Felipe (i tu podał jego dokładny adres), pozdrów go w moim imieniu i powiedz, że to ja cię przysłałem, aby ci pokazał swoje storczyki. On je rozumie i jeżeli zechce, opowie ci o nich.

Z Santo Domingo de Los Colorados jest zaledwie 133 km do Quito, ale znad poziomu morza trzeba wjechać do Quito leżącego na wysokości 2850 m n.p.m. (dla porównania warto przypomnieć, że najwyższy szczyt w Tatrach liczy 2663 m n.p.m.) Kilka razy dziennie pada deszcz. Sądziłam, że jadąc autobusem w cztery godziny, a byłam szczęśliwa, że dotarłam do celu po dziesięciu.

Początkowo jest tylko upalnie, duszno i lekka mgła, bo wszystko — nawet asfaltowa szosa — paruje. Odległe góry zasłaniają niskie, fioletowe chmury. Z lewej strony towarzyszy nam rzeka. Jeszcze nie zaczęliśmy się wspinać, kiedy zatrzymuje nas desliza-miento — obsunięcie się ziemi ze zbocza na drogę. Na szczęście ktoś musiał już dać znać, gdyż uwiija się pracowicie spychacz strącając masy czerwonego błota do rzeki. Nie można wysiąść, gdyż autobus tkwi w rozbełtanej papce. Wychyleni przez okna pasażerowie przyglądają się pesymistycznie usuwaniu przeszkody. Wydaje się, że błota nie ubywa, a przybywa. Po kilku godzinach można jechać dalej. Wjeżdżamy w wąski wąwóz, którego dnem wije się rzeka. Wykorzystując zbliżenie stoków, na zawrotnej wysokości, ktoś przerzucił bambusową kładkę i poprzeczkę, której można się trzymać w razie zawrotu głowy. Kładka jest wąska, a pod nią jest taka próżnia, że wydaje się nieprawdopodobieństwem dotarcie na przeciwległy brzeg. Przy szosie zawieszono na kiju blachę z koślawym napisem: „Puente San Martiñ para bien de sus hermanos” (Most św. Macina dla dobra jego braci).

Pomimo że chmura coraz to przesłania widok, krajobraz jest dziki

i piękny. Prawie pionowe zbocze pokrywa już nie roślinność, ale szalony, zbity, ściśnięty gąszcz wszystkiego tego, co rośnie i jest zielone. Las, palmy, paprocie jak drzewka, pnącza, łodygi, pędy i zwisające korzenie — wszystko jest splecione. Korony drzew przykryte są białymi, czerwonymi i żółtymi plamami kwitnących lian. Przy ziemi walczą o miejsce ogromne liście o przeróżnych kształtach i wielkości. Kwitną krzewy, odmiany tytoniów, czerwienią się strelacie i grzebienie helikonium. Ten wilgotny las byłby rajem dla botanika. Przez mgłę dostrzega się gdzieś białe nitki wodospadów spadających spod wierzchołków zakrytych chmurami. Przejeżdżamy z trudem przez kilka potoków przepływających z łoskotem przez szosę. Nie mieszczą się w odpływach przeprowadzonych pod powierzchnią. Za każdym razem wydaje się, że siła wody porwie, zmiecie autobus, rzuci go w przepaść ku rzece, która jak waż kręci się w dole między górami.

Zaczyna się ulewa i nagle zapada noc. Nic nie widać. Sunące po serpentinach reflektory samochodów są jedyną wskazówką, że i my za nimi pniemy się coraz wyżej. Z nosem przyciśniętym do szyby śledzę loty świętojańskich robaczek o świetle tak dużym i jasnym, że wyglądają jak tańczące w ciemnościach gwiazdy.

Mającące w oddali przejaśnienie jest sygnałem, że przejechaliśmy już wierzchołek Kordyliery i że gdzieś daleko, poniżej, znajduje się Quito. Potrzeba jeszcze całej godziny, aby miasto zjawiało się jak na dłoni w całej okazałości nocnej iluminacji.

Następny dzień jest prawdziwą niespodzianką. Słońce, niebo bez chmurki i rześkie, górskie powietrze dodające energii i radości życia. Z planem w rękę, łatwo się połapać, gdyż Quito nie jest duże, liczy nieco powyżej pół miliona mieszkańców. Nie sprawia wrażenia stolicy, lecz miejscowości wypoczynkowej. Poczucie odcięcia sprawiają góry, które jak pierścień otaczają

miasto i chronią od współczesnego niepokoju i zgiełku. Nawet samochody jeżdżą wolniej, a ludzie mają czas i przystają na rozmówkę spotkawszy znajomego. Miasto ma dwa oblicza: jest piękna, nowoczesna dzielnica z bulwarami i dużym zadbanym parkiem oraz tzw. centro — miasto kolonialne założone przez Hiszpanów w roku 1534. Stare pałace, zaciszne uliczki, liczne kościoły o bogatych wnętrzach. Jak twierdzą znawcy — najczystszy barok, jaki można oglądać w całej Ameryce Południowej.

W pięćdziesiąt dni od momentu założenia miasta rozpoczęto budowę kościoła i klasztoru Franciszkanów, stąd też ówczesna nazwa: „San Francisco de Quito”. Potrzeba było dalszych sześćdziesięciu lat na ukończenie budowy i wyposażenie wnętrza, które zawiera wiele rzeźb, obrazów, a stropy i sklepienie pokryte są freskami. Boczne kaplice mają sklepienia zdobione rzeźbionymi w drewnie kasetonami. Wiele ścian, kolumn i ołtarzy pokrytych jest złotem. Po prawej stronie głównego ołtarza, w bocznej kaplicy znajduje się czczony w całym Ekwadorze „Jesus del Gran Poder” rzeźbiony w drzewie przez słynnego Montañesa^{*)}. Przed klasztorem i kościołem jest największy plac w Quito wypełniony zawsze barwnym tłumem Indian przybyłych z otaczającej miasto Sierry. Sprzedają tu własne wyroby, odpustową sztuczną biżuterię, tandetną konfekcję, wchodzą do kościoła i grupkami obiegają schody wypoczywając z twarzami zastygłymi, pozbawionymi wyrazu. W rogu tego placu wzniesiono pomnik Fray Jodoce Rieke, który był założycielem klasztoru i kościoła oraz był tym, który pierwszy przywiózł ziarna pszenicy na kontynent amerykański i zasiał je w ogródku przyklasztornym.

^{*)} MARTINEZ MONTAÑES JUAN — architekt, malarz i rzeźbiarz hiszpański, który wstawił się rzeźbą w drzewie, realistyczną o pięknej polichromii.



Wymiary i bogactwo tych budynków sakralnych nawet dziś są osobiwością tego miasta zakrojonego na mniejszą skalę. Być może dlatego łączy się z nimi legenda, a może i prawda o Franciszku Cantuñu-Indianinie, który układał posadzkę w jednej z kaplic. Podobno kiedy zabrakło pieniędzy, nie-szczesny Indianin przyniósł braciszkom złoto, które pozwoliło im na ukończenie budowy. Ten gest przypieczętował jego los. Hiszpanie chcąc dotrzeć do skarbu, z którego czerpał Cantuña, torturami usiłowali wydrzeć tajemnicę. Nie mogąc dłużej znieść okrutnych męczarni, Indianin oświadczył, że wskaże ukryte złoto. Wypro-wadził swych oprawców na szczyt wulka-nu Pichincha, dominującego nad wierzchołkami gór otaczających Quito i tam rzucił się w głąb krateru. W każdym razie dziś najpiękniejsza kaplica przy atrium klasztoru zwie się Capilla de Cantuña.

Główną uliczką starego miasta jest La Ronda. Ongiś była miejscem towa-rzyskich spotkań Hiszpanów, którzy robili tam rondas — nocne zabawy z gitarami, śpiewaniem serenad pod balkonami i oknami señorit. Oprócz nazwy, pomimo kilku trzęsień ziemi, które zniszczyły miasto, zachowały się tu kamieniczki z czasów kolonialnych o balkonach i wewnątrz patios peł-nych kwiatów. Zachował się również urok hiszpańskich zaułków. Ulica pro-wadzi do podnóża gór i dziesiątkami kamiennych schodów wspina się na stok pokryty murawą, gdzie kilka drzew pozwala wypocząć w cieniu. Na trawie leżą, widoczne z daleka, rozło-żone różnokolorowe płachty. Okazuje się, że w ostatnich budynkach przylega-jących do zbocza mieszczą się prymi-tywne łaźnie i bezpłatne pralnie pa-miętające być może założycieli miasta. Ogromne, wyłożone kamieniami patia pełne są piorących kobiet i gęsto roz-wieszzonej na sznurach bielezny. Wię-ksze sztuki — kolorowe samodziałowe koce i poncza suszą się na stoliku, pil-nowane przez dzieci i bardzo stare ko-biety. Okazuje się, że całe rodziny In-dian schodzą z okolicznych gór na wiel-kie pranie.

Kiedy obejrzałam zabytki, muzea oraz wszystko to, co mnie interesowało, stanęłam jedną nogą na półkuli pół-nocnej, a drugą na półkuli południo-wej naszej ziemi. Dokonać tego moż-na w odległości około dwudziestu kilo-metrów od Quito, bowiem wzniesiono tam pomnik w miejscu, gdzie w roku 1736 słynny francuski podróżnik i uczo-ny Charles de La Condamine ustalił, że właśnie tu przebiega linia równika i oznaczył szerokość geograficzną 0°0'00".

I na tym byłabym zakończyła zwie-dzanie, gdyby nie storczyki. Już sama nazwa tych roślin budzi marzenie o tym, co trudno osiągalne, kosztowne; kojarzy się z ulotnym pięknem i przy-godą dalekiej wyprawy. Od przeszło dwustu pięćdziesięciu lat są łowcy po-lujący na orchidee. Motorem poszuki-wań nie jest zazwyczaj chęć zarobie-nia pieniędzy, ale fanatyczna pasja i uczucie dla tych roślin. Dla niektórych z tych łowców okazało się to tragicz-nym przeznaczeniem, gdyż polując na

nowy gatunek znaleźli samotną śmierć w wilgotnych lasach spowitych mgła-mi.

Nie mogłam opuścić Quito bez spraw-dzenia jak wygląda amigo wodza Los Colorados i jego storczyki.

— Jeżeli jest Latynosem, z pewnoś-cią nie zatrzaśnie przede mną drzwi — pomyślałam.

Don Felipe jest bardzo stary, tak jak i dom, w którym mieszka. Sam otwo-rzył mi drzwi. Kiedy powiedziałam mu, że jestem z Europy, z Polski i że przychodzę do niego, aby zobaczyć stor-czyki, o których wspominał mi Abra-ham Calazacon, staruszek szerokim gestem zaprosił do wnętrza. Przeszliś-my przez kilka ciemnych nie zamiesz-kałych pomieszczeń, w których nielicz-ne meble pokrywała warstwa kurzu i weszliśmy do dużego pokoju, który ongiś musiał być biblioteką. Tutaj kon-centrowało się przypuszczalnie życie staruszka. Panował niezwykle bałagan i wydawało się, że nikt tu nigdy nie sprząta. Szafy biblioteczne, z których większość pozbawiona była oszklenia, wypełnione były bezbarwną gardero-bą, słojami, tekturowymi pudełkami, stosami czasopism, książek oraz zsa-rzałymi segregatorami. Czułam się nie-swojo, tak jakbym popełniała niedys-krecję. Staruszek mieszkał sam i nie było nikogo, kto by się o niego trosz-czył.

— Niech pani chwileczkę zaczeka, odsunę tylko zasłony, aby przedstawić w całej okazałości „mi amor y cari-ño” — wszystko to, co ukochałam — powiedział Don Felipe i wyszedł z po-koju. Wrócił po chwili i zaprowadził mnie na krużganek z kolumnami za-mieniony w szklarnię. Z półmroku mieszkania stanęliśmy w ukośnych promieniach słońca, w wilgotnym za-pachu kwiatów i zieleni. Skrzynki, skrzynie, donice, zawieszane kosze — wszystko wypełniały storczyki, z któ-rych wiele kwitło wspaniałymi kiściami kwiatów. Nagle oczy moje przy-ciągnęła jakby pulsująca własnym światłem, jaskrawa biel powiewnych, delikatnych, nierealnych orchidei. Tak białych nigdy nie widziałam. Nie, raz jeden, bardzo dawno temu — we śnie. Całe otoczenie było wówczas inne, ale storczyki były te same. Z zapałowania wyrwał mnie Don Felipe.

— Spodobała się pani moja Monja Blanca. — Tak — odparłam. — Jaka piękna i tajemnicza nazwa.

Opowiedziałam mu o moim skojarze-niu ze snem. Uśmiechnął się i powie-dział:

— Ten storczyk jest dzisiaj rzad-kością. Został prawie całkowicie wy-trzebiony. Pochodzi z Gwatemali i jest narodowym kwiatem tego kraju. Jego nazwa botaniczna brzmi Lycaste skin-neri. Dawniej pojawiał się we wszyst-kich wyższych pasmach górskich de-partamentu Alta Verapaz. Monja Blan-ca przekraczała granice Gwatemali się-gając na zachodzie do stanu Chiapas w Meksyku, na południe docierała do wulkanu Santa Ana w Salwadorze, a na wschodzie — do Kordyliery Meren-doń w Hondurasie. Na północ storczyk

sięgał aż do Sierra de Omoa. Kształt, czysta biel tych wyszukanych i nie-zwykłych kwiatów zadziwia, nawet najbardziej obojętnego.

Szara, zmęczona i bardzo łagodna twarz Don Felipe wyrażała lepiej jego myśli i uczucia aniżeli słowa, które wypowiadał. I wówczas w tej storczy-kowej scenerii usłyszałam starą legen-dę Indian gwatemalskich o orchidei na-zwanej Monja Blanca — Biała Mnisz-ka.

W całej Środkowej Ameryce nie ma tak pięknych, wysoko położonych la-sów spowitych mgłami jak te, które pokrywają zbocza Alta Verapaz. Wśród wilgotnej, przepysznej zieleni można dostrzec fruwające quetzale, których upierzenie tak bardzo zlewa się z roś-linnością, że można je zauważyć tylko wówczas, kiedy promień słońca pada na lśniące pióra, mieniające się wśród liści jak szmaragdy. Ich śpiew brzmi tajemniczo i jest niepodobny do głosu jakichkolwiek ptaków zamieszkujących owe lasy we mgle. Tworzą one zielo-ny mur — bez machety gąszcz nie do przebycia, gdzie paprocie są drzewa-mi, powoje grubymi linami, a rozma-i-te odmiany helikonium przyciągają wzrok szkarłatem swoich sztywnych niby-kwiatów.

Niektóre Indianki plemienia Los Colorados mają twarz i ciało pomalowane w czarne paski



Jest to kraina storczyków. Złożyło się na to wiele przyczyn: łagodna temperatura, dostateczna wilgoć i odpowiedni zespół roślinności towarzyszący wybrednej orchidei. Te lasy upodobała sobie jedna z najpiękniejszych orchidei świata — Monja Blanca, wytrzebiona dziś wskutek zachłannej chciwości białego człowieka. Przetrwała indiańska legenda o pochodzeniu tego storczyka, którą podaję taką, jaką ongiś mi opowiadano.

Otóż w bardzo dawnych czasach pewien *cacique* — wódz plemienia, a zarazem szaman, zamierzał przystąpić do ważnych obrzędów religijnych, do których przygotowywano się od dłuższego czasu, ale padały deszcze tak ulewne, że uniemożliwiały rozpoczęcie uroczystości. Dzień po dniu lało bez przerwy. Ziemia nasiąkła jak gąbka i obsuwała się wraz z drzewami z bardziej stromych stoków. Wezbrały potoki grożąc wylewem. Kacyk czekał na zmianę pogody, ale po kilku dniach zaczął już złorzeczyć, pomstować i przeklinać Boga Deszczu, który uniemożliwiał odprawienie obrzędów. Kiedy wódz tak bluźnił na ulewę i jej boga, nagle przestało padać. Równocześnie zniknęła woda ze wszystkich rzek i potoków wraz z zamieszkującymi je rybami. Zaczęła się susza. Trwała niemiłosiernie długo, tak że ginęli z pragnienia ludzie, zwierzęta, cała roślinność. Zropaczeni Indianie zaczęli głośno szemrać, buntować się, grozić śmiercią swemu wodzowi i szamanowi, który bezskutecznie modlił się teraz o deszcz.

Pewnej nocy w czasie snu objawił się szamanowi Bóg Deszczu i powiedział, że jeżeli chce ocalić swoje plemię i ziemię przed suszą i zagładą, musi złożyć w ofierze swoją jedynaczkę Ixbalanę. Była to dziewczyna niezwykle piękna, łagodna, otoczona jakby tajemnicą czy też własną aurą wyróżniającą ją spośród innych dziewcząt. Miała białą cerę, czarne włosy i szmaragdowe oczy ocienione długimi rzęsami. Kiedy kąpała się przy kaskadzie, tam gdzie powstaje zakole wody, srebrzyła się jak ryba. Biegając po lepszych ścieżkach była zwiewna jak uskrzydłona tancerka.

Kacyk-zwołał całą ludność i opowiedział swoje widzenie. Zarządzono spełnienie woli Boga Deszczu. Zmuszony do okrutnej ofiary, ujął wódz dziewczynę za rękę i poprowadził głęboko w las, ku skałom, z których ongiś spływał kaskadami największy potok. Rozkazał córce położyć się na płaskim kamieniu i kiedy zamierzył się, aby jednym ciosem ofiarnego noża rozplatać pierś i wyrwać bijące jeszcze serce — po raz wtóry ukazał się Bóg Deszczu, zatriumfował ręką ojca i powiedział:

— Wstrzymaj się niedorzeczny człowieku. Inna będzie twoja kara. Zapamiętasz po wsze czasy swoje bluźnierstwa wypowiedziane przeciwko mnie i niebu, bowiem ilekroć będziesz przechodził lasem i spojrzysz w górę na korony drzew, dostrzeżesz tam swoją córkę taką, jaką ją widzisz w tej chwili — nieskalaną i białą. Będzie królową wszystkich kwiatów, dziewczynych lasów, ale nigdy nie będziesz



Abraham Calazacofi — szaman i kacyk plemienia Indian Los Colorados w miasteczku Santo Domingo de los Colorados. Z lewej typowy Indianin ze Sierra, otaczających gór.

mógł z nią rozmawiać... I od dziś zawsze już będzie padał deszcz na tę ziemię, aby żadne stworzenie ani roślina nie odczuwały pragnienia.

Najpierw piękna Ixbalana przemieniła się w chmurę i zatrzymała się na rozłożystej koronie najwyższego drzewa. Wtedy Bóg Deszczu zamienił ją w kwiat — biały storczyk najpiękniejszy ze wszystkich storczyków puszczy. Tubylcy oddawali najwyższe honory, kochali i czcili ten kwiat, bowiem był on złożoną w ofierze najpiękniejszą i najczystsza dziewczyną z całego plemienia. Po dziś dzień dla mieszkańców Gwatemali ten kwiat jest symbolem piękna i nieskazitelności, dlatego nazywali orchideę „Monja Blanca” — Biała Mniszka i ustalili, że po wsze czasy będzie narodowym kwiatem ich kraju.

Don Felipe zamyślił się i wodził wzrokiem po swojej szklarni i kwiatach, na które kładły się promienie zachodzącego już słońca. Wszystko wokół nas nabrało łagodnych, złocistych odcieni i panowała cisza. Po chwili starsuszek odezwał się:

— Te storczyki, Señora, to „mi desperanza y amor” — moja rozpacz i radość.

— Rozpacz? — zdziwiłam się — Dlaczego?

— Codziennie trzeba się o nie troszczyć bardziej, aniżeli o własne dzieci. Rośliny nie mogą z nami mówić. Każdy gatunek, odmiana wymaga innych warunków, co innego lubi. Raz potrzebuje więcej słońca, a kiedy indziej znowu cienia. Storczyki są delikatne, wybredne i kapryśne; trzeba starać się je zrozumieć i domyślić się czego pragną. Moja żona zmarła, a dzieci rozproszyły się po całym świecie.

Zatoczył ręką po krążanku gestem obejmującym wszystkie rośliny i powiedział:

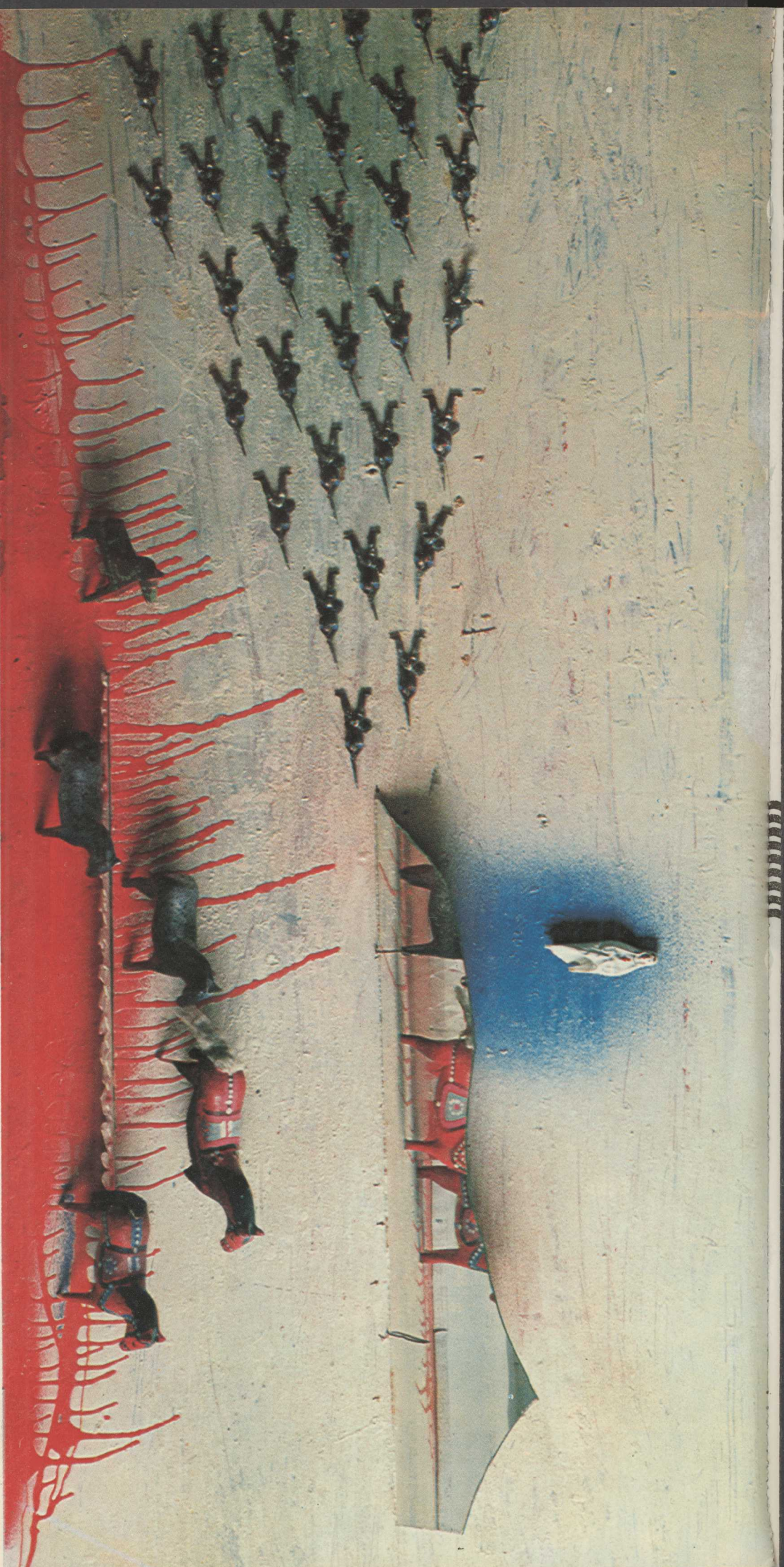
— Dla nich pozostałem tutaj sam. Zapytuje pani dlaczego rozpacz? Mam 72 lata i kiedy pomyślę, że wraz ze mną będzie musiało umrzeć całe to piękno, coś innego mogę odczuwać? Tylko beznadziejny, gorzki żal i bezsilność.

Odwrociłam wzrok od jego pomarszczonej twarzy i oczu, w których szklily się łzy. Spojrzałam na przedziwne białe, zwiewne, rozświetlone od wewnątrz płatki Białej Mniszki i było mi bardzo smutno.



WŁADYSŁAW HASIOR — próbne palenie pomnika „Tym, którzy walczyli o polskość i wolność Pomorza” w dniu 18 sierpnia 1980 w Koszalinie z okazji pleneru w Osiekach





WŁADYSŁAW HASIOR — „Przez płonące łąki krwi” — a m b a l l a g e, wł. Muzeum Narodowego w Szczecinie

Fot. Z. Ryngwelski

Płynie, ucieka w odnogi, szuka ujścia. Ta sama, lecz inna już rzeka. Stary człowiek patrzy na jej brudne wody, zauważa wylaniający się statek, słyszy dźwięk bucza. Mgła gęstnieje. Jesienna, zimna, irytująca. Ramiona dźwigów nieruchomieją, oddalają się wraz z sinym obrazem zdeformowanej, rozmytej przestrzeni. Czy ta rzeka nadal płynie? Czy czas również zdrętwiał?

Nabrzeże handlowo-pasażerskie musiało być tam, bardziej w prawo, na wprost baszty. Miasto schodziło tu przed stu laty nad samą rzekę. Na dawnych sztychach reje żeglowców pukają do okien kupieckich kamienic. Pamięta jeden z takich obrazów. Ten najładniejszy wisi jeszcze do dziś na klatce schodowej instytucji, która go przygarnęła w najtrudniejszym okresie. Na obrazie maszty szkunerów rosną ponad dachami, by stamtąd wykraść trochę świeżego wiatru. Ot, chłopcy wspinający się na palce, aby lepiej widzieć. Stojąc na palcach człowiek za cenę utraty równowagi zyskuje poczucie inności. Na moment, chwilę. Tak, wspinać się, zobaczyć lepiej. Nawet przez mgłę.

Statek niesiony leniwym nurtem rzeki odbił od kei. Na pokładzie wysoki mężczyzna w czarnej pelerynie. Patrzy na oddalające się miasto. Krótka to podróż. Na Rugię. Krótka? Czy jedna mila dalej od klęski, to uspokojenie? Jeśli południowy wiatr nie będzie zbyt silny, popłyną tuż przy klifowych, urwistych brzegach wyspy. A jeśli będzie sztorm? Jeśli będzie sztorm,

ZBIGNIEW KOSIOROWSKI

jak woda, która szuka swej formy...



znajdzie chwile wytchnienia w próbach do Boga o sprawiedliwą karę. A jeśli cisza? Jeśli cisza, to będzie ona pierwsza w życiu margrabiego Aleksandra. Jest rok 1863. Powstanie styczniowe upada. Naczelnik cywilnego rządu po klęsce politycznej ucieka z Warszawy. Oficjalnie, by zachować pozory, udaje się z rodziną na Rugię dla podratowania zdrowia. Którędy wjeżdżał do Szczecina, co widział, o czym myślał?

Tego nie wie również jego prawnuk — profesor Alfred Wielopolski. Ten człowiek w okowach mgły, ten z pierwszych zdań reportażu — to właśnie profesor Wielopolski, mój bohater. Ten ze statku — to człowiek, który podpisał dokument o przeprowadzeniu branki wśród polskiej młodzieży.

Nie wiem, na jakim statku margrabia Aleksander Wielopolski płynął na Rugię. Nie wiem, czy miał czarną pelerynę. Nieistotne, ot prawdopodobna fikcja. Ale prawdą jest, że był w Szczecinie. Prawdą jest, że musiał zareagować na miasto choćby niechętnym spojrzeniem. Skąd wiem, że był tutaj?

„Potbus, von 24 august 1863. Do Na-

czelnego Prezydenta Policji Prowincji Pomorskiej w Szczecinie. Uprzejmie donoszę, że margrabia Wielkopolski przebywa w Potbus na Rugii. Ponieważ są wiadomości, że zaplanowano na niego zamach, przydzielono mu policyjną ochronę urzędnika śledczego Winetzkiego. Podczas obserwacji terenu Winetzki wylegitymował kręcącego się, w pobliżu margrabiego, człowieka o nazwisku Grzegorz Karpiński, ale nie dostrzegłszy żadnych podejrzanych uchybień, zwolnił Karpińskiego. Po dwóch dniach tenże Karpiński znów pojawił się w pobliżu margrabiego Wielopolskiego. Na wezwanie Winetzkiego podejrzany uciekł do pobliskiego lasu i tam zaginął. Informuję również, że 18 września 1863 roku margrabia ma zamiar opuścić Rugię i udać się via Szczecin do Berlina, prawdopodobnie z jakąś tajną misją”.

— Kiedyś rozmawialiśmy o uwikłaniach losowych wielu Polaków, rozmawialiśmy mając przed oczami dokument o pobycie pańskiego pradziada na Pomorzu Zachodnim. Kapitałna sprawa — po tylu latach prawnuk Aleksandra Wielopolskiego przebywa w Szczecinie. Ale jaki tu punkt odnie-

sienia? Bo przecież nie w ironii historii, lecz w jej prawidłowościach. Ileż to w ciągu niespełna stu lat się zmieniło i jak dziwnie potoczyły się losy wielu Polaków.

— No, właśnie — podchwytuje temat profesor — ciekawy problem. Pradziad po poniesieniu politycznej klęski, po załamaniu się jego roli jako naczelnika rządu cywilnego w Królestwie Polskim zmuszony był do emigracji. I gdzie go losy przygnały? Tutaj w Szczecińskim Archiwum zachował się raport policjanta nadzorującego pobyt na Rugii. Moja prababka, nadzwyczaj pobożna kobieta, sprowadziła kapelana z Warszawy, który codziennie odprawiał mszę dla całej rodziny i Polaków przebywających na wyspie. I pojawił się ten rzekomy zamachowiec. Sprawa była niewyraźna...

Profesor mieszka na Pogodnie. Przyszliśmy do niego z kwiatami i magnetofonem. Niewielki dom emerytowanego naukowca, historyka, humanisty. W saloniku kilka starych portretów. Siedzę na wprost obrazu Malczewskiego. Jeszcze nie wiem kogo on przedstawia. Później zapytam. Jest kawa, są ciastka,

jest i nieufność starszego pana. Nieufność do mnie.

Tamci się znają. Profesor pracował w latach pięćdziesiątych w Wojewódzkim Archiwum i obecnie dyrektor tej instytucji — doktor Kazimierz Kozłowski poczuwa się do obowiązku otaczania profesora opieką.

— Sprawa była niewyraźna, ale wyglądało, że ten zamachowiec miał zamiar gościć na życie pradziada. Albo też był to wybieg policji pruskiej, by ułatwić sobie śledzenie niebezpiecznego dla porządku publicznego człowieka. Być może... Ale do czego nawiązuję? Do tego, co dyrektor Kozłowski nazwał ironią, czy też prawidłowością historii. Jak nic nie można przewidzieć, jak dziwnie się rzeczy układają. Ciekawe, co ten człowiek myślał przejeżdżając przez Szczecin? Gdyby nawet był jasnowidzem, czy mógł przewidzieć, że w niespełna sto lat później miasto będzie polskie? Czy mógł przewidzieć, że będzie tu mieszkał jego prawnuk i nie tylko jeden, bo jest i drugi, Antoni Wielopolski, docent na Akademii Rolniczej. I nasze dzieci, i synowie brata ciotecznego.

Margrabia Aleksander Wielopolski — dla wielu symbol narodowej zdrady w najtrudniejszym dla narodu okresie, wyklinany przez wielkich polskich poetów romantycznych; postać najczęściej rysowana w czarnych, negatywnych barwach. Gdyby można było rozgrzeszać nasze winy zasługami przodków może starczyłoby sięgnąć po wielkich poprzedników Aleksandra. Już za czasów Jana Sobieskiego jeden z Wielopolskich — Jan, pełnił urząd kancлера wielkiego koronnego. Żonaty z sio-

dził po wybrzeżu i organizował obozy przesiedleńców. Dopiero później rozpoczął pracę w Instytucie Bałtyckim w Gdańsku jako sekretarz naukowy współorganizując szereg konferencji dotyczących Ziem Zachodnich, specjalizacji portów polskich, kodyfikacji prawa morskiego. Tam poznał się bliżej z profesorem Górskim, który zaproponował pracę na tworzonym w Szczecinie oddziale poznańskiej Akademii Handlowej. Przyjechał więc na inaugurację roku akademickiego w czterdziestym siódmym i już został. A odradzali, mówili o braku rozważań, mówili też: „Przecież ten Szczecin, to tylko kwestia jeszcze kilku tygodni”.

— Odpowiedziałem przysłowiem, że najdłużej przetrwać może prowizorium. Nastawienie do Szczecina — co warto dziś podkreślić — było w całej Polsce pełne rezerwy. Wielu pamiętało skomplikowaną sytuację z trzykrotnym przejmowaniem miasta i koniecznością dwukrotnego wyprowadzania ze Szczecina polskich władz miejskich. Tę sytuację z kwietnia, maja, czerwca i lipca 1945 roku. W 1946 Szczecin nadal był uważany za coś przyzcpionego, co się zbyt długo nie utrzyma przy Polsce. Z ramienia Instytutu Bałtyckiego brałem udział w posiedzeniu Rady Naukowej do spraw Ziem Odzyskanych. Konferencja odbywała się w Krakowie i miałem na niej referat na temat przyszłości portu w Szczecinie. Opierając się na podstawach geograficznych i historycznych, starałem się udowodnić, że Szczecin ma ogromne znaczenie jako port międzynarodowy, że ma przed sobą wielką przyszłość. Wtedy profesor Skrzywoń, ówczesny główny nasz statystyk, wystąpił z atakiem

niem. Jakby to powiedzieć? Otóż moim zasadniczym nastawieniem nigdy nie był sklepikarski stosunek do życia, ale chęć działania w kierunku realizacji wartości większych, humanistycznych. Tak i przed wojną działałem. Byłem wówczas w służbie państwowej nie z powodu chęci zrobienia kariery, czy też zapewnienia sobie uprzywilejowanych wygód życiowych, ale w celu realizowania pewnych zasad, które są mi bliskie, które uważam za wartościowe. Po przyjeździe do Szczecina otworzyło się tutaj pole do tego rodzaju działania. I tak jak woda, szukająca odpowiedniej dla siebie formy, by spełniać swoją funkcję, tak mój stosunek do problemów życiowych zaczął się wlewać w tę formę, która tutaj była. Cóż tą formą było, co za przekonanie tak myśleć kazało?

Przed wiekami na wydmowych wzgórzach, z których można było ogarnąć wzrokiem spory kawałek Bałtyku, rosła bogata wioska. Jej mieszkańcy żyli z morza. Znani byli ze swej zręczności w łowieniu ryb i budowie rybackich łodzi. Któregoś lata wioska zniknęła. W miejscu, gdzie kiedyś rozsiane były domy Pomorzan sterczały przysypane piaskiem kikuty drzew. Po tygodniu piasek przysypał i drzewa. Po roku zapomniano o wsi. Okoliczni bazarze zaczęli opowiadać legendę o diable, który nadleciał z zachodu piaskową burzą i przykrył lawiną zła wszystko, co słowiańskie. Mijały wieki. Którejś nocy inne wichry zawiały. Pędząc morskimi brzegami odkrywały zapomnianą wieś w jej niezmienionym kształcie sprzed setek lat. Ujawniona w swej pierwotnej postaci wioska czekała na ludzi.

strą Marysieńki Sobieskiej, mógł do króla Jana mówić: szwagrze. Był, przed pełnieniem kanclerskiego urzędu, niezłym ambasadorem spraw polskich w Francji. Otrzymał wówczas od Ludwika XIV indygent francuski, przechowywany później przez wieki z najważniejszymi dla rodu dokumentami. Aż do 1945 roku. Aż do wyzwolenia, które ludowi dało więcej niż hrabiom. Czy to też ironia historii, że dokument ten wraz z innymi zbiorami rodu Wielopolskich spłonął, zgubił się w popiół? Jeśli historia jest rozumna, jaki mogłaby mieć z tego pożytek? Dla profesora Alfreda Wielopolskiego historia to skomplikowany mechanizm z ciągle wahającą się wskazówką. W pewnych okolicznościach wskazówka nieruchomieje. Sytuacja staje się jasna. Los ludzki, narodów znów zaczyna być pewny. Ale do Szczecina profesor przyjechał jeszcze wtedy, gdy wskazówka historii ciągle drgała. Dziś powie, że przyjazd do Szczecina był po prostu warunkowany zbiegiem okoliczności i chęcią poznania czegoś nowego; chęcią przygody. Na wybrzeże ciągnęła problematyka morska, ale nim miał okazję poświęcić jej trochę czasu, jeź-

na ten referat. Powiedział, że poniosła mnie fantazja, że buduję zamki na lodzie. A profesor Erlich, ekonomista z Krakowa, nawiązując do mojego referatu, opowiedział dowcip: „Gdzieś tam założono ogromną fermę królików. Największą w świecie. Na trzydzieści tysięcy sztuk. Zdarzyło się, że przyjechała delegacja amerykańskich dziennikarzy i trzeba było im coś pokazać, czymś się pochwalić. Ano, trzeba pokazać tę fermę, bo jest imponująca. Przyjeżdżają tam, patrzą, ferma jest, ale bez królików. Pytają co się stało? Na to kierownik fermy mówi: wszystko się zgadza. To jest ferma na trzydzieści tysięcy królików, ale zdechła nam pierwsza para”. Taki był mój stosunek do Szczecina. Uważałem Szczecin za parę królików, z której nie będzie.

W tym, że został w Szczecinie, profesor nie widzi nic heroicznego. „Bezmyślność”, „siła bezwładu” — odpowie na pytanie: dlaczego? Potem poważnie, gdy mówi:

— Interesowała mnie niesłychanie słowiańska przeszłość tych ziem. Poza tym ważne jest nastawienie w człowieku, które kieruje jego postępowanie-

Tę historię profesor Wielopolski czytał w 1947 roku. Dziś już nie wie w jakiej, w czyjej książce. Ale zapamiętał, gdyż kojarzył ją wtedy nie z legendą, lecz z procesem, który dokonywał się na Pomorzu Zachodnim przez setki lat. Legenda służy tu jako porównanie.

— Bo przecież, proszę pana, przeszłość słowiańska została tutaj przysypana ogromnym nalotem niemieckiej kolonizacji: drapieżnych procesów Drang nach Osten; osadem metodycznej penetracji Niemiec, i co? Później widzimy jak nagle dzieje się coś wręcz odwrotnego. To wszystko, co było przysypane niemieckością, germanizmem, zostaje odkryte. Dlaczego tak się stało? Oczywiście owo „nagle”, miało swoje znamiona wcześniejsze. Objawy tego procesu występują już od ubiegłego stulecia. Wyludnianie tych ziem, ucieczka Niemców, Ostflucht, brak siły roboczej. Osamotnienie majątków junkierskich, które nie mogą egzystować bez siły roboczej. I właśnie wtedy zaczyna się tu wlewać polska siła robocza. Te objawy świadczą o tym, że uprzednia, wprowadzona przez Niem-

ców struktura na Pomorzu Zachodnim murseje. Tak jak mur. Murszeje i w pewnej chwili zawala się i ginie. Rzecz jasna problem jest bardziej złożony. Pod tym kątem zacząłem prowadzić swoje prace naukowe. Dwie moje książki: „Dzieje gospodarcze Pomorza Zachodniego w XIX wieku” i „Ustrój polityczny Pomorza Zachodniego w XIX wieku” dotyczą tych właśnie zagadnień. Wciągnęły mnie te sprawy i trzymały w Szczecinie. No i dom, dzieci chodzące tutaj do szkoły, i powiązania towarzyskie związane z warsztatem pracy jeszcze na Akademii Handlowej. Wkrótce więc było to moje miasto. Proponowano mi powrót do Gdańska, miejsce na Uniwersytecie Toruńskim, ale wtedy wytworzyły się już zbyt silne powiązania z miejscowym środowiskiem. Zbyt wiele było argumentów, by zostać na miejscu, u siebie. Nie żałuję, że tak postąpiłem. Cóż, ten okres był dla mnie nawet momentami burzliwy, ale...

— Był burzliwy?

— Stare dzieje...

— Czy mądrość człowieka doświadczanego przez życie polega również i na tym, że nie żałuje tego, co już za nim? Taka heroiczna postawa...

— A co się zmieni przez żalowanie? Stało się... Można żałować innych rzeczy, można żałować rozmaitych załamań osobistych. Można żałować okazania takich lub innych słabości, jakiegoś oportunistycznego. Ale taki żal jest uzasadniony nie od tej strony, że może coś zmienić, lecz dlatego, że można swe gorzkie doświadczenia przekazać innym, dzieciom zwłaszcza.

— Próbował pan spisać swoje prze-

ki, wszyscy odsuwali się od niego na bezpieczną odległość. Wiadomo — zadumiony. Pytam o przebieg tej kwadrantny doktora Kozłowskiego. Nie bardzo chce mówić. Odsyła do profesora. Niech sam powie, jeśli uzna, że powinien.

— No, ale co robił po usunięciu go z Akademii? Z czego żył? Nikt mu nie pomógł?

— Ówczesny dyrektor Wojewódzkiego Archiwum, przygarnął go do siebie. Odważny krok. Niektórzy mówili, że tłumaczył się, składał zeznania, ale miał na koniec argumenty nie do zbić. Na pytanie, dlaczego przyjął do pracy wroga ludu pracującego, rzekomo odpowiedział, że skoro władza nie mogła sobie dać rady z tym Wielopolskim, to on ostatecznie musiał coś zrobić. I zrobił. Zamknął człowieka z niepewnym rodowodem do archiwum. Znaczący się do historii.

A jakże, zapytałem o to profesora.

— ...Wielu wtedy wyrzucono. Cóż znaczy taki epizod w procesie historii? Dziś myślę o tym jak o zabawnej scenie. Nie wierzy pan? Jasne, że wtedy czułem się jak zbity pies. W domu czworo dzieci, a ja bez pracy. Musiałem jakoś zarabiać na życie. Ale jak? W tym czasie miałem przyjaciela w Polskiej Akademii Nauk. Zadzwoiłem. Przyrzekł pomoc i pomógł tak, jak to było możliwe na owe czasy. Otrzymałem pocztą grubasne tomisko do tłumaczenia. Genialne dzieło, genialnego filozofa... Jakoś mi nie szło. Siedziałem tutaj, w tym pokoju, przy tym, co i dzisiaj, biurku, gryzłem ołówek i zastanawiałem się, co z tym zrobić. Dzieło leżało na biurku, a ja siedziałem i nie

— Po skończeniu prawa na Uniwersytecie Warszawskim zrobiłem doktorat z zagadnień demograficznych w Szwajcarii na Uniwersytecie we Fryburgu. Interesowały mnie bardzo wewnętrzne, społeczne problemy Polski. Tak bardzo, że zdecydowałem się przejść z Kancelarii Cywilnej Prezydenta Rzeczypospolitej do pracy w powiecie wieluńskim jako wicestarosta. Sezonowa emigracja, która szła do Niemiec, miała swą bazę wyjściową właśnie w powiecie wieluńskim i gdy zaczęła się polsko-niemiecka wojna celna, ci wszyscy ludzie chodzący na saksy, tam właśnie utknęli. Zaczęto meliorację rzek i inne roboty publiczne. Później, po śmierci Skwarczyńskiego, prezydent Mościcki ściągnął mnie z powrotem do Kancelarii Cywilnej, do Referatu Społeczno-Prasowego. Działająca przy Prezesie Rady Ministrów komisja do usprawniania administracji publicznej zleciła mi opracowanie problemu, w jakim stopniu działalność urzędu gminnego jest obciążeniem dla obywatela.

— Już wówczas urzędy gminne były zbiurokratyzowane?

— Zdarzały się nieprawdopodobne nonsensy. Na przykład — prowadzenie rejestrów koni. Koń musiał mieć paszport i wszelka zmiana własności pociągała za sobą wypisywanie kilometrowych foliów. Jeździłem więc po Polsce i ścigałem nonsensy. Przed samą wojną przeszedłem do pracy w Biurze Senatu Rzeczypospolitej pełniąc krótko funkcję dyrektora. Tam zastała mnie wojna. Wszedłem do V Dywizjonu Artylerii Konnej. W końcu sierpnia wy-

myślenia o życiu? Pisze pan pamiętnik?

— Tak.

— Wyda go pan?

— Za dwadzieścia, trzydzieści lat... Już po mojej śmierci i po śmierci ludzi, o których piszę. Jedni piszą... Wie pan, pewne rzeczy muszą być jednak pisane do szuflady.

Od ostatniej rozmowy z profesorem minęły trzy tygodnie. Zdażyłem w tym czasie uporządkować notatki i dowiedzieć się czegoś o owym burzliwym okresie w życiu profesora.

Znowu margrabia Aleksander w drodze na Rugię zatrzymał się w Szczecinie. Tym razem donosu nie pisał pruski szpicel. Ktoś inny zauważył, że władze Akademii Handlowej nie wykazują na początku 1950 roku należytej czujności klasowej. Zwrócono więc uwagę i być może coś nakazano. Kto to dziś wie, kto pamięta... Faktem jest, że potomka hrabiowskiej rodziny wywalono z uczelni. W ten sposób pozbyto się niepewnego człowieka, a na jego miejsce przyjęto innego, z właściwszym rodowodem. A ponieważ profesor od momentu ujawnienia choroby zaczął rozsiewać niebezpieczne dla ustroju zaraz-

wiedzialem od czego zacząć. Ogarniała mnie irytacja. A może jest to ponad moje rozumienie świata? Gdy rozstrzygałem te ważne, podstawowe kwestie, otwierają się drzwi i do pokoju wpada gromada moich i sąsiadów dzieci. Spod ich nóg wyskakuje szkaradny, sparszywały kundel. Zanim zdążyłem wybuchnąć gniewem, kundel skoczył mi na kolana, a z kolan na biurko. I wie pan, co on zrobił?

— ?

— Nasikał na to genialne dzieło, genialnego filozofa. A ja... Wie pan, co ja wtedy zrobiłem?

— Uduśił go...

— Ucałowałem go w ten zaśliniony pysk. Jak ja go wtedy kochałem... Dzieło przetłumaczyłem w trzy doby. Widzi więc pan, że był to sympatyczny epizod, który nie zmienia mojego stanowiska, co do słuszności związania się ze Szczecinem. Takich epizodów w różnych miastach było więcej, ale przecież nie z nich składa się historia.

— Historia nie, ale życie pojedynczego człowieka — tak. Wszedł pan w powojenne 35-lecie z bagażem przeżyć, za które pana później ścigano. Co było przed rokiem 1945?

ruszyliśmy na granicę polsko-niemiecką pod Herby Nowe. Koło Świerklańca na Śląsku dopadł nas front. Napierw bitwa pod Woźnikami, a potem cofanie się. Nocny marsz, a w dzień krycie się po lasach. Koszmar. Psychiczny koszmar. Później Sandomierz, wędrownia aż za Włodzimierz Wołyński, spotkanie z „sojusznikami” i ucieczka z powrotem na drugą stronę Bugu. Jeszcze kilka dni błakaliśmy się między dwoma frontami. Wreszcie pod Janowem Lubelskim dowódca stwierdził, że sytuacja jest bez wyjścia i kazał się ratować na własną rękę. Przeszedłem jakoś przez San i potem siedziałem w małym folwarczku na wsi. Razem ze mną ukrywał się tam profesor Kostrzewski. Wie pan, rozmawialiśmy wtedy sporo i o Pomorzu Zachodnim, a pierwsze po wojnie wydanie „Prasłowiańszczyzny” profesor mnie zadedykował. Ale przeżycia z wojny to smutny temat. Pomówmy o przyjemniejszych sprawach.

Swoim przyjaciołom rysuję ekslibrisy. Pokażę je panu. Z tym tutaj związana jest cała historia. Przed dwoma laty przyjechał do mnie Amerykanin — Herman Wort, nauczyciel literatury. Przemiły człowiek. Poeta i skrzypek,

a przy tym miłośnik Szekspira. Siedział u mnie tydzień, cały czas gadaliśmy, a odjeżdżając prosił mnie, żebym mu wynalazł jakąś symfonię Dworzaka, której nie mógł w Ameryce dostać. Kupiłem po jakimś czasie płytę i wysłałem razem z tym ekslibrisem. Wypisałem tu obok rysunku sentencję z Szekspira: „Popatrz, czego pamięć twoja nie jest w stanie zatrzymać, powiesz to tym pustym kartom, a znajdziesz w nich te dzieci oswobodzone z twojego umysłu, aby ponownie się poznały z twoją myślą”. No i tutaj są te jego książki, skrzypce i puste karty na nowe dzieła. A to jest ekslibris mojego siostrzeńca Adasia Labudy. Ten zaś — mojej córki Zosi.

— A ten, panie profesorze?

— Ten? Ten jest mój.

— Nie znam na tyle angielskiego...

— A pamięta pan? W „Jak wam się podoba” Jakub biada nad płaczącym przy strumieniu jeleniem: „Czemu przyglądasz się temu złamanemu bankrutowi?” I są tam jeszcze słowa, że niedola rozgania tłumy rozlicznych przyjaciół.

— Ten jeleni na tym ekslibrisie, to pan? A ten odpływający strumieniem bilet doktorski i różne insygnia?

— Mam jeszcze inne ekslibrisy. Na tym tutaj jest i pan dyrektor Kozłowski. Ten na tylnych nogach... Nie śmiem mu tego pokazywać. Mógłby się obrazić.

— Kiedy pan rysował swój ekslibris? Musiał pan być w innym nastroju niż dzisiaj. Czy w 1950 roku?

— Ładny przecież ekslibris. Zwłaszcza w pomniejszeniu.

Mam kołopoty. Moje samopoczucie

drzewie, na pniu, który pełni pewną funkcję wobec całości, albo też w bardziej uprzywilejowanej sytuacji. Jego tragedią jest, gdy musi uschnąć, a los jego szczęśliwy, jeśli się znajdzie w miejscu tego liścia wystawionego na promienie słoneczne, mogąc przekazywać całości, całemu drzewu tę przemianę materii, jaka się w nim dzieje.

— Fatalistyczne podejście do życia...

— No, trochę jest fatalistyczne, ale ma głębszy sens. Wierze, że moja filozofia się sprawdza. A filozofia ta mówi też, że poza nami jest jeszcze coś, czego my nie wiemy. Jedni nazywają to Bogiem, inni energią. Jak pan się spyta, co to jest Bóg? — to nikt panu nie odpowie i definicji racjonalistycznej nie da. Tak samo nikt panu nie wytłumaczy, czym jest energia. Energia? Energia, to jest energia. A przecież fale energii ciągle płyną przez świat, przez kosmos. Jesteśmy tym otoczeni. Siedzimy w pokoju, przez który przepływają nadawane za pośrednictwem telewizji obrazy. Przepływają tędy fale radiowe z całego świata. My zaś tego nie odbieramy. Dlaczego? Bo nie mamy w organizmie odpowiednich instrumentów. Wystarczy przecież zwykłe radio, które wychwyci fale. Ale poza tymi, emitowanymi przez naszą, znaną nam technikę, falami są jeszcze inne, o których dotąd nie mamy pojęcia, nie wiemy o nich, bo jesteśmy trójwymiarowi i przekracza to nasza możliwość pojmowania. Pojmując bardzo trywialnie — człowiek podobny jest do radioodbiornika. Stworzono go, odbiera wszystko albo trzeszcząc, później się psuje i wsadzają go na cmentarz, ale to, co przetworzył trwa nadal i łączy się ze źródłem emitowania fal.

łem starszego, siwego pana. Po każdej z nim rozmowie czuję się bogatszy, choć nie zawsze się z nim zgadzam. Ojciec profesora jak zwykle patrzy na mnie groźnie ze ściany: dumny i wyniosły. Profesor mówi, że podobny, choć nie wszystko w nim takie było, jak to widział Malczewski. Zapatrzyłem się na portret i teraz właściwie nie wiem, co profesor mówi.

— Przepraszam, nie usłyszałem.

— Naprawdę wygrałem los na loterii. Gdy porównuję swój los z innymi — rzeczywście była to wygrana. Porównuję swój los z losem wielu rówieśników, którzy dostali się poza granice Polski i teraz przebywają gdzieś na Zachodzie. Wielu z nich już pomarło na obczyźnie. Niedawno otrzymałem z Anglii pamiątki mojego kolegi szkolnego — Wacława Zyndrama-Kościalkowskiego. Rzecz wydana w Londynie w 1978 roku i nosi znamieny tytuł: „Poloneza czas skończyć”. Te pamiątki najwymowniej obrazują zmarnowanie życia tych, którzy znaleźli się poza granicami Polski.

Zostałem i tutaj w Szczecinie byłem świadkiem zdarzenia, które mogło wystąpić raz na tysiąc lat. Bo tylko z taką częstotliwością zdarza się tak olbrzymie przemieszczenie ludności; wędrówka narodów. Obserwowałem ten proces. Brałem wreszcie w nim udział. Mogłem towarzyszyć spotkaniu się różnych kultur na Pomorzu Zachodnim. Mając obraz tego procesu przed oczami, miałem znakomite warunki naukowe i warsztat, i możliwość kontaktu ze studentami. Nawet okres pracy na wygnaniu w Archiwum nie był stracony, gdyż zyskałem dostęp do ważnych dla naszej historii dokumentów.

nastraja pesymistycznie. Czy profesor o tym wie? Czy wie, dlaczego przyszedłem do niego właśnie dzisiaj? Te rozmowy na pewno więcej mnie dają, niż jemu. Potrzebuję jego spokoju, jego zrozumienia i gotowości do słuchania. Taki człowiek jak On, musi znać sposób na życie. Na godne życie, bez sprzeniewierzenia się temu, co uznaje za ważne. Jak lepiej żyć? Spokojnie, cicho, na uboczu, czy w pełni, aktywnie, w sprzecznościach, konfliktach... Duszę w sobie gorycz porażki, pulsowanie gniewu, urażoną ambicję, ale przecież nikt mnie znikąd nie wyrzucił. Dano mi tylko wychowawczą lekcję, dano mi do zrozumienia, że jestem mały, słaby, uzależniony, że powinienem ciągle dziękować, zawdzięczać, czuć się... No, jak do cholery mam się w tym czuć? By zachować klasę, powinienem się cieszyć i dziękować, że żyję. Wszystko, co robię, jest czyjaś zasługą. Co jest właściwie tylko moim udziałem? Czy tylko prawo do wątpliwości?

— Nie wiem... To jest i kwestia temperamentu i pewnej filozofii życiowej. Właściwie człowiek jest... Co tu dużo mówić, człowiek jest albo jak liść na

Ten mój fatalizm polega na wierze w istnienie pewnych sił dla mnie niepojętych, których jestem takim, czy innym narzędziem i moim zadaniem życiowym jest starać się możliwie jak najlepiej służyć innym.

Chciałbym panu teraz pokazać, nawiązując trochę do mojej życiowej filozofii, publikację pradziada z 1879 roku. W tych „Myślach i uwagach” drukowanych przed stu laty jako rękopis, znalazłem taką oto mądrość życiową: „Lepsze jest powołanie gorzkie, ciężkie, z cierpieniem połączone, które może nad miarę osobistość człowieka przeciećra niż próżnia zupełna w życiu, która osobistości bujnie rozrastać się nie daje. Często człowiek użalający się na srogość losu dopiero, gdy z niej wydobyc lub wymknąć się potrafi, spostrzeżga, że namiętności jego tej różgi potrzebowały i że nieraz klęska jest mistrzynią swobody”. Widzi pan — oto mądrość życiowa człowieka, który ponosił wielką klęskę życiową.

Spotkanie trzecie. Zrobiło się cieplej. W ogrodzie profesora zakwitła forsyja. Profesor zamierza wkrótce uruchomić rower. Co tu dużo mówić, polubi-

Z drugiej strony, patrząc obiektywnie, no, nie wszystko w tej mojej mozaice, w tej wizji świata, układało się tak, jakbym chciał.

— Podchodzi pan do tego z dystansem. Emocje już poza panem. Przepraszam, że powiem tak wprost: wyrzucenie pana z Akademii w 1950 roku musiało być szokiem.

— „Jakoś przeżyłem. Wiedziałem, że dam sobie radę... Wykorzystałem ten czas na wycieczki rowerowe po okolicach Szczecina. Przyroda otaczająca miasto jest piękna. Było tak ładnie, tak cicho, że stanowiło to dla mnie jakąś rekompensatę. W efekcie bolesne uderzenie spłynęło po mnie, jak woda po piórach gęsi. Ale dlaczego pan ciągle powraca do tych spraw?

— Chcę sprawdzić, czy to możliwe, by w panu nie było nic ze złości.

Czas wrócić do pradziada Aleksandra. Tym razem przychodzę ponownie z doktorem Kozłowskim. Pijemy kawę. Profesor zna cel wizyty. Jest do niej przygotowany. W dłoni trzyma maszynopis — odpis „Ody do Wisły”, zamieszczonej przez Aleksandra Wielopolskiego w krakowskiej „Pszczółce” w 1822 roku.

— Ot, takie biadanie nad utratą niepodległości — mówi profesor. Biadanie w dziewiętnastowiecznym stylu. Posłuchajcie panowie, ten tekst mówi coś o autorze:

„Rzucaj już luba Wisło dolinę Wawelu,
Płyn wzbogaczać nieznanych ci nadmorców kraje,
Szukaj nowego wsparcia w innym przyjacielu,
Bo już nie będzie Polski, co ci promy daje (...)

— I dalej są piękne fragmenty o wychodźstwie:

„Rzucając już Polacy skiiby własnej ziemi,
Zegnają ostateczną swęj ojczyzny marę,
Popod morskie przestrzenie płyn Wisło na ziemi
Jak Alley w Artuzę zmień się w Delaware.
A gdy Polak przebywszy przez szerokie otchłanie,
Z rodziną kiedyś swoją w owych krajach siedzie,
Łzami może zalany nad tym brzegiem stanie,
I nurty przypomnienia czerpać w tobie będzie”.

— „Odę” pisał przed wybuchem powstania listopadowego.

Później wstrząsnęła nim rzeź galicyjska. Píše więc w 1848 roku ów słynny „List szlachcica polskiego do Meternicha”. W „Liście” wytknął całą perfidię rządu austriackiego, który podburzył masy chłopskie i doprowadził do rzezi polskiej szlachty. Zdaje się, że właśnie wówczas zaczęło mu się wydawać, że jedynym oparciem dla polskiej

pan w stanie ocenić motywy postępowania tego człowieka? Mógłby pan?

— Patrzył realnie na sytuację wewnętrzną i międzynarodową Polski nie tyle jako państwa, co Polski jako narodu. Był w centrum wiru niebywale sprzecznych dążeń. Wśród nich były dążenia, by odbudować Polskę od morza do morza, że należy przyłączyć do Królestwa Polskiego gubernie wschodnie, kresy, będące pod zaborem rosyjskim. Zupełnie naiwne w swej szlachetności mrzonki. Tę linię dążeń reprezentował Andrzej Zamoyski na zasadzie: wszystko albo nic. Z drugiej strony pulsował niesłychanie nabrzmiały problem wewnętrzny, socjalny. Stosunki społeczne oparte o ustrój pańszczyźniany były nie do utrzymania. Anachronizm tamtych czasów, w siedemdziesiąt lat po Rewolucji Francuskiej. Pozostawała kwestia, jak uprządkować te sprawy? Dla ziemiaństwa zniesienie pańszczyzny było krokiem w nieznaną, po którym świeża widmo bankructwa. Jakie wyjście? Oczyszczanie? Były rozmaite propozycje. Propozycje uwłaszczenia chłopów na wzór reformy pruskiej. Propozycja oczyszczania. A najsłabsze odłamy prawnicze krzyczały: nic nie ruszać, zostawić! No i program czerwony, idący po linii całkowitego uwłaszczenia chłopów, z naruszeniem stanu posiadania wielkich własności.

Domyślać się panowie, jaki to był w owym okresie problem? Jakiego głębo- kiego namiętności budził? W tej sytuacji politycznej niewoli i wewnętrznego chaosu trzeba było znaleźć drogę wyjścia. Przecież programem mojego pradziada było odzyskanie tego, co by-

— W sensie metodologicznym przedstawił pan niemal marksistowską interpretację procesów, które zachodziły przed ponad stu laty. Niby odległe czasy, ale jednocześnie jak na wyciągnięciu dłoni. I ciągle owe trudne, skomplikowane przez historię losy Polaków chodzą po głowie. Nie spodziewałem się, że właśnie tak mi pan odpowie na pytanie.

— A jak mógłbym odpowiedzieć? Przecież mój pradziad w 1863 nie uciekł jednak do Moskwy. Przyjechał tutaj.

Zapada milczenie. Czy już wyjaśniliśmy sobie kwestię pradziada Aleksandra?

— W czasie gdy słuchałem o Aleksandrze Wielopolskim, który na skrawku polskiej ziemi w Królestwie próbował pracować w zakresie szeroko pojętego programu podnoszenia kultury, cywilizacji społeczeństwa — myślałem o panu — przerywa milczenie dr Kozłowski. Po wielu, wielu latach prawnuk Aleksandra znalazł się na Pomorzu Zachodnim z własnego wyboru i pracował na odcinku, trudno powiedzieć, że podobnym, ale jakoś tam zbieżnym. Różnice właściwie kolosalne, inne uwarunkowania polityczne. Zbieżności jednak widzę. Całe pana życie od 1945 roku to praca naukowa, praca nad zaoraniem tutaj ugoru. W tym tyglu, jaki był w Szczecinie i na całym Pomorzu, tworzyła się koncepcja integracji poprzez naukę i kulturę. Pan przez cały ten czas uczył, pracował, pisał. A zbieżności, o których wspominałem? Są w tej pracy, żeby ludzie byli mądrzejsi, żeby najpierw inwestować w siebie, w swój umysł,

szlachty może być car Romanow. I tak rozpoczęła się linia jego rusofilskiej polityki.

Czy można bezstronnie ocenić czyni swego przodka? — pytanie widocznie samo się nasuwa. Myśli o tym i doktor Kozłowski, bo pyta naszego gospodarza:

— Oto pan — profesor historii, nauczyciel akademicki, który wychował pokolenia szczecińskich inżynierów, człowiek, który napisał kilka kapitalnych prac dotyczących dziejów Pomorza Zachodniego, dziś po latach wielu patrzy na drogę innego człowieka. Człowieka, który był humanistą, miał głęboką wiedzę i wrażliwość, który ukształtował swą osobowość w oparciu o wydarzenia trudnej epoki; człowieka, który przebywał na Pomorzu Szczecińskim po politycznej kompromitacji, bo wybrał drogę...

— Nie powiedziałbym, że po politycznej kompromitacji — przerywa profesor. — Raczej po klęsce politycznej...

— Właściwie słuszna uwaga. Tu jest właśnie ta rozbieżność ocen. Przecież dyskutujemy też i o drodze narodu polskiego w sensie utrzymania tożsamości, w sensie przetrwania. Czy byłby

to można. A przy tym odbudowa szkolnictwa, odbudowa Uniwersytetu w Warszawie, powołanie do życia Szkoły Głównej, doprowadzenie do zorganizowania samorządu terytorialnego, opar- tego wyłącznie o siły urzędnicze polskie, wyeliminowanie Rosjan z administracji... Ten cały program, oceniając obiektywnie był oparty o bardzo racjonalne przesłanki. A cóż robili kilkanaście lat później polscy pozytywści? Czym była praca organiczna? Inna sprawa, że w tym ogniu sprzeczności atakowano go ze wszystkich stron, a pradziad miał niesłychanie zadzierzasty charakter. Epilogiem tego, w miarę jak stosunki zaogniały się coraz bardziej, gdy groziło powstanie, było narastanie w nim przekonania, że wybuch powstania będzie nieszcześnie przekreślającym rysujące się możliwości odbudowy organicznej życia polskiego. I wówczas porwał się na tę potworną decyzję branki. Przeżywał ją później, ponieważ, bardzo głęboko i to przez całe życie. Za karę, jako pokutę nałożył sobie, że ręką którą podpisał ten dekret musi... No, przestał jej w ogóle używać i ręką mu uschła. Przekaz ten pozostał w ustnej tradycji rodzinnej, ale i profesor Skalkowski o tym pisał.

charakter, a potem rozumnie pracować na rzecz innych. Cała pańska trzydziestopięcioletnia droga jest właśnie taką pracą organiczną.

— Ale jak można wyważyć efekt swojej działalności? Ona... Ona ginie w przestrzeni, między ludźmi tak, jak Rilke bardzo ładnie napisał w „Inicjale”: „Rozdaj swe piękno szerokim gestem nie licząc, bez gadania, ono gdzieś za ciebie odpowie: jestem...”, ale ty nie wiesz, gdzie ono się dostało i gdzie ono się rozeszło...” Już nie pamiętam tego dokładnie. Poeta uważa za swój obowiązek rozdać to, co ma w sobie, jako odczucie piękna i wartości. Chce rozdać i nie liczyć tego. Tak jak siewca, który sieje ziarno i widząc, jak ono pada, nie wie jeszcze, jaki to przyniesie plon. Zarówno Rilke i mój mataforyczny siewca, nigdy nie mają okazji, by tego plonu zebrać. Ich powołaniem jest tylko dawać. I szczęściem jest, jeśli to, co się daje, to co się rozdało, było właśnie owym pięknem.

Reportaż nagrodzony w 1980 roku na ogólnopolskim konkursie zorganizowanym przez redakcję miesięcznika „Odra”. Tekst drukowany za zgodą redakcji „Odry”.

JAK WYSIEDLANO NIEMCÓW Z POMORZA ZACHODNIEGO

Decyzja o wysiedleniu ludności niemieckiej z terenów przyznanych Polsce na wschód od Odry i Nysy Łużyckiej została podjęta w 1945 r. na konferencji poczdamskiej. Przesiedlenie to miało się odbyć pod kontrolą międzynarodową. Planowa akcja wysiedleńcza rozpoczęła się w lutym 1946 roku. Akcję tę poprzedziła już jednak dobrowolna emigracja ludności niemieckiej na zachód, której władze polskie nie stawiały przeszkód.

Po zakończeniu działań wojennych, w kwietniu 1945 roku rozpoczęła się na Pomorzu Zachodnim, i trwała nieprzerwanie, duża emigracja ludności niemieckiej. Część Niemców, którzy przed zbliżającym się frontem uciekli lub zostali ewakuowani przymusowo przez władze niemieckie, powrócili po zakończeniu działań wojennych na tereny znajdujące się na prawym brzegu Odry. Po ogłoszeniu uchwał konferencji poczdamskiej, ludność niemiecka przystąpiła do wyjazdu na własną rękę, kierując się do ówczesnych stref okupacyjnych Niemiec.

Tego rodzaju migracje odbywały się jednak bez kontroli. Nie strzeżona aż do czerwca 1945 roku granica (w rejonie Szczecina nawet do października) umożliwiała więc Niemcom przeniesienie się bez trudności na zachód. Natomiast władze polskie były zainteresowane w szybkiej emigracji Niemców z Pomorza Zachodniego z uwagi na napiwające transporty osadników polskich. Ułatwiano więc wyjazd przez organizowanie środków transportu, nie poddawano ich jednak ścisłej kontroli celnej.

Te nie kontrolowane przesiedlenia utrudniły sporządzenie pełnego bilansu ilościowego stanu ludności niemieckiej w chwili przejścia Pomorza Zachodniego przez administrację polską. W niektórych przypadkach ustalenia szczegółowe są prawie niemożliwe. Biorąc pod uwagę zachowaną dokumentację władz polskich z tego okresu, można szacować liczbę ludności niemieckiej przebywającej na Pomorzu Zachodnim w okresie maja—czerwca 1945 roku na około 843 tys. osób. W liczbie tej znajdują się również Niemcy, którzy po zakończeniu działań wojennych powrócili do swoich poprzednich miejsc zamieszkania (ok. 100 tys. osób). W momencie zajmowania Pomorza Zachodniego przez wojska radzieckie i polskie zamieszkiwało te tereny około 700—740 tys. Niemców wraz z ludnością ewakuowaną z terenów nadbałtyckich i wschodnich. W porównaniu z rokiem 1939 obszary te wyludnione zostały w około 61%. Wynika z tego, że zarządzona przez władze hitlerowskie przymusowa ewakuacja ludności cywilnej wiosną 1945 roku oraz podjęta na własną rękę ucieczka tej ludności objęła 1080—1120 tys. osób. W liczbie tej mieszczą się również osoby powołane do wojska oraz straty wojenne ludności cywilnej. Przy zbliżaniu się frontu liczba ludności niemieckiej wzrosła do około 843 tys. W wyniku dobrowolnej emigracji oraz przymusowego wysiedlenia przez oddziały wojska polskiego (ostatnia dekada czerwca 1945 roku) głównie z powiatów leżących bezpośrednio nad Odrą, liczba ludności niemieckiej spadła w końcu 1945 r. do 528 tys. osób. Przesiedlenia te wpłynęły w dużej mierze na zmiany w strukturze demograficznej Pomorza Zachodniego.

14 lutego 1946 roku przedstawiciele rządu polskiego oraz Połączone Przedstawicielstwo Repatriacyjne (CRX) podpisały w angielskiej strefie okupacyjnej umowę ustalającą zasady przesiedlania ludności niemieckiej do brytyjskiej strefy okupacyjnej Niemiec. Zasady te miały obowiązywać również przy wysiedlaniu do radzieckiej strefy okupacyjnej.

Ustalono, że przyjmowanie przesiedlanych Niemców przez administrację brytyjską odbywać się będzie na granicy w miejscowości Węgliniec (Dolny Śląsk) oraz w Szczecinie. W tym celu wydelegowane zostały do Polski wojskowe misje angielskie, których zadaniem był nadzór oraz przyjmowanie transportów z przesiedleńcami niemieckimi. W ten sposób chciano zapobiec ewentualnym zwrotom transportów, które nie odpowiadałyby ustalonym warunkom. W czasie jazdy bezpieczeństwo osobiste zapewniały władze polskie.

Każdy Niemiec otrzymywał na czas przejazdu żywność na trzy dni. Racje żywnościowe dla Niemców były identyczne jak dla osadników polskich, przybywających równocześnie transportami na nowe ziemie. Jeśli chodzi o rzeczy osobiste oraz pościel, każdemu pozwalano zabrać tyle, ile mógł unieść (tj. ok. 40 kg na osobę dorosłą) oraz 500 marek niemieckich również na jedną osobę.

Szczególną uwagę zwracano na warunki sanitarne. Wszyscy przesiedleńcy byli badani przez lekarza oraz poddawani zabiegom dezynfekcyjnym. Personel szpitalny PUR wykazał wiele troski dla zapewnienia wszystkim Niemcom jak najlepszej opieki lekarskiej. Oprócz badania każdego Niemca przy odprawie transportu, udzielono 108.086 porad ambulatoryjnych. Jest rzeczą znaną, że np. liczba porad ambulatoryjnych, których udzielono w latach 1945—1947 1800 tys. osadnikom polskim była o wiele mniejsza, aniżeli około półmilionowej rzeszy przesiedleńców niemieckich w ciągu lat 1946—1947. Z pomocy tej korzystał co piąty Niemiec, natomiast Polak tylko co osiemnasty. Podobnie skrupulatnie przestrzegane były wszystkie normy żywnościowe. Przepisy zabraniały wysiedlania osób chorych, starców oraz kobiet na 6 tygodni przed i po porodzie. Osoby te były przesiedlane w terminach późniejszych i w warunkach szczególnej opieki (specjalne pociągi sanitarne). Z akcji przesiedleńczej wyłączone zostały rodziny rozdzielone (reklamacja z miejsca pracy), jak również w wypadku choroby choćby jednego z członków rodziny. Ludzi tych przesiedlano w terminach późniejszych.

Nadzór nad akcją przesiedleńczą ludności niemieckiej sprawowało wówczas Ministerstwo Ziemi Odzyskanych, strome techniczną tej akcji powierzono Państwowemu Urzędowi Repatriacyjnemu. W tym celu utworzono całą sieć punktów zbiorczych w każdym powiecie. W lutym 1946 roku utworzono w Szczecinie Punkt Zbiorczy nr 3, przyjmujący i wysyłający transporty Niemców z całego województwa szczecińskiego (tj. całego Pomorza Zachodniego). Celem zapewnienia bezpieczeństwa osobistego wysiedlanej ludności, każdy transport posiadał specjalną eskortę wojskową, która konwojowała go do miejsca przeznaczenia. Kontrolę bagażu przeprowadzano komisyjnie tylko w obrębie punktu zbiorczego w ciągu dnia. Transport odbywał się w wagonach towarowych wyposażonych w prycze do spania i piecyki ogrzewcze na czas chłódów. W okresie trwania zimy akcja przesiedleńcza była przerywana.

Całość przesiedleń zaplanowano początkowo na rok 1946, lecz tego przedsięwzięcia w przewidzianym terminie nie można było zakończyć. W związku z tym trwały one jeszcze przez cały 1947 rok. Do końca 1947 roku wyjechało z Pomorza Zachodniego ogółem 469 tys. osób narodowości niemieckiej.

Pomimo licznych trudności organizacyjnych (brak odpowiednich kadr, doświadczenia w realizacji tak gigantycznej akcji, ogólne zniszczenia wojenne, brak lekarstw, opału, odzieży itd.) nigdy nie zdarzyło się, aby misja angielska kiedykolwiek zawróciła transport nie odpowiadający przepisom. Fakty te świadczą dobitnie o dobrej pracy punktów repatriacyjnych. Angielska misja miała natomiast możliwość zdementowania nieprawdziwych informacji, rosiewanych przez rozgłośnię londyńską lub przez przesiedleńców niemieckich, o rzekomo nieznosnych warunkach panujących w transportach kolejowych. Przedstawiciele misji angielskiej w Szczecinie podkreślali wielokrotnie troskę i odpowiedzialność, z jakimi odnosiły się władze polskie wobec wysiedlanych Niemców. Spośród wielu pozytywnych wypowiedzi członków angielskiej misji wojskowej na temat organizacji przesiedlania Niemców przytoczę jedną, pika Growse'a (misja repatriacyjna w Węglincu):

„Widzę wielkie starania władz polskich, aby repatriacja odbywała się starannie i humanitarnie. Starania te dają dobre wyniki, gdyż zdrowotność repatriantów nie pozostawia nic do życzenia, jak również humanitarność postępowania z repatriantami niemieckimi. Wyjeżdżają oni z Polski zadowoleni. Jest to potężna akcja, nie spotykana w historii. Polska jest zniszczona i zajęta wielkim dziełem odbudowy kraju, jak również repatriacją swych rodaków z całego świata. Toteż uważam, że akcja ta lepiej zorganizowana być nie może. Drobne wypadki i niedociągnięcia zdarzają się, ale są one w porównaniu z ogromem tej akcji mało znaczące” (ZYCIE WARSZAWY 1946 nr 12). Podobnych wypowiedzi można by przytoczyć więcej.

W zasadzie rok 1947 zakończył akcję wysiedlania Niemców z Polski. Do końca 1947 cała ludność niemiecka podlegała obowiązkowemu wysiedleniu. Po oficjalnym zakończeniu tej akcji przesiedleńczej, pozostali jeszcze w Polsce Niemcy mogli być repatriowani do Niemiec, ale na innych już zasadach. W rachubę wchodził dobrowolny wyjazd. Niemcy, pragnący opuścić Polskę i przesiedlić się do brytyjskiej strefy okupacyjnej, mogli wyjechać po otrzymaniu pisemnego zezwolenia władz okupacyjnych w Niemczech. Wyjazd do radzieckiej strefy okupacyjnej odbywał się na zasadzie układu pomiędzy władzami polskimi i radziecką administracją okupacyjną. Stronę techniczną repatriacji zapewniał Państwowy Urząd Repatriacyjny. Wszystkie przepisy określające zasady przeprowadzenia repatriacji pozostały niezmiennie.

Pod koniec 1947 roku na Pomorzu Zachodnim mieszkało jeszcze 47 046 osób narodowości niemieckiej, przeważnie na obszarze dzisiejszego województwa koszalińskiego i słupskiego. W okresie lat 1948—1951 wyjechało z Pomorza Zachodniego 16 869 Niemców i w ten sposób liczba ich wyniosła, w połowie roku 1951 ogółem 29 103 osoby.

W roku 1951 zostały zmienione zasady wyjazdu Niemców z Polski. Państwowy Urząd Repatriacyjny został zlikwidowany i wszelkie sprawy związane z repatriacją zostały przejęte przez rady narodowe. Akcję repatriacyjną zaczęto traktować, od tego momentu, jako zagadnienie łączenia rodzin. Mogli więc wyjeżdżać tylko ci, którzy posiadali krewnych w obu państwach niemieckich. Zgodnie z umową akcja ta miała zakończyć się w 1954 roku, jednakże nie wszyscy zainteresowani mogli się w powyższym terminie zmieścić, więc zezwolono wyjeżdżać również w terminie późniejszym.

Akcja ta nie zakończyła jednak problemu repatriacji pozostałych jeszcze na Pomorzu Zachodnim resztek ludności niemieckiej, ponieważ została ona ograniczona do kwestii łączenia rodzin. Lata 1951—1955 nie były korzystne dla prowadzenia akcji przesiedleńczej na szerszą skalę. Okres zimnej wojny w polityce międzynarodowej wykluczał bliższe kontakty pomiędzy krajami wschodnimi i zachodnimi, co nie sprzyjało oczywiście wymianie ludności w szerszych rozmiarach. Z tych też względów zagwarantowano ludności niemieckiej (jako mniejszości narodowej) pełnię praw i rozwój ekonomiczny, zamiast przymusowej repatriacji.

Jak już wspomniano, największa liczba ludności niemieckiej mieszkała w województwie koszalińskim. Ponad 90% Niemców zatrudnionych było w PGR-ach. Niemcy byli zrównani z Polakami we wszystkich prawach; za tę samą pracę otrzymywali to samo wynagrodzenie i żyli w tych samych warunkach lokalowych, co Polacy. Robotnicy niemieccy byli pracownikami dobrymi i zdyscyplinowanymi. Również w działalności kulturalnej ludność niemiecka dorównywała polskiej. W miejscowościach zamieszkałych przez ludność niemiecką zorganizowano dla niej świetlice, w których prowadzono próby i występy zespołów chóranych, tanecznych, teatralnych i muzycznych oraz umożliwiono jej uprawianie sportu. W Szczecinie powstał niemiecki dom kultury im. Przyjaźni Niemiecko-Polskiej. Również szkolnictwo wśród ludności niemieckiej rozwijało się pomyślnie. Na tym polu nie było żadnych różnic pomiędzy szkołami polskimi i mniejszościowymi dla Niemców. Objęto nimi, z małymi tylko wyjątkami, całą młodzież niemiecką. W latach 1952—1954 istniały na Pomorzu Zachodnim 82 szkoły, skupiające ponad 3000 dzieci niemieckich. W Koszalinie wychodziła gazeta w języku niemieckim pt. „Der PGR Arbeiter”.

Wśród ludności niemieckiej przejawiała się jednak ogólna tendencja wyjazdu do Niemiec. Dążono do połączenia się z rodzinami i życia wśród swoich ziomeków. Zasadniczo sytuacja polityczna zmieniła się w 1956 roku. Zmiana atmosfery politycznej w Europie oraz odprężenie w stosunkach pomiędzy wschodem a zachodem, pozytywnie wpłynęły na uregulowanie wszystkich problemów związanych z niemiecką mniejszością narodową. Zezwolono więc na wyjazd tym wszystkim Niemcom, którzy nie posiadali na zachodzie żadnych krewnych.

Wyjazdy posiadały charakter czysto dobrowolny. Każdy Niemiec mógł decydować teraz o swoim losie. Zdecydowana większość Niemców skorzystała więc z tej okoliczności i opuściła Pomorze Zachodnie w latach 1956—1957. Z 29 000 Niemców, którzy przebywali tutaj jeszcze w 1951 większość wyjechała. Kolejne grupy wyjeżdżały w latach 1959—1964. Pozostało na Pomorzu Zachodnim około 1200 osób narodowości niemieckiej, w wielu wypadkach spokrewnionych już z Polakami. Zaistniały w 1945 roku problem migracji ludności niemieckiej przestał ostatecznie istnieć.

Przesiedlenie Niemców z Pomorza Zachodniego po II wojnie światowej było zaledwie częścią ogólnych przemieszczeń ludnościowych, które miały miejsce przed trzydziestu pięciu laty. Zjawiska tego nie można rozpatrywać w oderwaniu od ogólnych przeobrażeń historycznych, politycznych i ekonomicznych w Europie środkowej i wschodniej. Nieodwracalny fakt powrotu do Polski Ziemi Zachodnich i Północnych nie tylko spowodował przesunięcie na zachód granicy politycznej Niemiec, uległ także przesunięciu etniczny obszar niemiecki. Argument o „mniejszości niemieckiej” w granicach innych państw, o ich rzekomych krzywdach, poprzedzał bowiem zawsze groźne wydarzenia polityczne, był też głównym narzędziem propagandy hitlerowskiej w aneksji Czechosłowacji oraz w agresji na Polskę i rozpoczęciu II wojny światowej. Te przemiany w sytuacji Niemiec w Europie, a także powstanie Niemieckiej Republiki Demokratycznej, państwa o ustroju socjalistycznym, które konsekwentnie realizuje politykę pokojowego współistnienia i przyjaźni między narodami, są istotnie pomyślnymi czynnikami dla przyszłości narodów Europy.

Propagandowe oszczerstwa kolportowane w RFN na temat rzekomej tragedii Niemców na ziemiach polskich i ich bezprawnego wypędzenia nie wytrzymują konfrontacji z całokształtem akcji przesiedlenia Niemców. Była ona wynikiem ustaleń międzynarodowych, odbywała się w sposób prawnie uregulowany i humanitarny, pod kontrolą międzynarodową. Stosunek ludności polskiej do Niemców był poprawny — mimo okrutnych cierpień i krzywd, doznanych w czasie wojny i okupacji. Polacy nie kierowali się chęcią odwetu i zemsty w stosunkach z obywatelami niemieckimi. Społeczeństwo polskie — rozumiejąc problem ludności niemieckiej na naszych ziemiach, który był tylekroć pretekstem do agresji imperializmu niemieckiego — żądało jedynie jak najszybszego przeprowadzenia ewakuacji.

O takiej postawie społeczeństwa polskiego zaświadczyła korespondentka angielskich czasopism Labour Party, C. Chesterton, przebywająca we Wrocławiu w październiku 1945 r. Oto jej słowa:

„Należy dotożyć wszelkich starań, ażeby ten element, w zasadzie destrukcyjny i wrogi, z tych terenów usunąć. Będąc świadkiem wysiedlania Niemców zauważyłam, że Polacy mają za dobre serca i szybko zapominają krzywdy, gdyż stosunek ich do Niemców jest humanitarny, na co ci bezwzględnie nie zasłużyli”.

BANASIAK S., *Przesiedlanie Niemców z Polski w latach 1945 — 1950*, Łódź 1968.

BIAŁECKI T., *Przesiedlanie ludności niemieckiej z Pomorza Zachodniego po II wojnie światowej*, Poznań 1969.

KOKOT J., *Logika Poczdamu*, Katowice 1957.

PASIERB B., *Migracja ludności niemieckiej z Dolnego Śląska w latach 1944 — 1947*, Wrocław 1969.

SKUBIESZEWSKI K., *Wysiedlanie Niemców po II wojnie światowej*, Warszawa 1968.

ZIELIŃSKI R., *Ruchy migracyjne między Odrą a Bugiem w latach 1939 — 1950* Poznań 1960.

KIPIS

JACEK WIŚNIEWSKI

Wróciłem z Krakowa około 10.00. Tam dwa dni wcześniej zaczął się strajk na UJ i AGH, potem na WSP. Chcieli zebrać postulaty wszystkich szkół pedagogicznych, więc pojechałem — opowiada Sławomir Wrona, SZSP, III rok historii. W Krakowie wyplęta sprawa akademickości i nieakademickości szkół wyższych. WSP miałyby być zawodowe bez prawa do tytułów magisterskich na zakończenie. Taka propozycja resortu. No, niby jedna z wielu propozycji. Z tym wróciłem i poszedłem na uczelnię. W gmachach szczecińskiej WSP rozwieszano już plakaty o treści: O dwunastej w auli przy Wielkopolskiej wiec studentów — to mniejszymi literami, a wielkimi bodaj: Czy będziemy strajkować? W każdym razie sens pytania był taki. Na uczelni mówiono, że będziemy, tylko jak i gdzie? Poszedłem do Rady Uczelnianej. Tu nastrój był zupełnie inny. Powiedzieli, że przedstawia informacje, niech ludzie wiedzą, co się dzieje, wiec ma być informacyjny. Strajku nikt nie brał pod uwagę. To samo usłyszałem w Niezależnym Zrzeszeniu Studentów.

Mówi Paweł Bartnik, NZS, IV rok historii: Zwotaliśmy wiec wspólnie z SZSP. Nie było pewności czy porozumienie w Łodzi będzie szybko. No i uważaliśmy, że to nie będzie dobre porozumienie. Mieliśmy wiadomości, że krąg strajkujących uczelni się rozszerza. Mówiono, że centrum ma się przenieść do Poznania i rozmowy powinny toczyć się dalej. O tym chcieliśmy powiedzieć informacyjnie.

„Informacyjny” wiec na WSP zaczyna się o dwunastej. Kilkanaście minut po trzynastej zapada decyzja: strajkujemy! To, czego niektórzy spodziewali się od października — stało się w lutym. Ale początków szukać trzeba wcześniej. Jak się zaczął ten cały kipis? — przekłada sobie moje pytanie Jacek z III roku pedagogiki. Najpierw wojna plakatów i gadania, że SZSP to działacze ułatwiający sami dla siebie, zarzucano skostnienie, organizację dla organizacji. To mi się nie podobało, sam działałem, robiłem dla innych i na pewno nie byłem urzędnikiem, wyzywałem się... Ale tak było na początku, krótko. Rzeczywiście, to minęło szybko, tak szybko, że niektórzy z działaczy już dziś wręcz zaprzeczają okresowi takiej walki. Zbyt wiele miałem jednak potwierdzeń... W sumie szybko zawarto nawet nie tyle rozejm, co przymierze. Mówi Piotr Rutkowski, przewodniczący RU SZSP, IV rok wychowania technicznego: Nie było o co walczyć ani o kogo. Marazm — może z 60 aktywnych osób na całej uczelni...

Paweł Kołodziński, NZS, III rok historii: Nie było wojny o stołki, swoją robotę w obłudzie studentów robili dobrze: stypendia, akademiki, kultura, nie musieliśmy w to wchodzić. Może to zależało i od osobowości przywódców, fakt: szybko się dogadaliśmy, występowaliśmy razem i nadal tak robimy. To jest ewenement w skali kraju, w innych ośrodkach aż nie chcą nam wierzyć...

Niezależne Zrzeszenie Studentów na WSP zaczyna działalność — takie odniosłem wrażenie — od wyodrębnienia się z SZSP.

Mówi Andrzej Kotula, NZS, IV rok polonistyki: Nie wierzyliśmy w sens autoreformy SZSP. Bo Uniejów to była próba obrony pod hasłem: Utrzymajmy jednoś środowiska akademickiego. A przecież w tym środowisku brak jedności światopoglądowej... I sam Związek ma z jednej strony w statucie, że chce reprezentować młodzież o światopoglądzie ściśle określonym, a w innym punkcie, że przyjmie każdego i reprezentuje całe środowisko. To prowadziło do neutralizacji światopoglądowej. I to przyjmowanie ludzi z pierwszych lat, obozy w Międzywodziu, wycieczki i stypendia... Mariusz Gerula, NZS, II rok nauczania początkowego, dodaje: Zastanawiano się wręcz nad powro-

tem do źródeł: ZSP albo wprost związek zawodowy studentów oraz organizacja o sprecyzowanym światopoglądzie. Właśnie wówczas na Uniwersytecie Warszawskim pojawi się hasło — program: Jeśli jesteś prawdziwym komunistą — wstąp do SZSP.

Uniejowskie, trzydniowe plenum SZSP, nie przyniosło przełomu w organizacji, choć wiele rzeczy uporządkowało. Na WSP zaowocowało odczytaniem, w czasie oficjalnej inauguracji roku, listy postulatów pod adresem rektora, (sprawy: swoboda wyboru lektoratów z języków obcych, zniesienie praktyk robotniczych; wykorzystanie w wykładach dostępnej aparatury audiowizualnej; zwiększenie nakładów skryptów; dostęp do literatury, głównie obcojęzycznej — formalnie będącej w zbiorach zakładów, a praktycznie w gabinetach naukowców; zmiana trybu nauczania przedmiotów ideologicznych oraz przydzielenie organizacji studenckiej powielacza). Jego Magnificencja ustosunkowała się życzliwie, załatwiła, co mogła, a resztę trzeba było wysłać do Ministerstwa. Ministerstwu Nauki i Szkolnictwa Wyższego postulaty słał Komitet Wykonawczy — najwyższa władza — SZSP. W rezultacie na uczelnię docierały okólniki — odpowiedzi. Np. sprawa swobody w uzyskiwaniu paszportu (decydował dziekan — zależnie od wyników studiów, co studenci uważali za traktowanie ich jak niepełnoletnich). Odpowiedź Ministerstwa była wyciągiem z obowiązującego regulaminu studiów...

A równocześnie temperatura wokół rośnie: spór o rejestrację „Solidarności” i podobne wydarzenia zmuszają chociaż do próby zrozumienia tego, co się dzieje. Na WSP zaczyna działalność KZ NSZZ „Solidarność”, pojawia się problem utworzenia studenckiego koła tej organizacji. Z kraju docierają wieści o tworzeniu się NZS-u, którego program opiera się, w znacznej części na ideałach głoszonych przez „Solidarność”. Na WSP deklaracje chęci wstąpienia do nowej, jeszcze nie zarejestrowanej organizacji, składa 133 studentów z 1200. Działacze NZS i SZSP wspólnie formułują postulaty do ministra: Chodzi głównie o zmniejszenie i przekształcenie bloku pod nazwą „podstawy nauk politycznych”. Blok był przez ministerstwo traktowany jako nie-naruszalny — mówi Piotr Rutkowski. — Żadnych dyskusji: student musi mieć ukształtowany światopogląd. Ktoś dodaje: Mnóstwo godzin, zmarnowanych godzin. I to panoszenie się nietykalnego zakładu... Przez cztery lata, przez cztery godziny tygodniowo kładziono studentom do głów ekonomię polityczną, podstawy filozofii i socjologii, podstawy nauk politycznych (systemy polityczne i gospodarcze, koncepcje), a na zakończenie wybrane zagadnienia filozofii (tu m. in. etyka). W sytuacji, gdy zajęć jest często ponad 60 godzin tygodniowo — to było wiele. A gdy zdobytą wiedzę okazywała się bezużyteczna w konfrontacji z życiem — rozbudowany blok stał się celem ataków.

Mówi Jurek: Rozmawiałem kiedyś z Francuzem. Był jednostronny w ocenach, widziałem sprzeczności w argumentacji — i nie miałem argumentów. Bo uczono mnie, jak się wybiera prezydentów w USA i Francji, ale nie uczono jak I-szego sekretarza w PZPR.

Sprawa PNP kotłowała się aż do stycznia — mówi Paweł Kołodziński — a potem była sesja, przerwa, czyli wakacje, a gdzieś tak w międzyczasie zaczyna się Łódź. W złym okresie się zaczyna, większość uczelni ma albo sesję, albo przerwę, międzysemestralną, z nikim tego nie uzgodnili, zaczęło się od drobnego, lokalnego konfliktu z dziekanem... Gotowało się, gotowało, aż jeszcze jedno drewnienko pod kociołkiem podgrzało go o jeden stopień... i wykipiało. Kipis — celne słowo. Od października to studenci są aktywną stroną, a resort kluczy, unika odpowiedzi. Większość postulatów z Łodzi pojawiła się już wcześniej... Szczecińskie uczelnie kończą wakacje 15 lutego. Nazajutrz Niezależne Zrzeszenie Studentów wyznacza ostre pogotowie strajkowe dla wszystkich uczelni. Tylko tyle — i aż tyle. Jedynie na WSP decyzja jest wspólna z SZSP.

Kilka dni wcześniej — zaczynają strajk okupacyjny najpierw solidarnościowy z Łodzią. Potem, coraz bardziej uznający osiągnięte tam porozumienie za niepełne, dołączają studenci z innych ośrodków akademickich. Szczególnie radykalny jest Uniwersytet Warszawski i Poznański, zwłaszcza z Poznaniem kontakty są bliskie.

W poniedziałek, szesnastego, wieczorem, wybucha strajk w Akademii Rolniczej („wiec zwotało SZSP, potem wyszło NZS i zaczął się strajk — do tego prowadzi walka o przywództwo na uczelni” — usłyszę od swoich rozmówców z WSP). AR głosi solidarność z Łodzią i żąda rejestracji „Solidarności Wiejskiej”.

Wtorkowe wieczorne dzienniki radiowe i poranna prasa w środę przyniosły informację o rejestracji NZS-u, spełniony został jeden z głównych postulatów. Jeszcze nie wszyscy o tym wiedzą, niewielu wie, jak naprawdę wygląda sytuacja w Łodzi i w innych uczelniach. Zwierza się Jurek: *Nasłuchiwałem, co mówią koledzy i konfrontowałem z wiadomościami dziennika TV. Tak naprawdę dowiedziałem się, o co chodzi dopiero na wiecu. Małgorzata, I rok matematyki: Nie za bardzo wiedziałam, co się dzieje. O różnych rzeczach się mówiło. Tak jak było, nie mogło dalej być. Waldek, III rok wychowania technicznego: Trzeba było coś zdecydować. Ale właściwie nic nie wiedzieliśmy.*

Środa, południe. Aula przy ul. Wielkopolskiej pełna ludzi. Obwieszona plakatami wzywającymi do uwolnienia więzionych za przekonania. Na podium stół prezydialny, przy nim dwa mikrofony. Trzeci ustawiono na środku sali. Najpierw są informacje prezydium:

Po pierwsze: nie bardzo wiadomo, czy na pewno, ale chyba dziś zostanie podpisane porozumienie w Łodzi. Część tamtejszych uczelni podobno chce strajkować dalej, uważając, że to żadne porozumienie.

Po drugie: Warszawa, Kraków, Wrocław i Poznań już strajkują solidarnościowo. Jest pomysł, żeby przenieść centrum strajkowe do Poznania i kontynuować akcję aż do zwycięstwa. Bo ci w Łodzi są już pomęczeni i zniechęceni, to zrozumiałe: 29 dni w zamknięciu. Zgodzą się na wszystko w końcu...

Uważaliśmy, że kompromis będzie za duży i rozmowy powinny się toczyć dalej — Paweł Bartnik, IV rok historii, NZS, członek Komitetu Strajkowego. — *Za dużo ogólnikowych sformułowań, pozostawienie spraw do wejścia w życie nowej ustawy o szkolnictwie wyższym, kompletny brak terminów w porozumieniu — właściwie minister może sobie zdecydować co i jak załatwi. No i były sprawy nie załatwione zupełnie, ze studenckich kwestia wojska, z ogólnospołecznych cztery: żądanie uwolnienia osób więzionych za przekonania, ukarania winnych wydarzeń Marca 1968, Grudnia 70 i Czerwca 76 r., uchwalenia nowej ustawy o cenzurze oraz umożliwienia obywatelom PRL nieskrępowanego poruszania się poza granicami kraju. Te punkty znajdują się w tzw. protokole rozbieżności „Łódzkiego nieporozumienia” — jak je nazywają studenci. W pierwszych minutach wiecu Sławomir Wrona przekazuje jeszcze informacje o wspomnianym już projekcie uczynienia z WSP uczelni zawodowych, nieakademickich... To dotknęło najbezpośredniej. Temperatura więc od początku wysoka. Stoję z tyłu, przypadkowo widzę, nie wszystko słyszę, nie wszystko pamiętam. Dużo pytań zmierzających do uściślenia informacji. Prezydium często odpowiada: nie wiemy, nie mamy pewności. Ale niekiedy też odpowiada twardo i prędko tam, gdzie wystarczyłaby chwila analizy. Głos z sali: — *Czy jeśli będziemy strajkować, to jesteście przeciw 90-ciu dniom, o które prosił Jaruzelski?* Prezydium: — *Nie, ale jesteście przeciw ministrowi Górskiemu.**

Na plakatach w gmachu można przeczytać: Górski klimat nie służy odnowie oraz cytaty z rokowań w Łodzi: Strajkować to wy se możecie, studenci nie są pepkiem świata... to minister Górski.

Tylko drobiazg: premier prosił o 90 dni spokoju dla rządu, czy można być przeciw jednemu z członków rządu — i nie być przeciw całości?

Inny głos: NZS został zarejestrowany — to jedna z najważniejszych spraw. Jeśli Łódź nie zdołała się dogadać w spornych kwestiach przez tyle dni, to jakie my mamy szanse? I odpowiedź: Oni są już wykończeni, załamują się, tam się dzieją straszne rzeczy. Górski coś uzgadnia, a po trzech godzinach zaczyna kwestię od nowa, najważniejszych spraw nie załatwiono, trzeba ich wesprzeć, wymienić. Poznać tak proponuje. Stojący obok mnie student: No, mają rację, ale strajkować nie ma sensu, skoro już nawet Wałęsa nas nie popiera... Stojący przy drzwiach na obudowie kaloryfera wysoki chłopak pokrzykuje od czasu do czasu: Nie dyskutować. robić głosowanie i zamykać drzwi, bo wszyscy uciekną!

Jeszcze przemawia delegat strajkującej od dwóch dni Akademii Rolniczej, w wojskowego kroju bluzie, z białoczerwoną wielką plaketką na prawej piersi: Nie wyobrażam sobie, żebyście nie strajkowali, żeby były jakieś opory. U nas decyzja zapadła jednogłośnie! Trzeba wywalczyć, bo sami nie dadzą! Ktoś z sali: Czemu nosisz taki znak, może byś wyjaśnił. Bo chyba wiesz, co w konstytucji jest napisane o szacunku do barw narodowych? Drobne oklaski, atmosfera jakby tężeje. Pada odpowiedź: Stary, barwy narodowe są dla ludzi, nie dla konstytucji! (Brawa i oklaski

aprobaty). Nastrój na tej sali faluje — podobnie z temperaturą. Góra, dół, przerwa, góra, dół... W jednej z takich przerw stojący obok kolega komentuje: Tu by się przydał porządny demagog, a nie tacy domorośli. Jeden porządny doprowadziłby, gdzie by chciał: do strajku albo zupełnie przeciwnie!

Jeszcze jeden głos: Ja mówię w imieniu wydziału wychowania fizycznego. My wszyscy jesteśmy za strajkiem. Trzeba choćby i dlatego, żebyśmy znów nie zostali się za prowincjonalną uczelnią! Jedna trzecia sali śmieje się, krótko, półgębkiem. Ktoś nie wytrzymuje: Trzeba strajkować! Poprawy ekonomicznej to my się nie doczekamy, na to podobno trzeba lat. Pójdziemy do pracy za te trzy czy cztery tysiące. Ale wywalczyć chociaż wolność słowa, tyle możemy!

Niespełna miesiąc później zadam dziesięciu przypadkowo spotkanym studentom WSP (wszyscy strajkowali) następujące pytanie: — Żądaliście uchwalenia nowej ustawy o cenzurze. Na czym polegają główne różnice między tzw. projektem rządowym a społecznym? Nie będzie ani jednej odpowiedzi choćby ujawniającej ślad wiedzy na ten temat (dla moich rozmówców z SZSP i z NZS wynik ankiety nie był zaskakujący). Wniosek o braku tej wiedzy u przeciętnego studenta nie jest więc chyba zbyt naciągany. Czy można używać ostatecznej broni, jaką jest strajk, nie bardzo wiedząc, o co chodzi, nie znając istotnych szczegółów?

Facet na kaloryferze pokrzykuje coraz częściej. Kilkanaście osób, wruszając ramionami, opuszcza salę. Wszystko już trwa za długo, wreszcie któryś z organizatorów podejmuje decyzję: Głosujemy. Chyba nikt nie jest przeciw strajkowi, więc decydujemy tylko czy zaczynamy dziś, czy poczekamy do jutra? Pytanie postawione istotnie „demokratycznie”, a ponadto: przecież wiec miał być informacyjny... Marek Adamkiewicz, członek Komitetu Strajkowego, NZS, II rok matematyki mówi: Byliśmy zaskoczeni salą. Oni byli bardziej przekonani od nas. Paweł Kołodziński: Myślę, że temperatura sali była taka. Podaliśmy informacje, wyjaśnialiśmy i te informacje były takie, że nie mogło być innej decyzji. Ten z AR-u przecież nie agitował za strajkiem, my też... — Piotr Rutkowski: Oj, agitował, agitował!

— No, tak, to zależy od kontekstu. Ja też na Politechnice mówiłem, że potrzebne jest rzeczywiste poparcie, wiecami i opaskami nikogo nie przekonacie... A całkiem źle się stało, że głosowanie odbyło się bez was, przed waszym powrotem...

Przedstawiciele SZSP poszli bowiem telefonować, aby dowiedzieć się, co aktualnie dzieje się w Łodzi. W auli pozostaje 597 studentów, po trzech godzinach wszyscy wychodzą do domu po rzeczy. Wraca 850. W międzyczasie Komitet Strajkowy rozmawia z rektorem, bez kłopotu otrzymuje potrzebny samochód, prawo do korzystania z sal dydaktycznych (większość sal w gmachu przy Wielkopolskiej to pracownie — woleliśmy nie ryzykować, w ogóle przez pierwsze godziny to były sprawy przyziemne: organizacja, grupa plastyczna, dwoje ludzi poszło na miasto z plakatami). Ukazuje się pierwsze oświadczenie Komitetu Strajkowego. Pod przedstawionymi już czterema postulatami ogólnospołecznymi słowa: „Studenti jako pełnoprawni członkowie społeczeństwa i przyszła inteligencja narodu są szczególnie upoważnieni do zabierania głosu w tych sprawach”.

Po południu odbywa się długi, sześciogodzinny wiec na Politechnice (drugi z rzędu) — decyzja o strajku rozmywa się we frakcyjnych sporach. Wyższa Szkoła Morska zawiadamia, że nie może się przyłączyć. Pomorska Akademia Medyczna — czeka. Nadchodzą pierwsze wiadomości z Łodzi o podpisaniu porozumienia.

Tej nocy w gmachu dominuje uczucie zwartości. Paweł Bartnik: Nas samych to zaskoczyło. Zawsze uważaliśmy, że gdzieś jak gdzieś, ale na WSP nic się zrobić nie da... Małgorzata: To nie było tak, że strajk dla frajdy. Bo nie było fajno, dwie umywalki dla tylu ludzi, z żywnością krucha, odbyły potrawo dłużej — męka. Ale byliśmy razem, wspólnie chcieliśmy coś zrobić, atmosfera była wspaniała... Jurek: Staliśmy się jednością — a to chyba bardzo ważne. Odkryliśmy, że myślimy i czujemy tak samo. Zanotowałem kilkanaście takich wypowiedzi.

„Na strajku” (mówi się „na strajku” — tak jak „na rajdzie”) — można robić różne rzeczy, bo też nie bardzo wiadomo co robić. Ta noc jest gorąca tylko dla Komitetu Strajkowego, który wciąż poszukuje informacji. A tu jeszcze są kłopoty z telefonem, co interpretują jednoznacznie „odcinają nas”.

Nad ranem otrzymują pełny tekst porozumienia z Łodzi. Zarzuty są takie jak wcześniej: za mało konkretnych, terminów, zdecydowanych ustaleń, za wiele określeń typu: minister rozważy, uwzględni, itp.

Z wyciągiem najważniejszych dla uczelni 13 punktów idą do rektora (przed każdym obowiązkowe „żądamy”), który akceptuje wszystko. Po podpisaniu podobnej listy przez swojego rektora Akademia Rolnicza kończy strajk w stanie wewnętrznego rozbitcia... WSP kontynuuje akcję: Czekamy na wiadomość z Poznania — mówi Paweł Bartnik. Wreszcie około 14.00 jest: Poznań zawiesza strajk (naciskany zresztą m. in. przez Jacka Kuronia, wysłannika KKP NSZZ „Solidarność” — gwaranta porozumienia łódzkiego — przyp. autora), inne uczelnie — również. Następnego dnia mają rozmawiać w Poznaniu: wicepremier Rakowski i Ogólnopolski Komitet Założycielski NZS, jest szansa renegeacji! Zwołujemy więc na 17.00 — stawiamy wniosek o zawieszenie strajku do soboty, do godziny 18.00! Paweł Kołodziński: To wcale nie przyszło łatwo: część sali postawiła nam — komitetowi — zarzut, że to właśnie my parliśmy do strajku... My? Po trzydziestu godzinach studenci kończą okupację gmachu przy Wielkopolskiej. Andrzej Kotula: Zostawiliśmy porządek, żadnego bałaganu — nawet panie sprzątaczkę były zadowolone, one to chyba największy autor? Zaczęli jako ostatni w kraju i tak też — zdaje się — kończą... Przeżycie było mocne — choć krótkie. I chyba dla nich — ważne.

Leszek Chwał, III rok fizyki, NZS: Strajk dał nam, jeśli chodzi o uczelnię, czysty zysk w postaci integracji. Nigdy na to nie liczyliśmy. Paweł Kołodziński: Nareszcie wyciągnęliśmy studenta z dyskotek i ustawiliśmy na właściwym miejscu, wziął udział w czymś ważnym, zareagował.

Brzmi to ładnie i mocno. Tyle tylko, że dyskoteka klubu „Atut”, w której rozmawiam z Jurkiem, wcale nie jest pusta, a w niejednej rozmowie przekonałem się, że studenci nie bardzo rozróżniają strony, nie znają argumentów. Ale Jurek też twierdzi: Ja swoją postawą pomogłem w czymś ważnym. Przecież w Łodzi, jeszcze trochę, a nic by nie podpisano. Nawet rejestracja NZS-u mogła się znaleźć w protokole rozbieżności (fakt, był taki moment — przyp. autora). Najważniejsze załatwialiśmy przecież nie dla siebie, nas to już nie obejmie. Podniesie się jakość uczelni, nie będzie fabryką dyplomów, autonomia pozwoli lepiej dostosować studia do potrzeb regionu. Polska jest przecież różna. Mniej przedmiotów pobocznych, PNP i podobnych, a więcej czasu na przedmioty zawodowe. Rozwój małej poligrafii — to więcej skryptów. Uczelnia powinna otrzymać więcej pieniędzy — bo u nas wypada po pięć książek na cały rok, trudno się dopchać. Jest taki dowcip o studentach, którym kazano przeczytać książkę: W Akademii Medycznej — naucz się na pamięć, w Szkole Morskiej — pójść z książką spać, na WSP — przepisać ją... I to jest prawda...

Od bibliotekarki na jednym z wydziałów WSP usłyszę: To prawda, że z książkami są kłopoty. Kiepski księgozbiór po SN-ie, nie zawsze trafione zakupy niekompetentnych osób, różne układy i układziki. Ale jedne książki są czytane, bo „pan zadał”, a do reszty — na te same tematy — rzadko kto zagląda. Młody asystent: Jak podając tytuł nie podam stron — wielkie oburzenie. To druga strona medalu.

Ewa — I rok matematyki: Za najważniejsze uważam wydużenie studiów do pięciu lat. Będzie mniej zajęć, można będzie poszerzyć wiedzę. I swoboda wyboru lektoratów — to ogromnie dużo. A jeszcze jak powstanie Uniwersytet...

Ostatni, sobotni wiec to nie tylko przekazanie wiadomości delegacji wysłanej do Poznania (renegeacji porozumienia łódzkiego wyznaczono na 9 marca — do tego dnia strajki zostają zawieszone), to także coś znacznie ważniejszego: przejęcie przez studentów idei Uniwersytetu w Szczecinie, Komitet Strajkowy formułuje wezwanie:

DO STUDENTÓW WSP!

Od wielu lat czynione są starania o utworzenie w Szczecinie Uniwersytetu. Starania te nie były brane pod uwagę z następujących przyczyn:

1. Braku zrozumienia u władz wojewódzkich i centralnych.
2. Słabej aktywności środowiska naukowo-kulturalnego w Szczecinie.
3. Tendencji centralistycznych do powołania lokalnych uczelni zawodowych.
4. Braku bazy, kadry, tradycji — obecnie wymagania te już są spełnione.

Uważamy, że zamiast kilku wyższych szkół winna powstać jedna wielowydziałowa uczelnia akademicka integrująca całość środowiska naukowego i studenckiego Szczecina.

Powołanie Uniwersytetu przyczyni się do:

1. Wzmocnienia małych jednostek naukowych w silne zespoły o dużym potencjale badawczym i dydaktycznym.
2. Zmniejszenia nadmiaru rozbudowanej administracji każdej uczelni.
3. Ułatwienia organizacji i działalności ruchu studenckiego.

Uniwersytet będzie spełniał oczekiwania społeczeństwa regionu zachodnio-pomorskiego i podniesie rangę Szczecina jako ośrodka naukowego.

Komitet Strajkowy
studentów WSP w Szczecinie

Przeredagowany apel — z tymi samymi argumentami — skierowano do kadry naukowej i do mieszkańców Szczecina. Oddźwiękiem są aprobujące decyzje uczelnianej organizacji partyjnej i KZ „Solidarności”, która zresztą starą ideę przypomniła już wcześniej — tylko studenci są żarliwsi. Szczecińska prasa próbuje — z pozycji realistycznych — „wybić” studentom pomysł z głowy (współpraca zespołów naukowych i tak jest możliwa, a argument o ułatwieniu organizacji ruchu studenckiego zostaje — i chyba słusznie — ośmieszony).

Wbrew pozorom i ulotce argumenty studentów nie są tak wątpliwe i naiwne. Najlepszą ich wykładnię usłyszałem od Marka Adamkiewicza — II rok matematyki i Leszka Chwałta — III rok fizyki: Nie chodzi o zmianę szyldu. Raczej o uniwersytet starego typu, z medycyną, rolnictwem, architekturą, ekonomią, specyficzny zachodnio-pomorski — więc i z tym, co dziś ma Szkoła Morska. Przecież każda ze szczecińskich uczelni ma zespół, z którymi nie wie, co zrobić, przerastając jej formułę, jak np. zooarcheologia na Akademii Rolniczej. Taki — „stary-nowy” uniwersytet o to nam chodzi. Parafrazując Wyspiańskiego: „Uniwersytet mój widzę ogromny...”

Doc. dr Henryk Lesiński — rektor WSP: Pamiętam — 20 lat temu pierwszy raz usłyszałem o tej idei. I tak powraca co kilka lat. Tylko jest parę warunków: kadra i mieszkania dla niej, no i baza materialna. Tego, że potrzeba biblioteki z prawdziwego zdarzenia — nikt nie rozumie... Przecież WSP jest uczelnią typu uniwersyteckiego, podobny układ kierunków, jeszcze neofilologie trzeba rozbudować... A jeśli chodzi o łączenie — to często nie chcą się wcale łączyć... Największy kłopot z kadrą: przyjeżdżnym trzeba by dać mieszkania, własnej przybywa dwa razy wolniej niż zakładaliśmy przed laty...

Młoda dziewczyna, do niedawna asystentka: A jak miałam robić doktorat: przez trzy lata żadnej wolnej soboty i niedzieli, a wykładałam rzeczy tak dziwne, że sama musiałam się uczyć, bo przecież specjalizowałam się w pozytywizmie, a nie np. w literaturze dziecięcej i młodzieżowej. Brakowało do pensum, no to musiałam brać... I ten wieczny brak własnego kąta...

Potrzebę stworzenia dla uniwersytetu warunków materialnych rozumie część moich studenckich rozmówców. Ale też wielu uważa, że władza, jak się ją przycisnie, to wreszcie znajdzie i mieszkania dla kadry, i resztę...

W początkach marca jeszcze nie jest całkiem spokojnie. Na korytarzach gdzieś tam resztki plakatów z czasów strajku, dużo nowych. Firmowana przez SZSP tablica „Marzec 1968 zawiera: przemówienie Władysława Gomułki, artykuł „Trybuny Ludu” z tego okresu, przedruk, z dokumentacji prasowej, opowieści studentów Krakowa i Warszawy, (suche, wiele różnych faktów, mało opinii), odezwy uczelnianych organizacji ZMS (to wszystko niezbyt pełne, nie dające czystego obrazu sytuacji). W innym miejscu, w jakiejś gablocie: przedruk z nie nazwanego tygodnika dla kadry partyjnej, informacje o ideologii, poczynaniach i dokonaniach Konfederacji Polski Niepodległej, biografie aresztowanych przywódców. Artykuł z konkluzją jednoznaczną: trudno mówić o uwięzionych tylko za przekonania. O kilka metrów dalej wiszą znane plakaty wzywające do uwolnienia. Dalej wezwanie na trzecie z rządu, partyjne zebranie sprawozdawczo-wyborcze (dwa pierwsze nie rozstrzygnięte). Trochę plakatów o rajdach, Bratniaku, itp. Zaproszenie NZS na kolejne spotkanie (było ich dotąd bodaj dwanaście — oto niektóre: z Izabellą Cywińską; Andrzejem Celińskim — sekretarzem KKP „Solidarności”, organizatorem

Towarzystwa Kursów Naukowych; Wiktorem Woroszyńskim; Stanisławem Barańczakiem — mówił o cenzurze). Spotkania mają wysoką markę wśród studentów, ale przychodzi ich ostatnio jakby mniej. Andrzej Kotuła komentuje: *Najpierw chodzili na nazwisko, teraz traktują to wybiórczo. I tego chcieliśmy. Takie nasze hasło „NZS chroni ciebie i Twój mózg”. Chcemy, żeby to była organizacja ideowo-wychowawcza, przedstawiała pewne punkty widzenia — to dotąd było niemożliwe, chcemy zapewnić udział w szeroko rozumianej kulturze, ułatwić wyzwolenie się świadomości z dotychczasowego zakłamania.*

Właśnie zaczyna działalność, firmowane przez tę organizację, kółko filozoficzne im. Romana Ingardena. NZS wprowadza do księgozbiorów uczelni książki wydawane przez tzw. niezależne oficyny. Jaka będzie ta organizacja? Trudno powiedzieć, statut zawiera na dobrą sprawę tylko jedno zdanie o ideowych założeniach: „Celem zrzeszenia jest (...) działanie na rzecz podmiotowości osoby ludzkiej, tolerancji i wysokiego poziomu moralnego”. Jurek: *Krzykaczy już wyciszyli, to dobrze. Ale nie zapiszę się. Uważam, że moralność to moja własna sprawa.*

Czy to tylko ostrożność — czy świadomość, że za pięknym hasłem może się kryć wiele różnych rzeczy?

Na razie obie organizacje konsolidują szeregi. SZSP prowadzi weryfikację członków, NZS — zapisy. Ostatecznych wyników nie zdążyłem poznać, ale nie zanosi się ani na masowe oddawanie legitymacji, ani na powszechny akces do nowej organizacji. SZSP chce balast spraw bytowych i kulturalnych przekazać samorządowi studenckiemu, NZS uważa, że masowość nie jest wskazana. Współpracują nadal (gdy umawiam się z jednym — przypominają mi o drugim).

Rektor ocenia sytuację raczej pozytywnie: *Wiedzą, gdzie są granice, nie są zbyt radykalni. Rozumieją, że studia o rok dłuższe to o 1/5 więcej miejsc w domach studenckich, o tyleż większy budżet, więcej etatów. Ale to obejmuje dopiero dzisiejszy drugi rok. Reprezentacja we władzach — mają rację. Z językami też. Nowe warunki powinny umożliwić sprowadzenie programów niektórych dyscyplin do właściwych wymiarów. Na polonistyce — sami zażądali historii — ale raczej pod kątem dziejów kultury. Zażądali, jak dotąd, zwolnienia jednego wykładowcy — Rada Wydziału poparła. (Z tzw. kół zbliżonych do dobrze zazwyczaj poinformowanych, wiem, że po prostu załatwili to, czego nie chcieli tykać naukowcy — przyp. aut.). Spotkamy się często — i dogadujemy. A w ogóle cały ten okres przyniósł zanik wielu barier, zerwanie wielu hamulców: Universitas Academica. Chyba tedy, tak naprawdę prowadzi w tej chwili jedyna droga do Uniwersytetu Zachodniopomorskiego. Bo marzenie jest piękne, a z marzeń nie należy nikogo leczyć. Tylko realia też muszą się liczyć, takie jest życie.*

Boję się tylko — kontynuuje rektor — żeby nie poszli dalej, za daleko, bo to prowadzi do pajdokracji. Państwo daje dużo — tyle na ile nas akurat stać, dalej mogą już być ciepłarniane warunki.

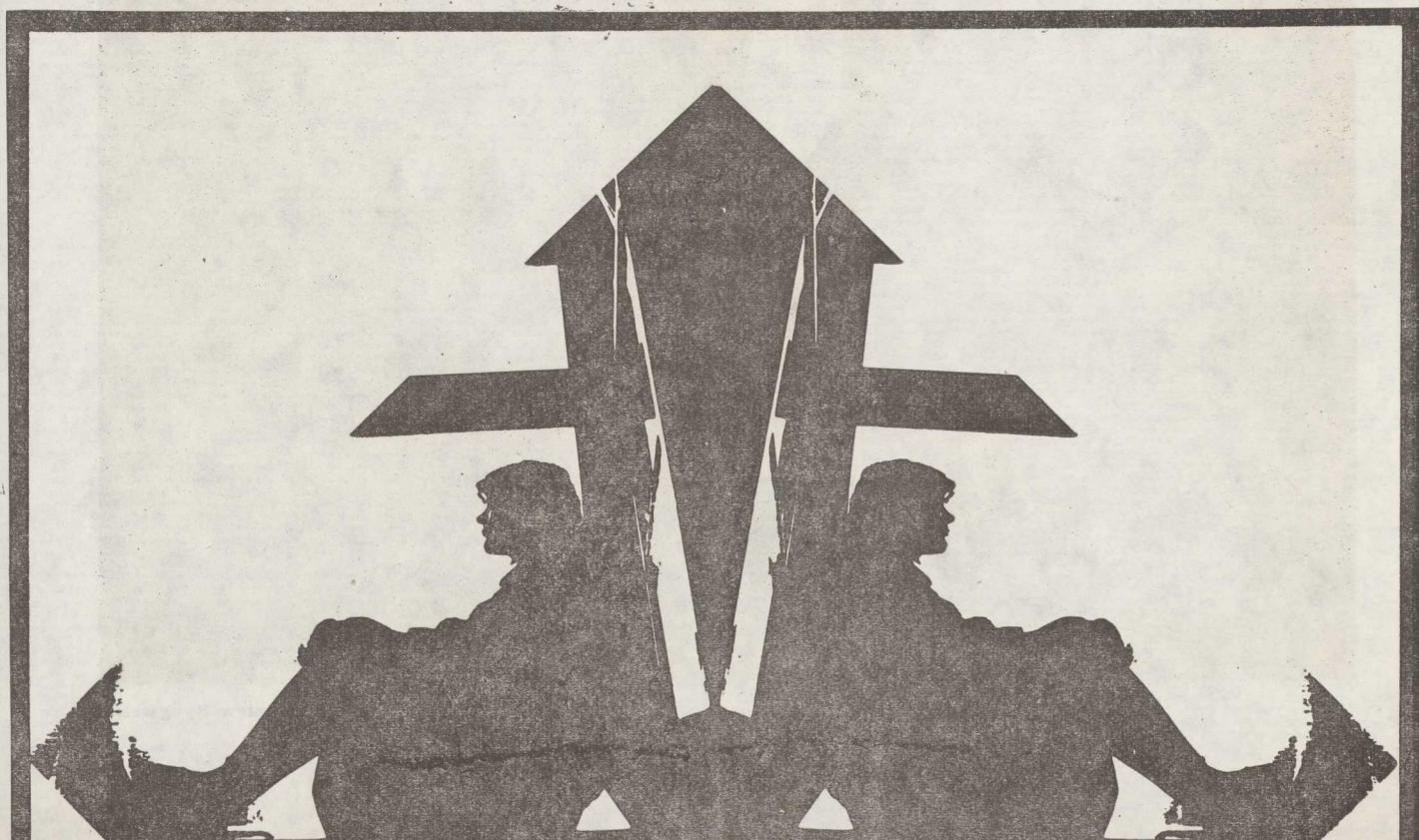
Żądania ekonomiczne nie są najważniejsze. Jeżeli chce się porządnie studiować — to trzeba włożyć wiele pracy — mówi Paweł Kołodziński. I jest tyle tragicznych ludzkich sytuacji, dorzuca znający sprawy szef SZSP, Piotr Rutkowski, których system stypendialny nie przewiduje... Na pewno, nie ma systemów idealnych. Gdy czekamy z Jurkiem na kurtki w szatni klubu „Atut” mówi: Normalnie znalezienie mojej, jedynej między futerkami dziewcząt nie sprawia trudności... To widać na co dzień bardziej i powszechniej.

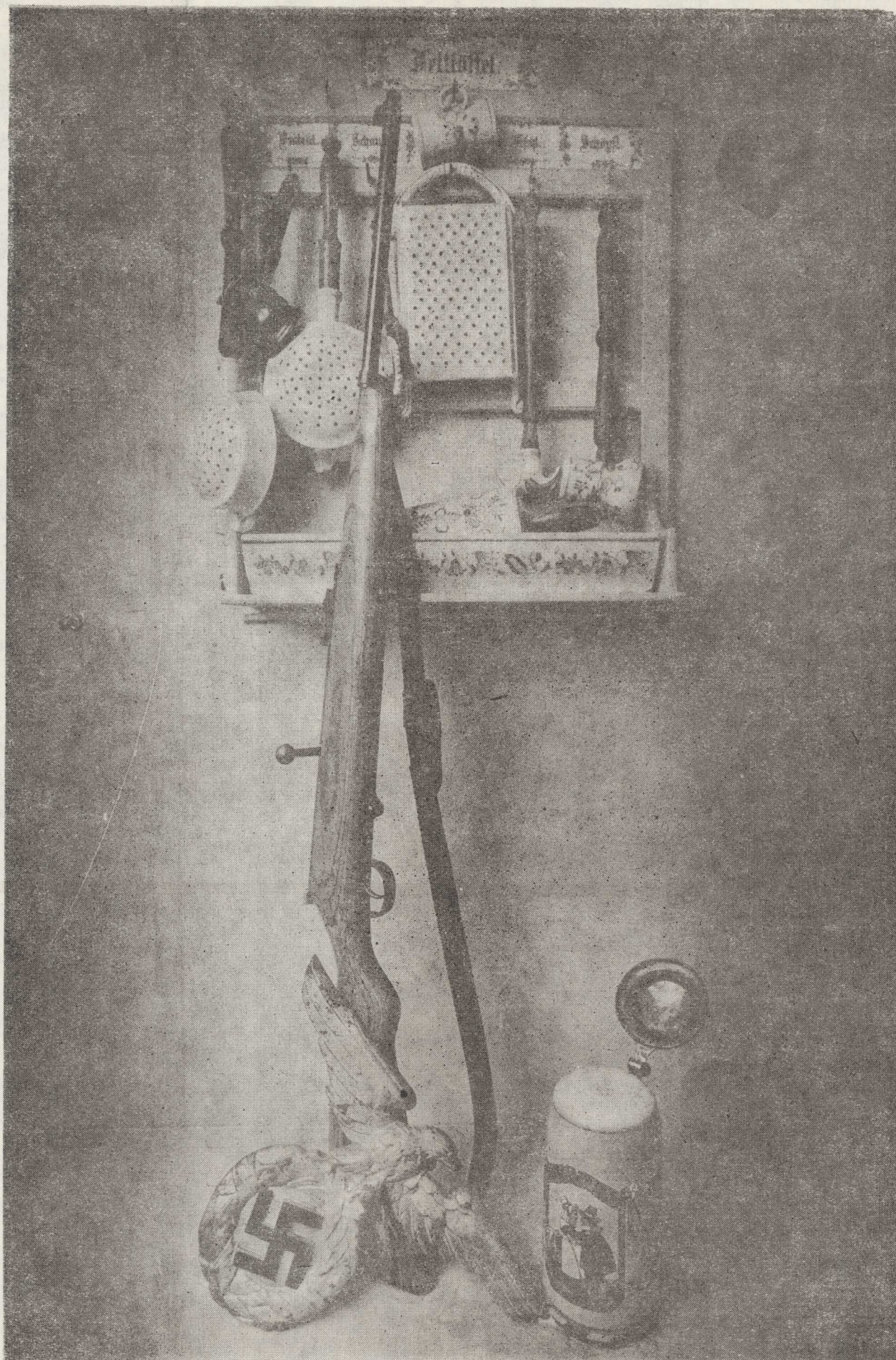
Żądając zniesienia praktyk robotniczych argumentowali jak Sławomir Wrona (SZSP): Bo stały się rozpjalnią młodzieży i tylko demoralizowały, ale jesteśmy np. za dobrowolną pracą przy budowie obiektów dla uczelni... I mieli, mają, dużo racji.

Gdy są przeciw punktom preferującym w przyjmowaniu na studia synów chłopów i robotników — podobnie. *Kto ma większe szanse: syn nauczyciela, czy syn majstra zarabiającego dwukrotnie więcej? To już prędzej byłibyśmy za preferowaniem młodzieży z małych ośrodków — to Sławomir Wrona. Paweł Kołodziński dodaje: To wszystko są tylko półśrodki zamiast całościowych rozwiązań, jak długo można latać? Ostro, może nawet za ostro powracają w nurt dyskusji, choćby o punktach, stypendiach, lektoratach, które toczyły się przed kilku laty także w prasie — tylko nie przyniosły rezultatów. Całe „porozumienie łódzkie” jest takim powrotem, zwłaszcza w kwestiach czysto studenckich, tyle, że często studenckie postulaty są blisko „wylania dziecka z kąpielą”. Niektórzy mają wątpliwości, nawet jakby przesadne. Pod plakatem z napisem: Studenci WSP Kraków mają już urlopy dziekańskie, bez motywacji spotykam Waldkę z drugiego roku wychowania technicznego: Tak sobie pójść i wziąć urlop? Chyba za łatwo... Od innych usłyszę: Przecież jesteśmy dorośli, mamy prawo o sobie decydować!*

Na drzwiach gmachu informacja o postulatach przekazanych w ramach renegotiacji (m. in. uniezależnienie stypendiów dla małżeństw studenckich od zarobków rodziców oraz żądanie zmiany formuł przysięgi wojskowej i ślubowania studenckiego tak, aby nie kolidowały z przekonaniem...). 9 marca zaczęły się w Warszawie rozmowy przedstawicieli SZSP i NZS z komisją rządową pod przewodnictwem wicepremiera Rakowskiego. Przebieg, wg docierających wiadomości, bardzo dobry. *Minister Górski siedzi tylko jako jeden z wielu. Wkrótce kolejny wiec informacyjny: Nie ma mowy o strajku — zapewniają. I wierzą w to. Ale co będzie, jeśli tym czy następnym razem ujawni się prawdziwy demagog?*

Sławomir Preiss DUET





Fot. Zbigniew Ryngwelski

Poeta tworzy arcydzieła milczenia,
skręca papierosy z okruszków snu,
a wiersze nosi głęboko ukryte pod skórą
i nikt naprawdę nie dowie się,
jakim oddycha powietrzem,
i jaką wybrał gwiazdę
na wspólnym przecież niebie...

Wczoraj w naszym mieście
zaczęto usuwać miejsca,
ale poeta nie umiera
nawet wtedy, kiedy tego bardzo pragnie,
bo jeszcze nie potrafi odpowiedzieć na pytanie:
— Gdzie ucieknę ze mnie?

W mowie i w piśmie

Poeta w rozbitym aucie wyobraźni.
Na asfalcie stłuczone pióro,
atrament wysycha,
Kiedy lekarz sprawdza puls
i skrzętnie zapisuje ostatnie słowo.
— Za chwilę wydam panu akt zgonu
jeszcze tylko parę formalności.
Wielbiciele talentu medycznego
ze zrozumieniem kiwają
palcem na poetę,
udzielają mu rad.
Jedni proponują transfuzję,
drudzy otwierają serce.
Inspektor policji przyjechał po
wywczasie opalony z uśmiechem
sytego niemowlęcia.
Jest inteligentniejszy od siebie,
ogląda odciski na palcach poety
i ślady atramentu.
Teraz zadaje pytania.
Poeta konsekwentnie udaje
jakby nigdy nic nie napisał,
ale zdradza go znajomość literatury.
W międzyczasie
ktoś usłużny dostarcza życiorys
i rękopisy poety.
Inspektor tryumfuje.
— W nieudolny sposób chciał pan wyłudzić
wydanie pośmiertne!

Ze słów

Uparcie piszesz swoją historię,
jakbyś nie wiedział, że masz jedno ciało
i nie możesz cofnąć się.
ani o słowo,
ani o literę,
Może to trud daremny.
Może nigdy nie powiesz wszystkiego,
bo nie potrafisz wyjść poza
światło lampy, samotność,
widok z okna...
Pozostaniesz zawsze ślepym Homerem,
który wyobraża sobie jedynie zapach tamaryszku.
Kiedy w końcu będziesz gotowy
od deski do deski
— czas zatrzyma się,
a ty, jak puste naczynie klepsydry
z ciałem rozłożonym na słowa,
ze słów w proch się obrócisz.
Przecież już dzisiaj słuch po tobie zagina gwoździe
do trumny.

Uroczyste otwarcie puszki Pandory

Minister przyjechał punktualnie
czarnym autem.
W labiryncie wykopu
profesor uprzejmie wskazywał
drogę rozwoju ludzkości.
Przewodniczący w krótkich
słowach wręczył klucz
do otwierania konserw.
Pompy sprawnie
transmitowały przebieg
dla wszystkich programów.
Sukces archeologii był wielki
— znalezienie pierwszej przyczyny.
Dokładnie w samo południe
nastąpiło otwarcie.
Minister i zaproszeni goście
zgodnie z etykietą
zaglądali do puszki.
Kiedy nadeszła moja kolej,
zobaczyłem w błyszczącym wnętrzu
odbitą własną twarz

JACEK POLACZEK wielość i różnorodność

Po zdaniu matury w częstochowskim technikum, rozpoczął studia na politechnice. Nic zatem nie wskazywało na to, że Jacek Polaczek zostanie aktorem. A jednak perspektywa stania przy desce kreslarskiej zrodziła w młodym chłopaku wątpliwość i niepokój wewnętrzny — czy to, na co się zdecydował przyniesie mu w przyszłości zadowolenie? Coraz częściej powracał w myślach do szkoły, do lekcji języka polskiego prowadzonych niekonwencjonalnie, niestereotypowo, rozbudzających wyobraźnię, wrażliwość, uczących samodzielnego myślenia. Podobne umiejętności rozwijał uczestnicząc w zajęciach szkolnych kół zainteresowań i biorąc udział w konkursach recytatorskich. Mając już za sobą tę specyficzną aktywność nagle poczuł niedosyt wypowiedziania się, brakowało możliwości okazywania swego stosunku do rzeczywistości. To, co wyniósł ze szkoły, z jej atmosfery utkwilo w podświadomości. Teraz zaczęło się uzewnętrzniać, domagać skonkretyzowania, dowartościowania. Stało się potrzeba. Zrezygnował więc ze zgłębiania nauk politechnicznych na rzecz Wyższej Szkoły Teatralnej w Krakowie. Ze względów rodzinnych — po dwóch semestrach — przeniósł się do Łodzi, gdzie skończył studia na wydziale aktorskim tamtejszej PWSTiF. Przygotowując dyplomowe przedstawienie, którym było „Na Dnie” Gorkiego, zetknął się z Lidią Zamkow — reżyserem tego spektaklu. Zapamiętał ją jako osobowość kontrowersyjną, odważną, myślącą, umięającą niebanalnie i logicznie, precyzyjnie przeprowadzić ideę wybranego tworzywa literackiego odsłaniając przy tym czysto praktyczną stronę pracy nad sztuką teatralną, co okazało się niezwykle cenne dla młodych adeptów spod znaku Melpomeny, posiadających prawie li tylko wiedzę teoretyczną. Tak więc oddziaływanie osobowości reżysera, odnalezienie się w programie artystycznym teatru i dążenie do możliwie najpełniejszego pokazania stworzonego sobie wewnętrznie najpierw obrazu kreowanej postaci będzie miało dla Jacka Polaczka zawsze wielkie znaczenie — od chwili ukończenia studiów do dziś. Należy do tych aktorów, którzy drogą wzajemnych porozumień z realizatorami spektaklu, w stanie gotowości intelektualnej, artystycznej i warsztatowej chce mieć całkowite moralne przekonanie do tego, co robi i w jakim celu.

Już z dyplomem w kieszeni zaangażował się do tarnowskiego teatru dyrektora Barnasia. Profil artystyczny kształtowały głównie adaptacje znanych powieści pozytywistycznych, preparowanych do warunków scenicznych w sposób nieudolny, z pogranicza kiczu. W tym nieco udziwnionym zestawie repertuarowym znalazła się też sztuka DON JUAN, w której Polaczek zagrał tytułową postać, a gościnnie reżyserowała L. Zamkow. Był

to moment przebudzenia się zespołu, bo po jej wyjeździe wszystko powróciło do „normy”. Po roku pracy w Tarnowie początkujący aktor zorientował się, że stosowany tam system pracy nie sprzyja doskonaleniu warsztatu i techniki aktorskiej.

Nowych, innego typu przeżyć ideowo-artystycznych doświadczał w Koszalinie, w teatrze Andrzeja Ziębińskiego. Znaczącym spektaklem dla niego był wyreżyserowany przez Romana Kordzińskiego SEN SREBRNY SALOMEI. W prawdziwie twórczej atmosferze poznawał zasadę współgrania wszystkich elementów teatralnych składających się na dzieło sceniczne. We wspomnianym spektaklu swoją osobowością oddziaływała na realizatorów-wykonawców Zofia Wierchowicz, scenograf, zmierzająca do klarownej formy, jednoci stylistycznej wspólnego widowiska. Była to inspirująca lekcja teatru.

Wraz z dyrektorem A. Ziębińskim i reżyserem R. Kordzińskim Polaczek wyjechał w 1970 r. do Poznania i dostał engagement w Teatrze Polskim. W ciągu kolejnych pięciu lat pracy wzbogaca swój warsztat aktorski. Nowe tajniki zawodu poznaje dzięki udziałowi w sztuce OCALENI Bonda (1975), zwłaszcza wiele daje mu współpraca z jej inscenizatorem Andrzejem Witkowskim. Ma też okazję skonfrontować własne wyobrażenie o odtwarzanej postaci z narzuconą wcześniej koncepcją jej zagrania. Doszło do tego w momencie przejścia roli Kordiana po odejściu pierwszego jej interpretatora Aleksandra Iwańca. W zmaganiach wewnętrznych jako aktor stanął przed problemem odwagi artystycznej, zdolności i umiejętności proponowania osobistego punktu widzenia bohatera, w którego miał się wcielić. Poniósł moralną klęskę. I chyba wówczas w rozrachunku ze swoim „ja” doszedł do przekonania, że musi uzyskać zgodę siebie samego na to, co robi. Przemożna chęć psychicznej introspekcji ma dodatkowe atuty młodości — buntującej się, wrażliwej i poszukującej. One zrodziły prawdopodobnie stabilną cechę osobowości. Można ją sformułować następująco: ryzykować, wierząc w słuszność wybranej drogi artystycznej, ponosząc wynikające z tego wszelkie konsekwencje.

Od 1976 roku Jacek Polaczek jest aktorem szczecińskim. Widzowie znają go ze spektakli Teatru Współczesnego. Pracuje w nim od chwili podziału teatrów dramatycznych na dwie samodzielnie działające sceny. Sądzę, że to także pewna cezura w biografii artystycznej odtwórcy postaci Kena Harrisona w sztuce CZYJE TO ŻYCIE. Nim do tej roli doszedł pracował dużo pod kierunkiem ówczesnego dyrektora, kierownika artystycznego i reżysera Macieja Englerta, który nadawał ton nowo powstałej placówce, preferując repertuar wspól-



JACEK POLACZEK w „Mieszczanin szlachcicem” Moliera. Teatr Współczesny w Szczecinie, 1979
reż. Krzysztof Zaleski, scen. Maria Byskiniewicz.

Fot. Z. Ryngwelski



JACEK POLACZEK w „Fachowcach” — Stefana Friedmana i Jonasza Kofty. Teatr Współczesny w Szczecinie, 1980 reż. Jerzy Gruza, scen. Alicja Wirth.

Fot. Z. Ryngwelski

czesny. Określony wcześniej stosunek Polaczka do wykonywanego zawodu w tym okresie był zapewne najbliższy oczekiwanych spełnień. Englert — reżyser umiał znaleźć wspólny język z aktorem, przekazywał jasno, bez niedomówień myśl. Ponadto, gdyby przyjrzeć się postaciom grany przez Polaczka nasuwa się stwierdzenie, że był obsadzany zgodnie ze swoimi warunkami psychofizycznymi zdradzającymi inklinacje do spokoju, powagi, ironii, powściągliwości w sposobie bycia na scenie. Do tego niski, dobrze ustawiony głos, fizjonomia młodego romantyka o ujmującej powierzchowności. Te naturalne właściwości nie determinują go jednak do jednego typu ról. W ramach ogólnej koncepcji reżyserskiej poszukuje najróżniejszych wariantów. Niekiedy uzyskuje efekt wręcz zaskakujący, nawet dla siebie samego. Tak było np. z rolą Onucego w „Krawcu” Mrożka w reżyserii Janusza Nyczaka. W niej przede wszystkim pokazał elastyczność swego warsztatu, a zwłaszcza nie ujawniane dotąd, w tak szerokiej skali, własne możliwości przeobrażania się. Dla Polaczka było to nowe doświadczenie i osobisty postęp w zawodzie.

Z okresu pracy w teatrze Englerta pochodzi szereg różnych ról odtwórcy Onucego. Na przykład w **MACBETCIE** pełnił kilka funkcji, łącznie z czysto technicznymi, wspomagającymi kolegów, znajdujących się w danym momencie na scenie. Poza tym udział w spektaklu **LATO I DYM, DOŻYWOCIE, KURKA WODNA, WYZWOLENIE** i in. Odznaczały się one zwykle logiczną koncepcją interpretacyjną, dopuszczającą umiarkowany dystans wobec kreowanej postaci. O poziomie zespołu M. Englerta pisał H. Bieniewski po obejrzeniu **WYZWOLENIA** („Teatr” 15/78): „Było to przedstawienie wykonane przez najbardziej wyrównany zespół festiwalu (toruńskiego — dop. A.S.) Aktorzy zostali przygotowani wszechstronnie: rozumieli tekst, mieli w zasadzie dobrą dykcję, widzieli jak się nosi kostium, tworzyli dobrze ze sobą zgrany ensemble”. Właśnie zgrany zespół i pozytywna atmosfera w nim panująca wywiera na Polaczka dość ważny wpływ w pracy nad budowaniem roli.

Z racji natury estetycznej nie odpowiada mu ani intuicyjne, ani racjonalistyczno-matematyczne traktowanie roli. Podporządkowywanie się określonej postaci czy zasadzie inscenizacyjnej jest zawsze rezultatem długich własnych przemyśleń, stworzenia sobie wewnętrznie obrazu kreowanego bohatera po odrzuceniu zbędnych informacji i wskazówek nagromadzonych w procesie dochodzenia do roli. Jako aktor dementuje tradycyjne, obiegowe opinie na temat zawodu aktora, tego, co powszechnie rozumie się pod pojęciem przeżywania roli, utożsamiania się z nią. Jednak zawsze towarzyszy mu pewne napięcie wewnętrzne, skupienie. Nie uznaje też przesady w wyrazie zewnętrznym i nadużywaniu techniki dla samej techniki. Niemniej dobry, sprawny warsztat i rzemiosło aktorskie stawia na pierwszym miejscu. Zdaje sobie sprawę z tego, że nie zawsze może zrealizować i przedstawić to, co się przemyślało i nosi wewnątrz.

Warto wspomnieć udział Jacka Polaczka także w takich sztukach, jak **FARSA MROCNÝCH, KOPCIUCH, LOT NAD KOKULCZYM GNIAZDEM, FACHOWCY, WARSZAWIANKA** i w najnowszej **OSTATNI KONGRES WYBIELACZY**, głównie ze względu na różnorodność konstrukcji psychicznych przedstawionych typów oraz ważność w rozwoju osobowości tego aktora, który do tej pory uniknął zaszklawienia. Najlepiej gra mu się mło-

dych ludzi, wrażliwych, inteligentnych, odważnie broniących swoich racji i godności osobistej.

Andrzej Chrzanowski, który objął dyrekcję Teatru Współczesnego po Macieju Englercie, powierzył Polaczkowi główną rolę w sztuce „Czyje to życie?” Briana Clarka. Zadanie trudne od strony aktorskiej, bo wymagające posługiwania się tylko słowem i mimiką. Poza tym twarz bohatera powiększano na monitorach. Polaczkowy Ken Harrison jest powściągliwy w okazywaniu emocji, zdolny do autoironicznego komentarza, precyzyjnie uzasadnia prawo człowieka do decydowania o sobie i wybierania samemu między życiem a śmiercią. Aktorowi udaje się te racje, tezy, argumenty i kontrargumenty przekonywująco wygrać, mimo ograniczonych środków wyrazu. Jest maksymalnie skupiony na idei, na przekazie myśli. Na oczach widzów dojrzewa do podjęcia ostatecznej decyzji. Niewątpliwie jest to w dorobku aktora najgłębszy psychologiczny portret bohatera z pełnym dystansem artystycznego komentarza — komentarza aktualnego, współczesnego.

Wydaje się, że aktorstwo Polaczka wyróżnia się dyspozycyjnością i sprawnością. Potwierdza to słusność wybranej, acz nie od razu, drogi zawodowej. Jeśli pamiętać o jego stosunku do aktorstwa i teatru łatwo można zauważyć, że daleki jest od patetyczności, przeżywania tego, co robi. Ryzyko go nie odstępować, bo istnieje w niebezpieczeństwie „rozmienienia się na drobne”. A tymczasem umie po prostu przydać się do tekstu, dopasować się do słowa. Ta stylizacja aktorstwa odpowiada współczesnej mentalności artystycznej: dążenie do mistrzowskiego opanowania techniki, by na jej gruncie uzyskać prawo do mówienia nie tylko o konkretnych, poszczególnych postaciach, lecz o problemach człowieka w ogóle.

ANNA STANKIEWICZ



Jacek Polaczek w spektaklu „Wyzwolenie” w Teatrze Współczesnym w Szczecinie (reż. M. Englert).

POWRÓT

Niech będzie cisza i spokój
nie trzeba orkiestry na kei
i dziewczyn w białych sukienkach
usypujących trakt kwiatami.
Wracam do siebie
już nie ten
po transfuzji obcej krwi
połatany wielokrotnymi przeszczepami
odrzućanego serca
po ostatniej reanimacji
sumienia.
Wracam tonącym statkiem
przez morza uspokojenia
przez ocean rezygnacji.
Wracam
oślepy
głuchy
pogodzony
Jestem?

* * *

Pulsuje
bulgocze
narasta falą przypływu
już
wyżej ust
za chwilę zabierze oddech
przesłoni wzrok
wypełni ostatnią myśl.
Już
jest wyżej.
Tonę
opadam
oblepia mnie
wchłania.
Wypełniam ją sobą
rozprzestrzeniam się
pulsuję
narastam
narastam falą
za chwilę zabiorę komuś oddech
utopię
w tej wszechogarniającej
przyjaźni.

NIECO PÓŹNIEJ

Nie strzelają do mnie
Nie duszą mnie opary bojowego gazu
Nie pęcznieje we mnie byle jaka nadzieja
Nie zrzucam wierzchniego odzienia
Leżę na plaży ja ryba pośród wielu innych
znaków

Nieomylny, prawdziwy, jedyny
z zatrutym pojemnikiem pod piątą ością
Taka we mnie pokora,
ze śladami pamięci
o białych burtach sprawiedliwości
Taki we mnie sen oczekiwania
taka determinacja w szukaniu.
Czy nie lepiej wdeptać mnie w piasek?
Po co komu taka ość w gardle
i ten charkot niewierzącego?

Linia frontu, do niedawna jeszcze zygzakowata i pogmatwana, na przedwiośniu 81 zaczyna być prosta i jasna. Biegnie przez POP, czyli przez PEOPE: podstawowe organizacje partyjne. Notując wrażenia z zebrań, na których zdarza mi się bywać nie tylko z zawodowego obowiązku dziennikarza, wsłuchując się w głos ludzi reprezentujących „masy członkowskie POP”, czuję się jak frontowy sprawozdawca, a zarazem weteran tej armii. Chwałę poprzednich kampanii wygarbowaną mam na skórze. W mojej legitymacji partyjnej, nr 2031232, odnotowano na stronie trzeciej funkcje partyjne, które sprawowałem z wyboru. Zapis jest krótki: I sekretarz POP od listopada 1956 do listopada 1960 i I sekretarz POP od listopada 1970 do listopada 1974. W sumie osiem ciekawych lat w trzydziestoletnim już prawie partyjnym życiorysie, nie licząc chmurnej i górnej epoki ZMP. Ale z tych lat tak naprawdę, do zapamiętania na całe życie, liczy się kilka wspaniałych tygodni i kilka pasjonujących miesięcy. Liczy się to, co tragiczny przedstawiciel nie rozpieszczanego przez historię pokolenia zawarł w jednym zdaniu: „My, łysiejący już i niepiękni, i nie dwudziestoleni, mieliśmy tych parę kroków w słońcu; jedni z nas zrobili to gorzej, drudzy lepiej.” (Marek Hłasko — „Piękni dwudziestoleni”).

Na przedwiośniu 81 podstawowe organizacje PZPR, owe statystyczno-sprawozdawcze POP, przez znakomitą większość minionej dekady wdrażano do wygłaszania ugodzonych deklamacji i głosowania przez aklamację, dyskutują. Po szoku Sierpnia, po ideowo-organizacyjnym paraliżu jesieni, „masy członkowskie” egzekwują zaskakującą, dla wielu tzw. obserwatorów, energią jedno ze swoich praw podstawowych: prawo do swobodnej, nieskrępowanej wypowiedzi, do publicznej wymiany poglądów na tematy dla partii i dla kraju dzisiaj najważniejsze. Jeśli ktoś wątpił w siłę tych „mas” (a przecież wiemy, że byli i ciągle są tacy), w ich szczerość i odwagę — to pobiera w tych dniach kolejną lekcję z podstaw nauk politycznych. Jest to także lekcja z historii ruchu robotniczego, z dziejów partii komunistycznych, nie tylko PZPR. Są w tych dziejach dramaty partii i dramaty jednostek, które można było przewidzieć, i których można było uniknąć. Na polskich zebraniach partyjnych, cofam się myślą o całe pół wieku, do roku 1931, do Francji. Przywódca komunistów francuskich, Maurice Thorez, opublikował wówczas dwa słynne artykuły:

„Precz z manekinami w partii” oraz „Zacznijcie mówić”. Pisał — między innymi:

„Krytyka niemile razi uszy ludzi odpowiedzialnych; reagują na nią w ten sposób, że robotnicy tracą ochotę do dyskusji. Formalnie głosi się dobroczynne skutki samokrytyki, jednakże z chwilą, gdy jakiś towarzysz podejmie krytykę, czyni mu się tysiące zarzutów, ma mu się to, co najmniej za złe, jeżeli nie oskarża się go wręcz o chęć rozbicia partii... Dlatego też towarzysze nie mają nigdy odwagi zabrać głosu na zebraniach partyjnych. Mówią poza zebraniem partyjnymi pomiędzy sobą...”

Stara choroba, która w naszej partii wystąpiła już kilkakrotnie z najbardziej fatalnymi w skutkach przesileniami wkrótce po Październiku i niedługo po Grudniu. Na szczęście, świadomość konsekwencji jej ewentualnego, kolejnego nawrotu wydaje się być dzisiaj powszechna na każdym szczeblu partyjnej działalności, od podstawowych organizacji po Komitet Centralny. W zdecydowanej woli zapobieżenia tej chorobie, którą za każdym razem wywołuje przerost centralizmu na niekorzyść wewnątrzpartyjnej demokracji, dopatrywać się chyba należy źródeł narodzin tej formy aktywności organizacji partyjnych oraz członków partii z różnych środowisk zawodowych i społecznych, która prawo partyjnego obywatelstwa otrzymała pod nazwą tzw. struktur poziomych. W ciągu kilku miesięcy struktury te, przede wszystkim w postaci partyjnych klubów dyskusyjnych, takich jak np. Partyjne Forum Dyskusyjne powołane z inicjatywy organizacji partyjnej przy Politechnice Szczecińskiej, stały się autentyczną siłą polityczną. Niektóre formy więzi poziomych w partii budza wśród aktywu partyjnego, w tym także wśród członków instancji i pracowników aparatu, nieufność. Partia typu leninowskiego nie może być klubem dyskusyjnym — powiadała ona. Żywiłowy rozwój tej formy działania zagraża jednoci partii, prowadzi do rozluźnienia partyjnej dyscypliny, a w przypadkach skrajnych stwarza realne niebezpieczeństwo frakcyjności. Kwestia ewolucji partii w stronę luźno sfederowanych klubów i towarzystw dyskusyjnych jest, oczywiście, poza wszelką dyskusją. Partia nie może być klubem dyskusyjnym. Ale czy partyjne kluby dyskusyjne, powoływane do życia bez odgórnych założeń, nie na mocy zarządzenia lub instrukcji, nie powinny stać się stałą, zapisaną w statucie, formą wymiany poglądów między członkami różnych or-

**PRZEDWIOŚNIE
NA FRONCIE POP**

ganizacji partyjnych? Czy nie poszerza to, nie wzbogaca o nowe wartości tak bardzo w przeszłości zaniedbanej sfery demokracji wewnętrzz-partyjnej?

Janse, że również i ta sfera, podobnie jak sfera centralizmu demokratycznego, stwarzać może szanse nadużyć, manipulacji politycznej i forsowania poglądów sprowadzających działalność partii na manowce frakcyjności. Niedostrzeganie realnych możliwości takiego niebezpieczeństwa byłoby młodzieńczą naiwnością na granicy politycznej lekkomyślności. W historii europejskich i nie tylko europejskich partii komunistycznych mamy na to dostateczną ilość nader pouczających przykładów. Ale na przedwiośniu 81, u nas, w Polsce, nie wydaje się być wskazane demonizowanie tego właśnie niebezpieczeństwa i wyciąganie z lamusa zleżalego i fatalnie utrwalonego w społecznej pamięci słowa „czujność”.

Definicja frakcyjności, na podstawie której można obiektywnie stwierdzić wszelkie jej objawy, nie jest tajemnicą. W trakcie przedzjazdowej dyskusji przypomnieli ją raz jeszcze członkowie zespołu roboczego, powołanego przez Komitet Uczelniany Partii w Wyższej Szkole Nauk Społecznych KC PZPR do opracowania projektu nowego statutu partii. Proponują oni, aby nowy statut wypowiadał się w tej sprawie jak następuje:

„Frakcyjność polega na zorganizowaniu w ramach partii takiej sformalizowanej grupy, która utworzyła ośrodek dyspozycyjny, autonomiczny wobec statutowych władz partii, upowszechnia odrębny program i linię polityczną, stosuje odrębne reguły działalności politycznej oraz zmierza do pozastatutowej zmiany wybieralnych organów partii. Tylko te wszystkie cechy razem występujące pozwalają stwierdzić, że mamy do czynienia z frakcyjnością.”

Nie ludźmy się. W partyjnej dyskusji przed IX Nadzwyczajnym Zjazdem scierają się wciąż jeszcze i ścierać będą dwie tendencje, dwa absolutnie skrajne poglądy na temat partyjnej lojalności, partyjnej dyscypliny i zaangażowania członka partii w jej sprawy, powiedziałbym — dwie koncepcje moralności. Idee, także fatalne i doszczętnie skompromitowane przez praktykę, funkcjonują w ludzkiej świadomości dłużej, niż ich prominentni reprezentanci. Życie mają twardsze, nie dadzą się izolować w areszcie, skreślić długopisem z ewidencji.

Oto przykład — ostrzeżenie. Fragment dokumentu, który powstał osiem lat temu, w marcu 1973 r. Jego autorem jest osławiony Maciej Szczepański, ówczesny — w pełni potęgi — prezes Radiokomitetu. Fragment tekstu, który poniżej przytaczam, wyjęty jest z autoryzowanego stenogramu jego przemówienia (?), wykładu (?), referatu (?), no, w każdym razie wystąpienia, jakim uświetnić raczył finał parodniowego seminarium, zorganizowanego dla publicystów zatrudnionych w PR i TV w jednej z podwarszawskich miejscowości:

„Niekiedy ludzie kierują się słusznymi intencjami, deklarują się, i to szczerze, na rzecz linii politycznej wytykającej z uchwał VII plenum Komitetu Centralnego i VI Zjazdu. Kiedy jednak przychodzi do praktycznego działania, okazuje się,

że ci właśnie ludzie kierują się jakimiś prywatnymi koncepcjami realizacji tej linii, że po prostu na swój własny rachunek, zgodny z własnymi wyobrażeniami, chcą tę Rzeczpospolitą „zabawić”, że „wiedzą najlepiej” jak służyć krajowi itd.

Mówię o tym dlatego, aby uświadomić to, że dowolność w interpretacji politycznej myśli i kierunku, który jest reprezentowany przez nowe kierownictwo partii, nie powinna mieć miejsca. Dyscyplina partyjna i obywatelska zaczyna się tam, gdzie w sposób bardzo skrupulatny i wnikliwy studiujemy tę właśnie myśl polityczną i linię polityczną nowego kierownictwa partii i tylko na tej bazie określamy wszelką swoją działalność. I tak należy rozumieć dyscyplinę i tylko tak pojmowana dyscyplina stwarza możliwości dla inicjatywy w realizacji określonych zadań, wynikających z programu partii. Tego rodzaju proces intelektualny obowiązuje wszystkich w tym kraju, nie tylko pracowników frontu ideologicznego.”

Przepraszam za przydługi cytat, ale myślę, że warto sobie to przypomnieć. Warto także mieć świadomość faktu, że nikt zapewne z siedzących wówczas w sali renesansowego pałacyku nie przeczuwał, co zgotuje partii i krajowi konsekwentna realizacja tych poglądów. Z Radziejowic do Pekinu jest ileś tam tysięcy kilometrów — a przecież nad nami unosi się duch Mao Tse-tunga.

Piszę to w połowie marca. Przedwiośnie 81 robi się coraz cieplejsze. 12 marca odbyło się kolejne posiedzenie Centralnej Komisji Zjazdowej PZPR. Józef Mitak, ślusarz ze Stoczni im. Warskiego, członek tej komisji, był jednym z dyskutantów i przemawiał nie tylko w swoim imieniu. Uwagi, zgłaszane do tez zjazdowych, skonsultował uprzednio z Wojewódzką Komisją Zjazdową oraz organizacjami partyjnymi największych zakładów pracy Szczecina. Główną troską tych uwag jest przywrócenie siły i godności partii. Droga do tego celu prowadzi przez oczyszczenie partii z osób skompromitowanych, a także biernych i bezideowych; przez przeprowadzenie wyborów w organizacjach partyjnych łącznie z odbyciem zjazdu; przez opracowanie dobrego programu. Szczecińska wojewódzka organizacja partyjna wyraża nadzieję, że zjazd wyznaczy i wdroży konkretne przedsięwzięcia, przywracając zaufanie partii do społeczeństwa, a także określi podstawowe elementy gwarancji, przeciwdziałających powtarzaniu się kryzysów społeczno-politycznych. Założenia programowe w przedstawionej formie w wielu kwestiach budzą zastrzeżenia. W szczególności razi w tych materiałach rozległa frazeologia i język, niezrozumiały dla przeciętnego członka partii. Sformułowania są wieloznaczne i nieprecyzyjne.

To część zaledwie krytycznych refleksji, wypowiedzianych w Warszawie przez szczecińskiego ślusarza, Józefa Mitaka. Część z tego, co zawióżył do stolicy wprost z pierwszej linii frontu POP. Tego frontu, który — nie tylko zapewne na Pomorzu Zachodnim — przekroczył defensywne okopy rozrachunków, gdzie zgorzkniałe załogi zajęte były rozdrapywaniem świeżych ran.

BOGDAN CHOCIANOWICZ



RYSZARD WILK — rzeźba ceramiczna podczas prezentacji we wrocławskim Biurze Wystaw Artystycznych w 1980 r.

Fot. G. Haremba



*„Narodzona z protestem
NIE, NIE NIE —
tylko dlatego jestem.”*

Wiersz z „Bożego umierania”. Ale i prawda o mnie jedna z prawd może najważniejsza. Protest. Bunt. Zaciśnięte pięści. Zaciśnięte pieśni? Gniew, gorycz, wściekłość, że świat — mój świat, bo nie znam innego — nie taki, na jaki narodzić się chciałam.

Mój świat kolejną historię się toczy. Nie przystaję do kolejin. Każde nieprzystawanie — to wiersz. Każdy wstrząs dziejowy — to wiersz gwałtowny.

Tak więc wszystkie historyczne przemiany znaczone są wierszami najgwałtowniejszymi. Przed Polskim Październikiem było zdumienie i złość. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym gniewne przecucie, że to nie na długo. W sześćdziesiątym ósmym rozpacz i obrzydzenie. W siedemdziesiątym nadzieja pełna goryczy. W siedemdziesiątym szóstym wściekłość. W osiemdziesiątym pierwszym gorący sprzeciw, że jeszcze, że mimo wszystko nie.

Wedle historii tych zrywów układają się moje wiersze. Do ostatecznego wybuchu:

JOANNA
KULMOWA

NARODZONA Z PROTESTEM

„Nie chcę zawsze i nie chcę wszędzie,
własnego buntu więzień,
nie chcę,

niech stanie się NIE!
Ale mnie,
mnie już wtedy nie będzie.”

Pomarańcze (1954)

Państwową skodą albo ZISem
obok państwowej połowicy
jedzie dyrektor tudzież vice
na wikt państwowy do Krynicy.

Tu goszczą go z należną pompą
gremialnie na dwóch łapkach tańczą
ładując go w państwowy komfort —
wraz z poobiednią pomarańczą.

W ten sposób na państwowej diecie
tyjące w Patrii różne panie
mają sardynki na śniadanie
i pomarańcze po obiedzie.

Z uśmiechem obierają przysmak
i tuczą nim dygnitarzeta —
wiedzą że dla nich jest ojczyzna
i pomarańcze po kurczętach.

A mąż- miąższ w ustach stłamsi. Westchnie:
„Quam dulce est pro Patria mori!”

I trawiąc nie wyplutą pestkę
wpółdrzemiąc przejdzie do historii.

Z uśmiechem się układa do snu
i nawet śpiąc radośnie szepce
że trudność równa się po prostu
tej jednej nie przeżutej pestce.

Że ład w resorcie. Że porządek.

Że byczo. Że już czas odpocząć
bo rzeczywistość to żołądek
w żołądku zaś — ach! jak uroczo!

Dość bracie! Mierzi nas ta siesta.

Nie chcemy na to patrzeć z boku.

Są wśród nas tacy których nie stać
na pomarańczę raz do roku.

Nasza ojczyzna jest surowa
i chleb jej ziemi nam wystarczy —
trzeba go umieć uszanować
i nie wymagać pomarańczy.

A jeśli kto się chce odsunąć
bo mało mu naszego chleba,
to na to żeby za nim spluć
nawet i pestki nie potrzeba.

Nike 1956 (1956)

Dzień był mdły, beznadziejnie zwykły,
szły ulicą tramwaje i wojsko,
ludzie w kioskach kupowali dzienniki
i zapalki i wodę kolońską.

Aż tu nagle nad miastem — bogini,
zanim oczy kto zdążył przetrzeć,
skośnym lotem przez niebo jesieni,
jak dwie flagi — dwa skrzydła na wietrze.

Załopotał szum pałdziernikiem,
gapiom w głowach zakręcił wiatr
i ktoś w tłumie zawołał: „Nike!”
i śpiewali jej wszyscy „Sto lat”.

A w ruinach jakichś innych dwóch
przyczaiło się, cmokało: „Co za puch!”

I ostrzyli długie noże o zmroku
i śledzili, gdzie wiatr Nike poniesie,
żeby jutro w jatce na rogu
sprzedać skrzydła po złotych dziesięć.

Pierwsze ostatnie słowo (1968)

Może łatwiej przez ciebie zginąć
niż dla ciebie wytrzymać
chorobę nieustającą
nieprzyschniętą oparzelino
ułomności rodzima
z ojców ojca.

Moim oczom przydana łusko
moim plecom wstydlive brzemię
językowi wędzidło
myślom ułamane skrzydło
przewino
któraś we mnie i ze mnie.

Żebyś upadała
przeklinała
z nocy na dzień głębiej tobą nasiąkała
złą skłonnością
ułudą swojską
głupkowatą pychą rodową.

Moje pierwsze ostatnie słowo.

Moja wada wrodzona
Polsko.

Piosenka miastu mojemu (1970)

Obce tyś mi było
miasto.
Zbyt nijakie w ledwie pokoleniu.
Zadufane w samym zaznaczeniu.
Skrzędne nowobogacko.
Na umór ze wsi w metropolię.
Że swojakie niby
a nieswoje.

Zdane tym co puchli nad nami.
Zakneblowane hasłami.
Póldzióbkami ćwierkające z gazet.
Milczące
gromkim aplauzem.
Potulne
w utajonym byle zbyć.

Aż otworzył ciebie krzykiem grudzień
odtajały krwią ulic gardziele
wykipiała na place treść własna.
Ujawnili się żywi ludzie
w żywym ciełe
mojego
miasta.

Dziwka (1976)

Kosym ślepkim zerka znad piwka
opinia publiczna
dziwka.
Węszy z kim by najlojalniej
dzisiaj.
Z byle hasłem obiegowym
gzi się.
Z obowiązku w miłość załganą
w bramach sądu powszechnego
pod latarnią racji stanu.
Później palcem tamtych
co z nią nie chcą.
Później śliną ich naznaczy
gęstą.
I znów parzy się z sumieniem łysym
w dzień biały

za psi grosz
jednomyślniej
pochwały.

Nota niedyplomatyczna (1980)

Kiedy nareszcie oddycham do woli
mówią: „Strzeż się!
Przez ciebie skończy się powietrze!”
Żeby mnie strach za gardło chwycił
i zniewolił
do skurezu co tchawicę zwęzi mi raz jeszcze.

Nieprawda!
Dość jest nieba na mój pełny oddech.
Na zapas chłonać będę powietrzną swobodę —
a gdyby ssąca próżnia podpełzła aż tu
raz jeszcze istnienia powietrza dowiodę
krzycząc
wolność tchnienia
do ostatniego tchu.

Krzywda kamieniem (1981)

Krzywdą jest
żeście nie doszli dnia
który dla was który dzięki wam.
Czynem wstecz
odezynać by darmo
ból wtłoczony wam kamieniem w gardło.
teraz hymny oho! tłoczyć chcą w kamieniach
odkamieniać gruzobeton sumienia.
A to nie odkrzywda już nie zadośćcównanie
wam
których nie odboli kamień
którym się niebyt
nie odstanie.

Dzieci Wieszcz

Na pierwszy rzut oka wszystko wydaje się jasne, nawet bez szczegółowej analizy. Przynajmniej na rodzinnym gruncie. Model poety-wieszcz, barda narodowej sprawy, duchowego przywódcy społeczeństwa jest modelem tak głęboko zakorzenionym w świadomości Polaka, że nie sposób mu przeciwsta-

uratować trochę Miłosz i każdy zadbany mieszczuch może już bez wstydu bić się o tomik jego wierszy i mówić, że Poezję szanuje. Zwłaszcza gdy spadają na nią laury, sam król dłoń Jej ściska, a i nagroda pieniężna na niejedną dachę by starczyła. Jest więc nowo kreowany i uznany społecznie Mistrz, ale u jego stóp kłębą się rzesze poetów nie kochanych.

i zgodę wobec określonej konwencji. Dlatego też wiersze, których problematyka oscyluje wokół Twórczości, przez duże T, osobistego stosunku autora do słowa jako tworzywa, wokół dylematów człowieka postrzegającego i zapisującego świat, są najczęściej kameralnym monologiem. Czasami tragicznym, prawie zawsze gorzkim, lecz szukającym rozwiązań pozytywnych. Poe-

Artur Daniel Liskowacki

NIKI NIE KOCHA POETY

wić jakiegokolwiek innej propozycji. Mówiło się zresztą o tym wielokrotnie, przy okazji najrozmaitszych dyskusji o źródłach naszej tożsamości, że wśród wartości tradycyjnie już wysoko preferowanych czołowe miejsce zajmuje twórczość artystyczna. A więc — i sam twórca. A więc — i poeta. Ten namaszczonej przez zwierzchność najwyższą Kapłan prowadzący swój lud drogą najslusniejszą ze wszystkich.

To wszystko prawda. Gdyby nie ta wysoka ranga poety i poezjowania nie byłby nasz boom młodopoezycki zjawiskiem tak niezwykłym w skali doprawdy światowej. Tymczasem jedni z zadowoleniem (bo kultura kwitnie), inni z załamywaniem rąk (bo chaos) donoszą, że staliśmy się narodem miliona poetów. To wszystko prawda, bo gdyby nie odziedziczony z romantyzmu kult dla szat wieszcz, nie byłoby chyba tylu chętnych do wspinania się na cokół. Zresztą, co mówić o pomniku, dla wielu piszących dopingiem jest już fakt, że klekąc okostochy czy limeryki wychylają się choć o głowę ponad skłębiony szary tłum. Non omnis moriar... Dobrze, dobrze, ale czy ten tłum wciąż kocha poetów?

Z takim Mickiewiczem było o wiele łatwiej, on był jeden. Wiedzano kogo wielbić. Dziś kandydatów do tytułu Poety jest znacznie więcej. Sytuację

Próbują oni od czasu do czasu sami zabrać głos w dyskusji nad przysługującym im społecznym statusem. I jest to najczęściej zabieg przypominający odsiewanie ziarna od plew. O nim będzie mowa w niniejszym szkicu.

Ale zaraz na wstępie istotna uwaga: nie interesowały mnie w zasadzie wypowiedzi bezpośrednie, wszelkie manifesty podmiotu lirycznego, poezja autotematyczna, w pierwszej osobie liczby pojedynczej wyrażająca punkt widzenia autorów wierszy. Zajmowały mnie raczej wypowiedzi pośrednie, w których poeta, jako trzecia osoba (obu liczb) staje się sam bohaterem lirycznym.

I jeszcze jedno, tytułem wyjaśnienia, wszystkie przykłady zaczerpnąłem z tomików wydanych w minionym dziesięcioleciu. Dziesięciolecie ze społecznego punktu widzenia szczególnie ważnym. Dojrzewialiśmy w nim wszak wszyscy, a więc i poeci. Zwłaszcza tzw. młodzi poeci, i to ich wiersze posłużyły mi w największej mierze za podłoże tego szkicu.

Bohater Negatywny?

Cecha znamienita: słowo „poeta” nie jest w najmłodszej poezji określeniem emocjonalnie obojętnym. Niesie ze sobą albo opór albo zgodę. Dodajmy: opór

tyckie „ja” wielowymiarowe, a liryka przez nie ewokowana — daleka od brutalnych, pozbawionych niuansów dosadności.

W tej sytuacji wypowiedzi dotyczące społecznego miejsca twórcy (konkretnie poety) będące głosem sprzeciwu, buntem wobec roli narzuconej lub jak sądzą niektórzy, przyjętej dobrowolnie, są zazwyczaj wypowiedziami z pogranicza poezji i publicystyki. Podmiot liryczny już nie na sobie dokonuje tu zabiegu autointerpretacji — ale na swoim cieniu. Odbiciu w jakże często krzywym — zwierciadle. Przedmiotem ataku staje się nie poeta jako taki, ale podszywający się pod niego uzurpator. Nie twórczość, ale konwencja, nie twarz — ale maska.

Wspomiane wiersze nie są odmianą psychicznego samobójstwa i pożałowania godnym masochizmem. Poeta — bohater negatywny, który tak ostatnimi czasy rozpanoszył się w tomikach, nie jest więc nosicielem całej prawdy o poezji... Gwoli sprawiedliwości dodać zresztą trzeba, nie zawsze nosi on strój pogrzebowo czarny. Ten ponury autoportret mieni się wcale sporą ilością barw...

I tak społeczny status poety doby kryzysu widziany bywa najczęściej przez trzy perspektywy. Bardzo umownie można by je określić jako socjolo-

giczną, estetyczną i etyczną. Bardzo umownie — bo w rzeczywistości przenikają się one. Uzupełniają i wzbogacają.

Jakby potrzebni byli komuś

Perspektywa pierwsza najbliższa jest poetyckiej publicystyce, a zrodziły ją wątpliwości stare jak świat i co jakiś czas odświeżane na użytek pokoleń (i nie tylko) rozrachunków. Mowa o tzw. kompleksie inteligenckim, którego swoistą odmianą jest kompleks artysty nie dość zespolonego ze społeczeństwem. Nie dość pożytecznego. Nic nie dzieje się bez przyczyny, wpływ rzeczywistości na te defetystyczne nastroje jest oczywisty. Kto bywa ponaglany hasłami w stylu „pisarze do pióra” bardzo łatwo uwierzyć może w śmieszłą ograniczoność swojej społecznej roli. Biurko, jako warsztat pracy, wydaje mu się wtedy miejscem przyznawanym z łaski, a tkwiącym bez ruchu, daleko od głównych szlaków... Gruntem na jakim powstają tego typu wątpliwości jest odwieczny konflikt między słowem i czynem. Rimbaud rozwiązał go prozaicznie: złamał pióro i został kupcem; wierny romantyzmowi Mickiewicz spróbował swych sił jako organizator i polityk. A dzisiejsi poeci? Dla nich tradycja poety, jako autorytetu społecznego, jakby wygasa. Pozostał, pełen ironii, ale i żalu dialog z pomnikiem.

Tu wszyscy byli podobni do siebie jak
sztachety płotu (...)
tylko poeta między nimi
jak kotek (...)
jego wiersze nie zastąpią im
ni chleba ni soli (...)
obec ludzie patrzą w twarz pomnika
pytają: znaliście go?
ano znaliśmy odpowiadają tubylcy
był warty klimat mu nie służył
i wcale nie był taki wielki
jak powiadała
największa jest u nas ciotka Agrypina
z samych Brodów sprowadziła cieśli
by w jej chacie
drzwi podciągnęli pod strzechę
a najmańdrzejszy jest dziadek Ksawery
on nawet chudobę leczy
i wierszyki dla dzieci układa
zmarły też nie był głupi
coś pisał drukował ale
Ksawerego nie zastąpi a
do ciotki Argypiny mu
no ho!

Nie bez kozery przytoczyłem tu obzerne fragmenty wiersza „Biedny poeta” Stanisława Misakowskiego, autora z dorobkiem bardzo bogatym, ale w pełni docenionym dopiero niedawno. Ten nie najbliskościwszy może „reportaż liryczny” jest bowiem swoistego rodzaju summą argumentów, które nasuwają się przy stosowaniu tej pierwszej, socjologizującej perspektywy. Twórca nie jest uznawany przez społeczeństwo za wytwórcę. Wytwórcę dóbr materialnych. Więc, jako taki, obcy, wyalienowany, daleki od problemów codzienności — może sobie stać na cokole. Nikt go zeń nie zrzuci. Tylko, że nie z szacunku. Najwyżej z pobłażliwości.

Tak traktuje się dziwaków i dzieci. Bezradnych i „biednych”, skazanych na życie, które nie przebiega w środkach: „pijany poeta płakał osaczony przez gołota” (M. Romanowski „Dracula”). Bezradność ta kontrastuje zresztą szczególnie z napuszoną wielkością am-

bicji, a wtedy pozostaje tylko szyderstwo: „Na świecie wielu jest poetów (...) Cóż poczną w czasie wielkich przemian (...) Sądząc, że poprawiają przestroje/Co dzień z zachwytem patrzą w lustro/Jakby potrzebni byli komuś” (Ewa Filipczuk).

To jest powiedziane wprost, bez eufemizmów. W podobnym tonie utrzymana jest wizja Marka Bieńkowskiego: „kryzys wydawał się przejściowy nie było /jednak dobrych wierszy i nikt nie potrafił tego ukryć przed rozhisteryzowanymi poetami (...) pod ich oknami czatowały czujne straże wsłuchujące się /w uparty przemarsz czczonek które /nadał wierzyły, że mają do spełnienia ważne zadanie”.

Bieńkowski i Filipczuk reprezentują odmienne orientacje poetyckie, ale w swych debiutanckich tomikach dochodzą do podobnych wniosków. Poeta, wierzący naiwnie, że jest spadkobiercą harfy Derwida — godny jest już nie współczucia, ale nawet pogardy. Ba, nawet kary! Inny debiutant sprzed lat, Stanisław Goskowski, nie bez pewnego ironicznego dystansu napisze: „pomóż wszystkim poetów całego świata /skazuje się na karę /pięciu lat przesypywania ziemi w polach /wiejących wiatrów aby ludzkość dotknięta /kataklizmem zawodzeń mogła odpocząć...”

W takich warunkach — zaiste — dialog ze społeczeństwem jest bardzo utrudniony. Prawie niemożliwy, choć przecież pozostaje cień nadziei: „poeta czyta wiersz (...) pusta sala (...) drzwi lekko uchylone /może ktoś jeszcze zdąży się zabić” (M. Kurpisz). Gorsze doświadczenia w tym względzie miał bohater z debiutanckiego tomu Krzysztofa Lisowskiego: „raz chcieli mnie bić /powiedziałem /zrozumcie jestem poetą /powiniennem oglądać wasze piękne żony /oni to wzięli za obelgę i dalej chcieli mnie bić /zrozumcie poeta musi pięknie umierać (...) i zabili mnie”.

To oczywiście ton prześmiewczy, ale coś pozostało „niepotrzebnym poetom”? Rzadko tylko, jakby wstydliwie, odzywa się głos serio. Oskarżający już nie zbytecznego motyla, lecz społeczeństwo: „którzy zubożyliście poetę o kęs chleba /nie pomogliście mu wytrwać /zubożyliście siebie jego i świat (...) o jednego mniej /to żadna strata /to strata wielka (R. Sliwonik).

Jakby szyderczym echem tej metaforycznej próby o kęs chleba jest „Bajka o poecie z zapalkami” Stanisława Zajaczka, w której poeta, zjadliwa reminiscencja Andersena, „stoi pod murem szarej kamienicy (...) Rączki mu posiniaty /Nóżki przymarzły do trotuaru /Zapalki nie chcą się palić”. Z bogatego zestawu tradycyjnych poetyckich akcesoriów pozostały tylko zapalki. Nikły płomyk — miast wieszczę pochodni — sprzedawany przez żałosnych kupcyków. Józef Baran nobilitował, co prawda, drewko z siarką do rangi współczesnej latarni magicznej (tomik „w błysku zapalki”), nie zmienia to jednak w niczym ogólnego obrazu.

Nic dziwnego, że w tej sytuacji miano poety przysługiwać poczęło w wierszach debiutantów — tzw. ludziom prostym. Godnym, czystym, świadomym swej pracy. Tak jak pracza z wiersza Piotra Sommera pod jednoznacznym tytułem „Poetka z Koziej”, która musi „prac wolno, nie spieszyć się, żeby za-

wsze coś było do uprania (...) zostało coś jeszcze do zamoczenia na następną noc”.

Nie czytajcie Jastruna

Druga z perspektyw, którą pozwolę sobie określić umownie jako estetyczną, wynikać ma z opozycji artystycznej, z niezgody na poezję przede wszystkim. Na poezję w rozumieniu tradycyjnym — trochę koturnową, a trochę sentymentalną, trochę dumną i trochę zadumaną, poezję z pretensjami do wieczności. Oczywiście jest jednak, że problem nie zamyka się na takiej czy innej estetyce przyjętej przez „starych poetów.” Spór toczy się nie o sztambuchowe wiersze, ale o fałszywy wzór życia w ogóle.

Żeby sobie uświadomić, iż jesteśmy tu i teraz — wyjść trzeba od negacji wszystkiego, co udaje interpretację świata, a w rzeczywistości stanowi od tegoż świata ucieczkę. Nieomal programowym głosem tego nurtu można by uczynić wiersz „Nie czytajcie Jastruna” Adama Zagajewskiego. Przypomnijmy go:

Pisanie wierszy nie wstrzymuje czasu.
Nie opóźnia żelaznego marszu
wszystkich zegarów świata
Pamięć jest sposobem życia
a jednodniowe wędrówki
korytarzami wystygłych zmysłów
urywają się nad brzegiem jeziora
gdzie grono poetek o smutnych twarzach
śpiewa harcercskie pieśni;
nie umieją pływać.

W tej konwencji mieszczą się też inne strofy Zagajewskiego będące drwiną z pismaków podobnych do owego „porządnego poety”, który w święto zmarłych pisze „przynajmniej jeden wiersz”. Taki relikwiarz epoki „trzymający oswojoną różę (...) usycha w papierowym deszczu” (Poeta II). Ten esteta i pięknoduch gorszy jest nawet od bohaterów poprzedniego rozdziału, którzy widzieli swą rolę w użyteczności społecznej, w duchowym przewodnictwie. Gorszy, bo tamci ulegali złudzeniu, byli śmieszni, ale mieli dobre chęci, a on zasłuchany wyłącznie w siebie, na terazniejszość machający pogardliwie ręką — dobrowolnie i świadomie decyduje się na pozycję samotnika, obserwatora z wyżyn Parnasu. Polemika z „takim Jastrunem” nie jest już polemiką z „biednym poetą”, ale z kimś zadufanym, pewnym siebie i... ślepym. U zawzięcie wojującej z tego typu postawą Ewy Filipczuk metafora ta przybiera kształt konkretnego wiersza: „biała laska poety /wyprowadza go na spacer /w ciepłe wieczory /poeta nie dowie się nigdy /jaka była droga /od lat nie żyje ze sobą /zawodzą go zmysły /ufa kartce papieru i nagłym olśnieniom”.

Tak przedstawiony spór o poezję i o życie toczy się przede wszystkim — między pokoleniami. Nie przypadkiem częstym motywem wierszy młodych autorów jest rozmowa ze starym poetą. Starość fizyczna urasta tu do rangi symbolu. U Juliana Kornhausera znajdujemy taki oto wizerunek nestora li-ryków: „ten poeta jeszcze żyje choć

nie wznosi okrzyków ma usta czerwone od konfitur z wiśni /głaszcze psa pod brodą patrzy na leniwe róże /och dawne czasy czyżby się przysniły (...) echo śmieje się ironicznie”.

Bardziej pojednawczy, choć równie niewesoły, jest wiersz Tomasza Jastruna „Wizyta”: „Przyszedł do nas znany poeta /Był bardzo smutny /Mówił o tym, że jest bardzo czytany /I o tym co ma zamiar napisać (...) Spojrzałem z dołu /I ujrzałem że w jego wysokich górach /Leży śnieg”. Podobnych refleksji dostarcza inny wiersz z tego samego tomu „Stary pisarz”. Kres twórczości, rezygnacja, gorycz porażki osładzana sławą.

Zmierch ideałów — zmierzch życia — zmierzch poezji. Blisko stąd do zrzucenia winy na wszystkie słowa pogodne, na każdy, niefrasobliwy ponoć, optymizm. Po co pisać o „radosnym ptaku” i „o dorożkarzu którego zaczerwienił koń”, jeśli potem milczy się „w mogiłnym zaduchu swój najpotężniejszy wiersz”. (T. Jastrun).

Młodość jest bezwzględna, ale bywa i tak, że granica między pokoleniami pęka: „ściska mi dłoń nad zimnym oceanem /stary poeta a jednak (...) muszę odwołać /jego słowa nie są papierowe /tysiące zakochanych mówią /i to jest piękne” (K. Lisowski).

Na dobrą jednak sprawę taki braterski, a nawet pełen szacunku uścisk ręki — należy do wyjątków. Nie ze względu na różnicę wieku. Raczej ze względu na różnicę w sposobie odbierania świata. „Starzy” swój filozoficzny spokój opierali na pewności, iż słowo jest trwałym i najsolidniejszym fundamentem. „Młodzi” już w to nie wierzą. Głoszą programowo „śmierć poety” i z goryczą dopisują dawne hasła do sprożonej współczesności: „Poeta nie woła: więcej światła /krzyczy: spuścić wodę /otwiera usta i krtań /śliską rurę kanalizacyjną którą spływa /gwałtowny strumień /wody wielkiej i czystej” (Krzysztof Boczkowski). Echo liryków łożańskich — ponure, przedrzeźnione przewrotnie...

Starzy i młodzi to oczywiście kategorie umowne. W praktyce — wymienne. Zagajewski twierdzi nawet wprost: „Młodzi poeci i starzejące się kobiety /mieszkają w tych samych zegarach”. Zapatrzeni w słowo, zakochani w sobie zdają się nie dopuszczać do swej świadomości, że „kto mówi wierszem temu nikt nie odpowiada” (Krzysztof Nowicki, Klasycyzm). Zdarza się zresztą i tak, że to reprezentant starszej generacji pokrzykiwać będzie na młodych pięknoduchów.

Nie zbierajcie okrucich słów, o esteci, kramarze z szufladami papieru na sprzedaż, który zapładniać w nadziei na pomnik

Rafał Orlewski, Apostrofa

Więc jednak pomnik? Tęsknota zarówno tych, którzy chcieliby na czele, i tych, którzy woleliby z zacisznego, cichego ustronia?...

Ile kosztuje kilo kielbasy?

Nie wszyscy wzdychają do marmuru i spiżu. Wielu chciałoby po prostu żyć. Żyć i brać. A od kogo, za co? — to nieważne... Innym — sławy: pogranicze moralności. Perspektywa trzecia, etyczna. Z tego punktu widzenia na poetę patrzy się już nie jak na kandydata

do przewodzenia tłumem i nie jak na rozmiłowanego w drgnieniach własnej duszy egocentryka, lecz zwyczajnie jak na jednego z wielu. Jak na każdego spośród tłumy, spośród nas.

U podstaw takich obrachunków leży oczywiście przekonanie, że „każdy jest poetą chociaż nie pisze wierszy” (Aleksander Jurewicz). Bo poetą się jest, jest — a nie bywa. Bo poetą się jest potwierdzając ten fakt nie klekonym przy biurku sonetem, ale całym życiem. Całym sobą. Do końca.

Legenda Rafała Wojaczka współtworzyła jedną z głównych, z obowiązujących w tej mierze konwencji. Ale wiersze Wojaczka były zbyt zbuntowane, przekorne, prowokujące, by mogły stanowić właściwy wzór poezji ożenionej z moralistyką. Realizowała go natomiast znakomicie prawie cała liryka „nowofalowa”. Poeta, Evrymen, szary obywatel paskudnego świata, stawiany wiecznie wobec problemów wyboru — codziennie zmienia się w konformistę. Konformizm społeczeństwa sytego, biernego — to problem socjologicznie motywowany. Ale konformizm kogoś, kto poprzez wybór swej roli skazał się niejako na etyczną czystość? Czy poeta — człowiek ma prawo sprzeniewierzać się ideałom głoszonym w swoich wierszach?

Jeśli takiego poetę weźmie ktoś w obronę, to ta obrona zabrzmić już musi jak szysterstwo. A potem — jak wyrok: „oni naprawdę chcą /zbawić świat i zarobić /trochę pieniędzy lub zniszczyć świat i zarobić trochę /pieniędzy ponieważ tak czy owak /kilogram kiełbasy kosztuje /czterdzieści cztery złote” (M. Romanowski, Głos z sali).

Ceny za wędlinę zmieniają się przedko. Ale nie zmienia się cena konformizmu. Twórca zmieniający swe pióro w instrument sprawny a płatny — z tymi kosztami musi się liczyć. Bo tam „gdzie każdy jest poetą /poeta staje się każdym / (...) lubi opowiadać /krótkie dobrze ułożone /dowcipy o ceniuarze” (A. Zagajewski, Poeta I). Poeta Zagajewskiego już wybrał, zdaje sobie sprawę ze swojej wieloznacznej sytuacji, ale od czego inteligencja! Konformizm uświadomiony ten, o którym się mówi, traci wiele ze swojej obezwładniającej wstydlivej mocy. I z paskudnego zapaszkę, który się wokoło unosi.

Więc poeci zaprzędają się z całą świadomością. I na wszystkich frontach. „Historia jest tylko matką śmietników /nad którymi kotują zgłodzieli poeci” — napisze Stanisław Stabro niedwuznacznie porównując liryków do brzydkiej rodziny sępów ścierwojadów. U Ewy Filipczuk nie lepiej: „wierzący poeci zaprzędawali się w imię swoich wierszy”. Wszystko za wszystko! Szczerść do kwadratu. Maria Aniśkiewicz napisze w swym debiutanckim tomie: „jesteś większą dziwką niż niejedna kurwa /jesteś po prostu rozegzaltowaną poetką /która z wyrachowaniem spisuje wszystkie swoje stany psychiczne /bo może się okazać odpowiednim materiałem do wiersza”.

Najpełniejszy, a jednocześnie najbardziej dynamiczny obraz poety — konformisty zawierają wiersze Ryszarda Krynickiego. Nie ma w nich ucieczki w los iluzoryczny, wykreowany, nie ma w nich odwrotu przed wyborem. Każda droga prowadzi w dwie przeciwne stro-

ny. Trzeba się decydować. Już, teraz, w każdej chwili. I zawsze — kierując się wiernością wobec wyznawanych zasad.

„Staram się ciebie zrozumieć: jesteś poetą, żyjesz w świecie słów a nie uczynków. Ale czy rozróżniasz strony tego świata, a jeżeli tak to za którą się opowiadasz: broniśz godności czy ulegasz przemocy? A jeżeli ulegasz przemocy to co starasz się ocalić?... Czy wydaje ci się, że poezja to są najdłuższe wakacje w życiu?”

Krynicki stawia pytania, ale odpowiedź zna dobrze. Przynajmniej tę, której mogliby mu udzielić ci, najgorętkowiej, najzachłanniej kupujący sobą poeci. To właśnie oni „posiadają maszyny do pisania upodabniające się /w zależności od sytuacji /do tuby magnetofonu, aparatu podstuchowego (...) czy wreszcie maszyny do mielenia mięsa”, na której przemiela „codzienną porcję gazety, własną matkę /cudze — swoje dziecko, lub swoją — cudzą żonę”.

Życie dyktuje ponure warunki, ale jeśli godzi się na nie poeta predystynowany przecież do wzmożonej czujności, wrażliwości, do zmieniania niezgody w bunt — niczego więcej na obronę poezji i poety nie da się powiedzieć.

Trzy perspektywy — trzy wizerunki wzgardzonego twórcy. I trzy postawy, na które przystać nie sposób: pozbawiony podstaw zapał, obojętność i zmieszany z tchórzostwem cynizm. Granice między nimi płynne, bo też łączą je pewna wspólna cecha — wiara w fałszywość tak odgrywanej roli. W większości cytowanych w tym szkicu wierszy dałoby się zauważyć zdecydowaną niechęć do tej gry zastępującej prawdziwą społeczną aktywność.

Tak więc u poetów — poeta bohater liryczny ma raczej złą prasę... Warto tu jednak zwrócić uwagę na fakt, że ów potężny ładunek negatywnych emocji wiąże się właśnie z samym określeniem, ze słowem — poeta. Nie — z twórczością w ogóle, nie z posłannictwem artystycznym, literackim... Polemiczne ostrze powyższych ataków skierowane jest bowiem przeciw tym, którzy poetami nie są, a za poetów się podają. Przeciw tym, którzy wykorzystują autorytet słowa do maskowania swej życiowej lichoty. Przeciw tym, którzy uzurpują sobie prawo do wyjątkowości. A także przeciw tym, którzy rzeczywistych uprawnień twórcy — nie chcą lub nie potrafiać dostrzec.

Litania zaiste rozczulająca. Ale „nie kochanym poetom” trudno się dziwić, że przejmując argumenty tych, którzy ich miłością nie darzą, sami sobie próbują wymierzyć sprawiedliwość. Zachowują się trochę tak, jak dzieci, które wyrывая ojcu skórny pasek biją się po pupach, za wszystkie (nie popelnione i cudze) winy.

Zarty żartami, lecz ten rozrachunkowy ton, na którego autotematyczność tak zwykli wybrzydzać recenzenci, nie jest li tylko inteligentnym rozdzieraniem szat i ran.

Sporo w nim natomiast zdrowego buntu, sprzeciwu wobec nadużywania imienia „poeta” i wiary, że tam gdzie plewy — znajdzie się zawsze trochę ziarna. A że każdy z polemistów za owo ziarno zwykł uważać siebie? No, cóż, pozostawmy poetom prawo do tej odrobiny narcyzmu.

Fot. Jan Bujnowski



Stanisław

Imię

Zajaczek

Nazwisko



Mówię i jestem mówiony. Piszę i jestem pisany. Czytam i coś lub ktoś — forma bezosobowa jest tu bardziej zasadna — mnie odczytuje. Jesteśmy, chcąc nie chcąc w jednakowej mierze podmiotem i przedmiotem kultury, historii społecznej i biologicznej, ewolucji życia, a ciągi te tworzą wzajemnie nakładające się hierarchie, bardziej będące tworem obserwatora niż świata. Strona czynna i strona bierna takiego bycia warunkują się wzajemnie i nierozdzielnie, tworząc zespół odniesień nakazujący czuć się częścią kontinuum. Jego struktura, by odwołać się do intuicji fizyki, jest strukturą falową, a nie korpuskularną, każda więc z jego części, a więc i ja także, jest częścią incydentalną i przypadkową. Właśnie jednak poprzez swoją incydentalność stają się częścią całości, ciągłości tego, co jest. Jeśli istnieje w kulturze wczoraj i jutro to tylko dla tego, że istnieje dzisiaj, a w owym dzisiaj działa Wielki Obserwator i Wielki Kwalifikator naszej zbiorowej świadomości. Manifesty literackie i poetyki normatywne, kolejne teorie awangard są więc tylko rodzajem ruchów Browna, mają wartość incydentalną dla struktury jaką jest język i świadomość.

Poezja nie jest więc świadectwem danym światu, a poeta Wielkim Notariuszem z pieczęcią zaopatrzoną w datownik. Jest, jeśli istnieje, częścią świata, jednym z wielu głosów, jakie składają się na jego mowę. Nie jest to jednak głos w chórze, tylko zmienność ruchów cząstek zapewnia istnienie fali, pojawienie się oddziaływujących pól — podstawowe elementy warunkujące istnienie świata. Musi więc, czy chce tego czy nie, być głosem w rozmowie.

Języków jest tyle, ilu mówiących ludzi. Słowo stół znaczy tyle razy inaczej, ile razy wymawia je każdy z siedzących chociaż raz przy stole. Jak zatem ma się zdarzyć rozmowa, jeśli tworzymy w naszej mowie Babel indywidualnych języków. Poezja wieloję-

zycznej ciemności umie przeciwstawić organizacji tekstu, możliwie precyzyjną i wolną od informacyjnych szumów, a jednocześnie na tyle otwartą, aby ze słów nie pozostały odindywidualizowane, a więc nie znaczące totemy i fetysze. Usiłuję to robić, jak każdy. W zmienności języków ujawnia się także to, poprzez co jestem mówiony, a poezja pełni rolę medium ujawniającego sens i biologiczne istnienie symbolu i archetypu, nie określając go przecież nieodwołalnie i do końca, a przecież ciągle weryfikując sens jego istnienia. I wreszcie, bardziej niż jakikolwiek inny sposób istnienia języka pozwala być mówionym, odnaleźć kontakt z pamięcią naszej kultury i biologii, która jest przecież w swoich bibliotekach, jak chce tego Th. Dobzhansky, tylko ewolucyjnie sprawniejszą formą kodu zawartego w DNA naszych komórek.

Jeśli zatem chciałbym być częścią owej pamięci, mogę nią zostać jako kolejna jej zmienna, jako 'element istniejący w określonych współrzędnych czasu i miejsca. Pamięć na jakimkolwiek ze szczebli jej istnienia nie powtarza przecież znaczeń, ona zapewnia ich ciągłość. To ten właśnie fakt stawia przed poetyckim tekstem wymóg aktualnej sprawdzalności, realizacji teraz i tutaj. Każde odpowiadać na dzisiejszy świat natychmiast, a zwalnia od przyjemności konstruowania mebli do szklanych domów, które ktoś kiedyś może zbuduje. Rozmawiać — mówić i słyszeć — mogę tylko ze swoim sąsiadem w czasie.

Mówiąc krótko, próbuję, jak każdy z ludzi, znaleźć ciągłość także poza śmiercią biologiczną i śmiercią tekstu, poprzez, a nie wbrew ich nieuchronności.

Każda poezja, poza miejscem swojej bezpośredniej realizacji, jest zaledwie bytem intencjonalnym. Zdaje sobie sprawę, że pomiędzy jej istnieniem a opisem znajduje się rozziw. Ale o nim, przynajmniej na razie, nie pozwalam sobie pisać.



STANISŁAW KULON — „Ręce”, drewno, wł. Muzeum Narodowego w Szczecinie

Fot. Z. Ryngwelski



JACEK WALTOŚ — „Poszukiwania grobu — las w Warzycach, 1972” — cement + olej, płótno.

Fot. Z. Ryngwelski

OSOBNY I Z TEGO WZAJEMNY

o poezji Stanisława Zajączka

Autointerpretacyjna wypowiedź Zajączka opublikowana w DEBIUTACH POETYCKICH 1975 zawiera, oprócz innych kwestii, także odpowiedź na pytanie o stosunek do poezji Nowej Fali. „Ogromnie cenne — pisał — wydaje mi się u tych poetów wyartykułowanie etycznych powinności literatury w naszym tu i teraz... Ponieważ jest tak, że trudniej zdobyć się na etykę niż na estetykę to doświadczenia poezji Nowej Fali wydają mi się najcenniejsze, także jako rodzaj zobowiązania dla jej następców. Konieczna dla literatury walka o przedstawienie nieprzedstawionego wymagać będzie od nadchodzących roczników pisarzy szczególnych kwalifikacji, etycznych właśnie. Tutaj doświadczenia Nowej Fali nie mogą być pominięte. Przed poezją lat przyszłych stoi jednak konieczność pewnych weryfikacji programów nowofalowych... Dotyczy to, moim zdaniem, spraw takich jak rewizja, utopijnego przecież, choć tłumaczącego się potrzebą chwili, postulatów mówienia wprost, przekształcenia niektórych zabiegów likwidatorskich, prowadzonych raczej z pozycji pokoleniowych na poszukiwanie głębszych tradycji literackich..., wreszcie poszukiwanie poetyk, mniej niż dotychczas amorficznych i doraźnych...”¹.

Jest to odpowiedź znamienita. Urodzony w 1945 roku autor, generacyjnie należący do pokolenia Nowej Fali, traktuje, w 1976, jej osiągnięcia jako wartość już po trosze historycznoliteracką. Przy czym jego odczytanie programów przełomu dekad jest czynione, by tak rzec, z pozycji wewnętrznych i zewnętrznych zarazem. Wewnętrznych, bo gotowy jest przyjąć za własną zarysowany tam wzorzec etycznych powinności literatury, zewnętrz-

nych — albowiem zgłasza swoje veto wobec postulatów „mówienia wprost” i jego poetyckich konsekwencji.

Nie była to pierwsza polemiczna wypowiedź Zajączka. Rok wcześniej opublikował on artykuł polemizujący ze SWIATEM NIEPRZEDSTAWIONYM. „Nie literatura — pisał — kształtująca mityczny i abstrakcyjny paradygmat, który już nie zaistnieje, bo zaistnieć nie może, a literatura kształtująca mnogość społecznych świadomości kulturalnego dziś — oto literatura jedynie możliwa do przyjęcia w naszym czasie i miejscu. Literatura bardziej poszukująca twarzy ludzkiej, niż najbardziej przekonujących i otwartych paradygmatów”²). Zdaniem autora „wynalazczość etyczna młodej literatury jest wynalazczością post, jest skutkiem zmian zaszytych w świadomości społecznej i politycznej Polaków, a nie jej źródłem czy motorem. Jest ona bardziej zależna od przebiegu tych procesów, niż je sama kształtuje”³).

Wizja literatury, którą definiują te zdania jest odmienna od wzorców popularnych na przełomie dekad. Po pierwsze — zakłada daleko idącą autonomię literatury, jest ona tyle zależna od przemian społecznych, na ile przemiany te zmieniają świadomość jej wytwórców. Związki pomiędzy rzeczywistością a literaturą nie zasadzają się, powiedzielibyśmy, na związkach podobieństwa, ale przyległości. Racja literatury nie musi być racją zbiorowości.

Po drugie — przechodząc na grunt poetycki — Zajączek kwestionował kluczowy dla Nowej Fali postulat „mówienia wprost”, „nawet jeśli wyobrazimy sobie istnienie tekstu a priori odartego z aluzji, niedopowiedzeń, dopowiedzeń tego, co zostało rozpoczęte gdzie indziej, to przecież konsekwencje literatury tkwią nie tylko w jej tekstach, ale i w jej czytelnikach. Odcinając się od estetyki aluzji, którą przyjmują, błędnie, za równoważną z estetyką klasycyzującą, zapominają też o tym, iż ta właśnie technika i estetyka posłużyła, niekiedy w sposób niezastąpiony, do wyrażania spraw społecznie ważnych, do diagnozy rzeczywistości”⁴).

Otóż, jak się zdaje, byłoby błędem sprowadzić tę ostatnią kwestię do sporu o prawo literatury do posługiwania się technikami „języków czopowych”. W istocie chodziło tu o przeciwstawienie się głośnemu hasłu: „Chcemy być współcześni, a nie poetycy”⁵). Które prowadziło do języka nie tyle „jednoznacznego” co „prezentyistycznego”. Do języka, który — nie będąc jednoznacznym⁶) — dążył intencjonalnie do wyczerpania swej aluzyjności w odwołaniach się do status quo, a więc także — odcięcia od kulturowego zaplecza. Powiedzieliśmy — intencjonalnie, w praktycznych bowiem realizacjach trudno się doszukiwać realizacji tak zinterpretowanego postulatów. Ale też sprzeciw Zajączka dotyczy właśnie sfery poetyki sformułowanej.

Atakując ją właśnie w tym punkcie Zajączek nie kwestionował socjalnych elementów poetyki nowofalowej, przywołany uprzednio fragment artykułu

z „Młodej Sztuki” zakłada odpowiedniość tego kierunku przewartościowań etycznych, który zarysował się w poezji przełomu dekad z dokonującymi się wówczas przemianami społecznymi; postulował jedną odmienną poetykę. Jej punkt wyjścia zbliżony jest do postulatów neoklasycyzmu. Zbliżony, albowiem nie idzie tu — jak u Rymkiewicza — o ujawnienie podświadomości zbiorowej, symbolicznego sensu persewerujących obrazów, nawet nie o „ponowienie dykcji”; kultura to dla Zajączka pewien system języka i zakonowanych w nim wartości. „Wielcy poeci są jakby przez niego ponownie tłumaczeni na jego obrazy, na jego odczucie rzeczywistości. W ten sposób powstają wiersze odwołujące się bezpośrednio do znanych poetyk, do myśli, do systemów filozoficznych, a zarazem tworzące nowe wartości, nowe przedstawienie świata”⁷). Ci „wielcy poeci” to z reguły twórcy dwudziestowieczni. Smolka pisze o Apollinaire, Condrrasie, Szymborskiej, ale można też odnaleźć echa Czechowicza, Herberta, Miłosza; brak wyrazistych odwołań do Eliota. Nie sposób nie zauważyć, że klasycyzm Zajączka niewiele ma wspólnego już nie tylko z programem J. M. Rymkiewicza, ale także „imitacjonizmem” Maja i Zadury.

Programowa NAUKA Z JOHNA DONNE'A POETY ANGIELSKIEGO (JA I MÓJ KUMPEL MEEGEREN) jest w istocie polemiką z tamtymi programami:

Bo jeśli wszystko zmieni się w pamięć
Jeśli kamieniem stanie się rzuconym
Na miskę dolin w dłoni trawy zległym
Cóż wtedy z jego materią się stanie
Co z Cieniem mu podległym spiaszczonym
wilgotnym
Ciemnością roślin zakrytych przed wzrokiem
Kto go z tej łąki wymknie kto odda
Powietrzu
odwróci biele — kto rozpyli kamień
Kto podejmie go z palców zmęczonych
czekaniem
Ziemii gdzie poniesie dalej

„Wiersz ewokujący archetypiczne symbole przeszłości — pisze J. M. Rymkiewicz — jest więc (...) nie tylko ujawnieniem, ale również ofiarą złożoną owemu morzu [„zwanego przeszłością” — dop. A.K.W.], zaklęciem i oswobodzeniem czasu minionego, by mógł on się stać czasem przyszłym”⁸). Polemika Zajączka nie dotyczy idei, dotyczy materii, sposobu istnienia rzeczy. Nie to, co ogólne, ale to, co szczegółowe interesuje poetę. Nie to, co „wieczne”, ale to, co jednostkowe i zdeterminowane naszym tu i teraz.

Jak na klasycystę są to zainteresowania przewrotne. Ale też „klasycyzm” Zajączka niewiele ma wspólnego z doktryną. Wyrasta raczej z przeświadczenia, iż „konsekwencje literatury tkwią nie tylko w jej tekstach, ale i w jej czytelnikach”, że — jakkolwiek postępujemy — zawsze nawiązujemy do tego, co nas poprzedza. Tytułowy wiersz zbioru buduje zresztą przejmującą metaforę wygnania:

...ścigani krzykami szliferzy diamentów
Uciekamy brzegiem zimowego pejzażu
Dwie małe kropki
Ja i mój kumpel Meegeren

Nie jest to wszakże wygnanie z mi-
tu. Raczej — wyjście z bezpiecznego
azyłu kultury — rozumianej jako imi-
tacja. To bowiem, co przed opisaną
ucieczką nastąpiło było działaniem imi-
tatorskim, poeta tworzył słowny odpow-
iednik głośnego obrazu Veermiera. W
istocie — jakkolwiek w szeregu wier-
szy poeta rzeczywiście ponawia, a
właściwie rozwija chwyt poprzedni-
ków — to raczej obca mu jest dzia-
łalność imitatorska. Ta bowiem zakła-
da albo eksponowanie czysto technicz-
nych umiejętności, albo — wiarę w
ponadczasową trwałość form.

Istnieje tu jeszcze jedna opozycja:

WIELCY POETCI

Są jak dworce kolejowe w stolicach świata
Można przyjść i popatrzeć jak przejeżdżają
Wielkie ekspresowe pociągi przeczuć
Na wargach dziwny wiatr który porusza
szybami wielkich hal
Kiedy odjechał ostatni pociąg. Potem
trzeba wygasić światła pozamiatać czasem
Uprzątnąć z toru przejechanego człowieka.
Wtedy
zabierają się do roboty mali poeci bez
twarzy.
Mówią niewiele mimo że bezustannie
zachowują poczucie humoru.
Robią swoje.

(MALI POETCI,
JA I MÓJ KUMPEL MEEGEREN)

Otóż, jeśli pominiemy wartościowa-
nie, jest to różnica skali widzenia. W
tym zakresie Zajączek jest wierny No-
wej Fali (dość przywołać tu postulat
ze wstępu do „Jednym tchem”). Przy-
jmuje mianowicie nie perspektywę pro-
cesów globalnych, ale perspektywę
uwikłanej w nie jednostki, ogólnych
prawidłowości, ale składających się
nań przypadków poszczególnych. Od-
stępstwo dotyczy wszelako sprawy istot-
nej: odpowiedzi na pytanie, co miano-
wicie spaja tak ukonstytuowaną zbio-
rowość. Odpowiedź Zajączka brzmi: nie
tylko wspólnota doświadczeń, wspól-
nota powiedzielibyśmy presji, jakiej
ich świadomość była poddawana (Pro-
gram), ale także wspólnota kulturowej
sytuacji. Wspólnota miejsca w łańcu-
chu historycznych doświadczeń.

Dla Zajączka wartości kulturowe nie
posiadają, by tak rzec, sztywno wy-
tyczonych granic. Mogą to być archai-
czne mity, ale także wiersze Apollinaire'a;
obrazy Veermiera, ale także reali-
zacje poetyckie o moment wcześniej-
sze. Także pisany akurat wiersz, gdy
już uzyska swój ostateczny kształt,
stanowi część owego uniwersum. Nie
sposób nie zauważyć, że między ope-
racjami, których dokonuje na wier-
szach Apollinaire'a (BALLADA O NO-
DZE SAPERA) i np. „Burzy” (inc.

„Zrobimy to z miłości”), czy rówieśni-
ków (CHUSTA jest repliką finalnego
wiersza z „Jednym tchem” zatytuło-
wanego SPÓJRZMY PRAWDZIE W
OCZY) nie ma istotnych różnic.

Co, oczywiście, można by potrako-
wać jako klasycystyczną w swej isto-
cie wiarę w jedność sztuki, gdyby nie
to, że Zajączek przeświadczony jest
jednocześnie o jej społecznych uwikła-
niach; to co szczególne i temporalnie
nacechowane, dominuje nad tym, co
ogólne i ponadczasowe.

W debiutanckim tomie nie było to
wyjście jedynie. Równie dobrze moż-
na było — kontynuując zarysowane tam
możliwości — dojść do poezji pono-
wionego wzorca. Obojętnie — czy był-
by to wzorzec przedrzeźniony (BAJKA
O UŁANACH), czy też przyjęty z ca-
łym dobrodziejstwem inwentarza.
Przejmujący obraz tych wahań zawie-
ra wiersz UPALNE ŚNIEGI LATA
czy — jawnie Miłoszowski — REPOR-
TAŻ Z MITOLOGII.

Z perspektywy już podjętego wybo-
ru etyczną konsekwencję odrzuconej
możliwości rysuje NUREK KARTE-
ZJUSZA (ZIARNKO PIASKU):

Jeżeli spojrzysz z bliska na słój, zo-
baczysz w nim małego przezroczyste-
go człowieka, zanurzonego po usta w
wodzie. Przy dobrym świetle widać, że
człowieczek ma w sobie przezroczystą
banieczkę powietrza. Otwór słoja jest
przykryty rybem pęcherzem i szczelnie
związany. Kiedy ręka naciśnie pę-
cherz, mały człowieczek łapie łyk po-
wietrza i zanurza się pod wodę. Ręka
zwalnia ucisk — człowieczek znów po-
jawia się na powierzchni. Jeśli posłu-
chasz — usłyszysz jak przed każdym
zanurzeniem powtarza: cogito ergo
sum, cogito ergo sum.

Co należałoby zestawzić z następują-
cym fragmentem:

Czy zdołasz unieść, uratować, ocalić
Czy zdołasz wydobyć z siebie, wyprowadzić
poza głos, poza
Łuki triumfalne poetyk, poza śpiew chóru
i poprzez śpiew osobny
Głos twój najcichszy, nierozszczepialny
na atomy słów i języków, ludzki
Ten głos najczystszy, cichy jak krzyk krwi
w gardle umierającego
(** „Czy zdołasz unieść”,
ZIARNKO PIASKU)

NUREK KARTEZJUSZA to prze-
jrzysta alegoria manipulacji. Swoboda
działań „przezroczystego człowieka”
jest ograniczona, on sam wszakże, jak
się zdaje, pozbawiony jest świadomości
swojego statusu. Jego „cogito ergo sum”
byłoby heroiczne, gdyby łączyło się z
rozpoznaniem własnej sytuacji, jest jed-
nak tylko groteskowe.

Fragment drugi to właśnie świadom-
ość owych uwikłań. Wylamując się
ze „śpiewu chóru” podmiot ma cały
czas świadomość, że — być może —
„zdaży przed zamknięciem ust”; jest
to świadomość działania w sytuacji
wyjątkowej.

Wiersze z ZIARNKA PIASKU nale-
ży bowiem wpisać w ten nurt poezji
nowofalowej, który znalazł swój wyraz
w trzecim i czwartym tomiku Korn-
hausera; tyle tylko — że u Zajączka
brak jest „świadomości kombatan-
kiej”, to nie świadomość klęski, ale
przesunięcie aktywności na inne obsza-
ry.

Prawda, bezpośrednie odwołania są
tu rzadkością, z reguły sytuacja jawi
się na wysokim szczeblu uogólnienia,
niemniej jednak jest przejrzysta:

Ci, których ślad trwa jeszcze na morzu
przebity strzałą delfina
A także ci, którzy niespodziewanie zniknęli.
Ci, którzy
Wstali i wyszli. Ci, którzy pozostali. Ci
mijający siebie.
Mijający nas. I omijani. Ci, którzy nie
zostali odznaczani.
Odznaczani sobą. Ci, których pozostawiono
Nasze namysłowi. Wszyscy
Uważnie nasłuchujący ciszy. Pozbawieni
słów.
Ale i milczący. Wszyscy i każdy z nich. My
Którzy jesteśmy
Wyłączeni.

(KATALOG OKRĘTÓW)

Akcentujemy tu inne nieco cechy tej
poezji, niż te, które uchwycili dotych-
czas o niej piszący autorzy. „Zającz-
kowe «jeszcze nie jesteśmy wyłączeni»
— pisze Kazimierz Nowosielski —
bierze się z wiary, iż przyszłość i wy-
pracowane przez nią wartości nie zwol-
niły nas zupełnie z jeszcze jednej pró-
by odpowiedzi na to, jaki jest nasz
stosunek do tych dóbr duchowych, które
stanowiły o idealach ludzkiego po-
stępowania i które jego zdaniem, nie-
ustannie nas sprawdzają. Jest złudą
współczesności, iż przeszłość nie zmu-
sza nas do ciągłego konfrontowania
tego, co jest, z tym, co zostało jakoby
oddalone przez czas. Dzień dzisiejszy
nie może być jedynym miernikiem na-
szych czynów”. Ba, to prawda. Ale
prawdą o wiele istotniejszą jest to, iż
punktem wyjścia jest rzeczywistość
status quo. Historycznie (i społecznie)
zeterminowane doświadczenia są kon-
frontowane z doświadczeniami przesz-
łości, nie po to wszakże, by stwierdzić
ich tożsamość, co najwyżej — podo-
bieństwo. W KATALOGU OKRĘTÓW
nie idzie o wyłączenie z uniwersum
kultury, ale z publicznej obecności.

To prawda, odwrotną stroną tego
uczestnictwa jest bytowanie w świe-
cie wartości kulturowych, czy lepiej —
symbolicznych. W duchowym uniwer-
sum ludzkości. Jego czysty wzorzec
zawiera SCENARIUSZ (ZIARNKO
PIASKU):

Miejsce na brzegu. Piasek. Woda. Niebo.
Człowiek idący brzegiem. Ślady. Odcisk
stopy.
Na jego dnie ziarno piasku.
Zranione ziarnem powietrza. Równoważniki
zdań.
Zamykające się powieki morza.
Ten sen który umarli przekazują umarłym.

Rzecz jednak w tym, że nie są to wartości (i racje) niezawisłe; tak jak sfera świadomości nurka Kartezjusza nie kontaktowała się z jego zachowaniem, jego nie uświadomiony status nie wpływa na jego świadomość, tak zaufanie wartościom kulturowym może wyrodzić się w obojętność wobec tu i teraz. Świadomość kulturowa, podobnie jak świadomość autonomii sztuki, może być rezultatem manipulacji.

Jeśli tak można powiedzieć, zasadniczy dylemat tej poezji polega na pogodzeniu dwu pozornie sprzecznych imperatywów: konieczności reakcji na to, co niesie rzeczywistość i ocalenia kultury. Kultura zaś w tej poezji to nie tylko to, co odziedziczyliśmy, ale to, co stanowi nasz „głos najcichszy”.

Ja, człowiek
Urodzony w imieniu dwojga
Przecież pojedynczy, potem dopiero wspólny
Przecież osobny i z tego wzajemny
Przecież niewymienny i przez to kolejny.

(POROZUMIENIE, ZIARNKO PIASKU)

Osobowość zasadza się na niepowtarzalności doświadczeń biograficznych, psychicznych, ale także przeżycia kultury jako wartości. Wartości zagrożonej. Zagrożonej przez nieustanną degradację mitów. Przez to, że coraz większe sfery ludzkiej rzeczywistości wymykają się całościowemu poznaniu. Kultura, pojęta jako dziedzictwo, nie jako osobiste doświadczenie, jest także wartością sfunkcjonalizowaną, manipulowaną i służącą manipulacji.

Sprzeciw wobec języka idealnie przezroczystego, tego więc jaki formułowało hasło „mówienia wprost” zasadał się także na przeświadczeniu, iż nie jest on zdolny zawrzeć w sobie całości ludzkich (jednostkowych) doświadczeń, z konieczności nakierowuje się bowiem na to, co wspólne i socjalnie zdeterminowane. I żeby uchwycić tę całość należało oprzeć się o poetykę aluzji, symboli. O wypracowane już sposoby poetyckiego mówienia. Z reguły są one ujęte w nawias ironii, przedrzeźnione, kwestionowane, są jednak nieustannie obecne.

Podobnie jak mit, choćby zdegradowany (cykl Betlejem) pozostaje mitem — uniwersalnym dziedzictwem i nośnikiem sensów.

Oczywiście — podmiot tych wierszy znajduje się „w sytuacji niejasnej”:

Tuż przed niewidzialną granicą
Oddzielającą nieprawdziwą burzę
Od prawdziwego tła.

(MOŁO, ZIARNKO PIASKU)

Niejasność ta ma u swej genezy brak zakorzenienia. Podmiot „osobny i przez

to wzajemny” — jest w stanie utożsamiać się z wartościami, przekazanymi mu w dziedzictwie, które przeżył i przyjął za własne, nie zaś z tym, co jest. To, bowiem, w czym uczestniczy, nie posiada sensownej struktury. Odczuwane jest jako stan przejściowy, rzeczywistość, by tak rzec, tymczasową.

To już długo nie potrwa. Uwierzymy
wreszcie
W rację racji wystarczającej. Pozostawieni
Sam na sam ze słowami, których nie
pozbędziemy się tanio.
Zacznijmy wreszcie wierzyć, że nic znaczy
więcej niż nic.
Wreszcie można będzie zacząć żyć jak
człowiek.
To już długo nie potrwa, przyjaciele moi.

(to już długo nie potrwa,
ZIARNKO PIASKU)

Byłoby rzeczą nieprzyzwoicie prostą
przeciwstawić temu cytatu fragment
innego wiersza:

Została mu tylko nadzieja.
Ale czy nadzieja zostanie z nim?
(*** „Została mu tylko nadzieja”,
ZIARNKO PIASKU)

Rzecz wszakże w tym, iż czysta, suwerenna etyczność pierwszego fragmentu, wyrażająca niezgodę na współudział, jest równocześnie cokolwiek bezradnym wotum nieufności. Wyzwolenie, by tak rzec, przyjdzie z zewnątrz. W przejmującym wierszu ŚNIEG JAKO RZECZ NAZWANA sytuacja jest podobna, świat rzeczy (czy także wartości?) jest niepodległy gieldzie, przysługuje mu wszelako tylko atrybut istnienia.

Jak odległą polemikę z głośnym zdaniem Miłosza odczytujemy zdanie:

Wierzę w miłość, która nie ocali nie będzie
ocalona
Wierzę w miłość człowieka do człowieka
Która jest
Zaledwie.

(MODLITWA MATKI Z BETLEJEM,
ZIARNKO PIASKU)

I te wiersze współbrzmiały z przemianami, jakie się dokonały w poezji prominentów Nowej Fali. Zajączek, wbrew pozorom, jest jej reprezentantem. W poezji tej bowiem znajduje swój wyraz dramat generacji, wchodzącej do literatury na przełomie dekad, generacji, której ambicje wykraczały poza dążenie do przekształcenia kodów literackich. I to tylko chcieliśmy tu pokazać.

IV. 1980

PRZYPISY

¹ S. ZAJĄCZEK, [inc.] Książka, którą debiutowałem... W zbiorze Debiuty poetyckie 1975. Wybór, opracowanie i redakcja J. Leszin-Koperski, A. K. Waśkiewicz. Warszawa 1976, s. 89–90.

² S. ZAJĄCZEK, Świat nadal nieprzedstawiony. „Młoda Sztuka” 1975, nr 2, s. 2, dod. do „Nowy Medyk” nr 6.

³ Tamże.

⁴ Tamże.

⁵ Posłowie w zbiorze Teraz. Pod red. J. Leszina. Warszawa 1971, s. 28.

⁶ Dość wspomnieć tu poetów „orientacji lingwistycznej”.

⁷ J. SMOLKA, Repetycje z poetów. „Twórczość” 1976, nr 7, s. 123.

⁸ J. M. RYMKIEWICZ, Ieu sui Arnaut w zbiorze J. M. RYMKIEWICZA, Czym jest klasycyzm. Warszawa 1976, s. 9.

⁹ K. NOWOSIELSKI, „Nie jesteśmy wyłączeni”. „Nurt” 1978, nr 11, s. 31.

o poezji Stanisława Zajączka

1 Jeśli przyjrzeć się produkcji wydawniczej, nigdy jeszcze młoda poezja nie miała się tak dobrze. Wytyczne, które w odpowiednim momencie spłynęły z wyżyn, inaczej niż w przypadku kartofli i buraka cukrowego, sprawiły, iż rzeczywiście urodzaj zwiększył się niepomiaralnie. Arkusze i almanachy, plakaty i składanki każdy klub, miasteczko, grupa zawodowa pragnie mieć swoich własnych twórców. A jeśli dotąd nie ma — stworzy ich niebawem ku chwale pozytywnych sprawozdań z ukulturalnienia.

2 Żeby być młodym poetą nie trzeba dziś, poza wolą Bożą i mecenasem, niczego. Żadnych umiejętności; przemyśleń im mniej tym bezpieczniej, za tzw. natchnienie wystarczy młodzińczy przypływ hormonów lub w zależności od szkoły, tzw. zaangażowanie. Przypadki pośrednie stanowią cenę urozmaicenia i są oczywiście mile widziane.

Obowiązuje wiersz wolny, kalka z Różewiczowskiego wzorca, nieśmiertelne... „my z drugiej połowy dwudziestego wieku”, przefiltrowane już nie przez Małgorzatę Hillar, ale kolejnych kopistów i przedróżniaczy. Do pierwowzoru mało kto dociera, bo i po co. Własna wizja świata niepotrzebna — wystarczy pozytywny program, możliwe ogólnikowo, bo taki bezpieczniejszy. Własne realia zbędne, a nawet szkodliwe — jeszcze ktoś sprawdzi i będzie miał żal. Sylab liczyć nie trzeba, a to zawsze zakłóca proces tworczy. Akcenty — tych nie odróżniają nawet telewizyjni filolodzy, a cóż dopiero młodzi adeptci pióra. Ważne, że interes się kręci.

3 Żeby być królewiczem trzeba być synem króla. Żeby być kierowcą rajdowym trzeba mieć samochód, a często i prawo jazdy. Żeby zostać docentem, a zwłaszcza habilitowanym trzeba różne szkoły pokończyć. Jakaż więc recepta na życie ciekawe, usłane różami, urozmaicone, „ekskluzyw” i „hajlajf”? Zostaje jedna profesja nie wymagająca fatygi, a talent — toż adept poezji.

Musi tylko znaleźć mecenasa. Ten już dopieści, sfinansuje, wylansuje, zorganizuje konkurs o błękitną wstęgę (na którym nagród jest o jedną więcej niż uczestników), wydrukuje arkusz, ulotkę, broszurkę. Tym szybciej, że nie za swoje ani delikwenta pieniążki. Za nasze, czyli państwowe.

4 A za to jaka frajda! Bo przecież być nauczycielem, lekarzem, hydraulikiem czy panią z kasy to tak jakoś zwyczajnie i nieciekawie. Po latach można być tylko dyrektorem szkoły albo starszą panią z okienka. A być poetą — młodym i obiecującym — o jakież to piękne. Bo u poety cztery żony, jak zauważył Bursa, a z czasem i stypendium jakiegoś się znajdzie i uznanie społeczne wyrażone dyplomem na brystolu, na który można nabrać piątą żonę. I zawsze to ktoś; ciekawe wnętrze, perspektywy, „hajlajf”. Zupełnie jak śp. Michorowski, tyle że bez wąsika. Tak oto rodzi się poeta gminny. Zupełnie jak u Wieszcza było, tyle że częściej i chętniej.

STANISŁAW ZAJĄCZEK

MŁODA POEZJA — PROBLEMY WYDAJNOŚCI Z HEKTARA

5 Obok tych matadorów, tuzów poetyckiego rynku są jeszcze inni. Matador, by zaistnieć, potrzebuje nie tylko byka na skłucie i aplauzu tłumu. Trzeba mu jeszcze świty, jak piosenkarzowi chórk do tła. Nie mogą być lepsi od lidera, muszą dawać posłuch i zdobywać dalsze miejsca w konkursach. I tacy się znajdują. Zwykle wśród skompleksiały, walczących z depresją czy nerwicą, kompensujących sobie szarości codziennego bytowania poetycką psychoterapią. Autorów tekstów upstrzonych wielokropkowymi westchnieniami. Oni chętnie przyjmą duchowe wsparcie. Potrzebują przecież uznania, poparcia, psychicznego autorytetu.

6 Nimi wszystkimi zajmie się mecenas. Mecenas formalnie bywa instytucją, a praktycznie jest to człowiek. Człowiek przez duże C, taki co nie zaśnie wieczorem, zanim nie odnajdzie, nie wskaże, nie wylansuje. Animator kultury, który napisze sążniste sprawozdanie. Ongisiejszy pisarz, który podpira własną pozycję w środowisku. Wytwarza się więc symbioza, jak krab pustelnika i ukwiału. Mały raczek jest bezpieczny, a ukwiał i pożywi się i do przodu posunie. Spotyka się czasem układ inny. Autentyczne talenty i autentycznych mecenasów. Ale talenty, jeśli nawet wsiadają do literackich ekspresów wysiadają z nich równie szybko. Wolą poruszać się wolniej, ale własną drogą i sposobem. A autentyczni mecenasi, pisarze, którym zależy na młodych, a nie na ich partykularnej działalności, też zwykle wolą działać — i społecznie, bo bez honorarium i prywatnie, bo poza klubami i instytucjami.

7 Dobrze jest być młodym poetą. Młodym poetą, który zaistniał, a potem istnieje aż do zupełnego upojenia. Konkursów do wygrania wystarczy na dożywocie. Ma się jakieś tam wpływy, układy, możliwości. Recenzję napisze młody debiutujący krytyk — jeden z adeptów grupy, w któ-

rej nasz bohater jest liderem. To już nie jemu, to on będzie redagował niskonakładowe arkusze, wręczał dyplomy, zasiadał w konkursowych sądach. A ci którzy mają coś przeciw, to w zależności od zabarwienia grupy albo źle zaangażowani, albo nudni zdegenerowani filolodzy, albo filistrzy, którzy z prawdziwej sztuki nie zrozumieć przecież nie mogą. Ocena społeczna — po co? Młody poeta swój kredyt zaufania pobiera z góry. Jako bezpieczny spadek po wieszczach.

Prawdziwy rozkwit przeżywa również mecenas. Jego sprawozdania rozkwitają jak zielone łąki. Stopień ukulturalnienia na kilometr kwadratowy naszego terenu rośnie z dnia na dzień, i to nie dzięki jakimś tam dyskotekom. Dzięki prawdziwym twórcom. Zamiast kolejnej książki, której nie zdążył napisać serwuje aż trzy almanachy. Nawet, jeśli nikt ich nie czyta, on jest bezpieczny — był tylko redaktorem. A i grosik czasem jakiś wpadnie, ale o tym ludzie kulturalni nie rozmawiają.

Wszyscy gdzieś idą, coś robią, mają jak to się mówi, do przodu. Na placu zostaje chórek, ci wszyscy z tła. Wracają do swojej codzienności, a ona jeszcze smutniejsza, jeszcze bardziej skompleksiała. Czasami trafiają na odwyk, leczyc się z artystycznych nawyków. Poszukiwani przez wierzyliki, bądź kolejne żony żądne alimentów, błądzą gdzieś z konkursu na konkurs, z klubu na festiwal, a z festiwalu bywa, że w ślady Rafała Wojczaka. Ale to już nieważne, bo na ich miejsce przychodzą nowi. I procent ukulturalnienia rośnie. Ktoś zresztą musi płacić kosza.

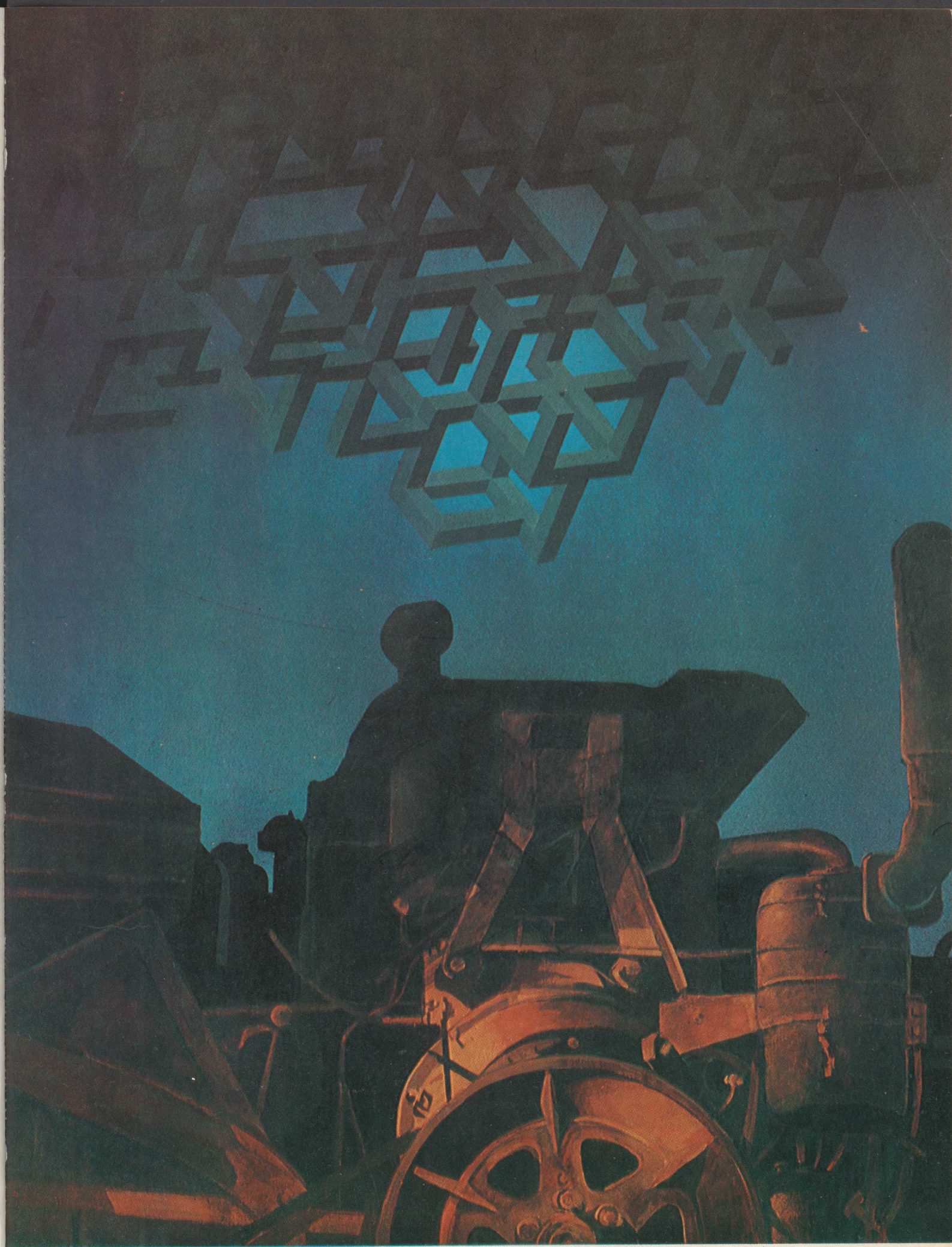
8 I dożyjemy wreszcie czasów kiedy wszyscy będą młodymi poetami. Szklanych domów nie będzie, zdominuje nas wielka płyta z arkuszy poetyckich prasowanych po sto. Oddziały nerwiczne wypełnią się niedocenionymi twórcami, wśród nich znajdzie się niejeden prawdziwy poeta. Los instruktorów od poezji będzie straszny; zostaną im tylko opuszczone, na kolejnych etapach artystycznego rozwoju, żony i kochanki młodych niedocenionych, a tego najbardziej rzutki animator długo nie przetrzyma. Spasują. W końcu spasują. I wtedy dobry Bóg stworzy świat od nowa. A mówiąc słowo, zostanie poetyckim debiutantem. Tylko gdzie wtedy znajdzie swego mecenasa?

9 Ktoś powie — przesada. Być może. Nazwiskami służyć czasem znajomym psychiatrom.

Ktoś powie — zawsze była selekcja. Ale koszta — finansowe i społeczne — ponosił zainteresowany, co dość skutecznie działało na wielu niezdecydowanych.

Ktoś powie — to konieczne. Ze stu i miliona jeden się Konrad narodzi. Ale wieszczę jakoś wolą miejsca mniej zatłoczone.

Ktoś powie — to zazdrość i złość zapiekła. I będzie miał rację. Więc dedykuj ten felieton niestrudzonemu animatorowi niespożytej młodej poezji gromadnej. Nie zrażajcie się chłopcy. Przyszłość i tak należy do was, nie do mnie.



KRZYSZTOF KIWERSKI — „Zwiastun”, olej, płótno, wł. Muzeum Narodowego w Szczecinie. Obraz nagrodzony na VII Festiwalu Polskiego Malarstwa Współczesnego w Szczecinie w 1974 r.

Fot. Z. Ryngwelski



KRZYSZTOF BUCKI — „Spacer”, olej, płótno, wł. Muzeum Narodowego w Szczecinie

Fot. Z. Ryngwelski

**Z TEKI KLUBU
KRYTYKÓW
I RECENZENTÓW
LITERATURY
MORSKIEJ**

JAN TUCZYŃSKI

**ANTOLOGIE
MARYNISTYKI
POLSKIEJ**

W latach 1937—1975 opublikowano w Polsce siedem antologii marynistyki polskiej, a oprócz tego kilka z marynistyki obcej (niemieckiej, bułgarskiej, szwedzkiej). Jest to bardzo poważny dorobek, który pod względem ilościowym stawia nas na pierwszym miejscu w Europie... Warto zatem bliżej przyjrzeć się temu dorobkowi, odczytać go i ocenić w perspektywie prawie czterdziestu lat.

Nasuwa się od razu pierwsze pytanie: dlaczego tyle antologii? Czy to tylko zapotrzebowanie czytelnicze? Nie tylko — choć te antologie znikają szybko z półek księgarskich — wchodzi tu w grę jeszcze inne okoliczności. Przede wszystkim poszukiwanie idealnego modelu antologii — tzn. w takim wyborze i układzie tekstów, który by zaspokajał wymagania również koneserów marynistycznej literatury czy nawet inteligentnych miłośników literatury w ogóle, nie zainteresowanych specjalnie marynistyką. Spróbujmy zatem określić ten poszukiwany, ów idealny model antologii marynistyki polskiej. Dwie drogi prowadzą do tego celu: pierwsza — to wyróżnienie indywidualnych, tzn. pokoleniowych, elementów antologii i ich cech artystycznych, druga — to ustalenie stosunku do tradycji, czyli przejętego dziedzictwa i odrzuconego spadku doświadczeń. Wchodzi tu w rachubę jeszcze okoliczności natury czysto technicznej i edytorskiej: sposób wykonania konstrukcji antologicznej, a więc: wybór, podział tekstów wykonany według odpowiednich i konsekwentnie zastosowanych kryteriów wartościowania czy oceniającej klasyfikacji. Bo antologiczne organizowanie materiału tekstowego winno uwypuklić, w tematycznym i gatunkowym profilu, najbardziej indywidualne, a zarazem typowe cechy zjawisk literackich, które winny funkcjonować w antologii jako całościowa i klasyczna egzemplifikacja prądów, okresów, szkół itp. Tak skonstruowana antologia nie jest rejestrem inwentaryzacyjnym, lecz jest przekazem ideowych i artystycznych wartości reprezentatywnych dla tych prądów, okresów, szkół, pokoleń, a zarazem ogniwem w ciągu antologicznego dorobku.

Według tak określonego modelu opracowane zostały pierwsze cztery antologie: W. Pniewskiego (MORZE I POMORZE W PIEŚNI, 1931), Z. Jasińskiego (MORZE W POEZJI POLSKIEJ, 1937), J. Stępowskiego (MORZE, 1954) i K. Kochanowskiej (KSIĘGA MORZA, 1963, na pr. rkp).

Z numerem dzisiejszym wprowadzamy stałą rubrykę pod wymienionym tytułem, w której umieszczać będziemy artykuły krytyczne i recenzje z bieżącej literatury morskiej (z wyjątkiem prac technicznych i ekonomicznych) ze szczególnym uwzględnieniem literatury marynistycznej. Do Klubu należą pisarze, pracownicy naukowcy i redaktorzy ze Szczecina, Koszalina, Trójmiasta, Torunia i Warszawy interesujący się problematyką morską w różnych aspektach humanistycznych. Klub przeniesiony został, z końcem ubiegłego roku, z Gdyni do Szczecina i mieści się przy Szczecińskim Towarzystwie Kultury, posiada jednak pełną samodzielność organizacyjną. Prezesem Klubu jest dr Stanisław Telega.

Te pionierskie antologie zgromadziły bogaty i cenny dorobek materiałowy, wniosły doświadczenia w zakresie wyboru i organizowania tekstów, zaprezentowały kilka możliwości edytorskich, a co najważniejsze, określiły we wstępach reprezentowaną przez siebie świadomość marynistyczną, poprzez wyłożenie ideowo-programowych celów czy założeń.

I tak pierwsza, jak już sam tytuł wskazuje, ukierunkowana na tematy pomorsko-kaszubskie jest kontynuacją założeń WIATRU OD MORZA S. Żeromskiego, odzwierciedla: historyzm, regionalizm i piastowsko-bałtycką wizję morza. Nawiązuje szeroko do tradycji młodopolskich. Każde zdanie wstępu i każda pozycja potwierdza, że to dzieło wyszło spod ręki znakomitego znawcy przedmiotu i wielkiego miłośnika morza i Pomorza.

Druga antologia apoteozuje *mare nostrum*, żeglarskie i marynarskie zżywanie się z morzem, budowę portu w Gdyni jako symbolu materialnej i duchowej wolności narodu polskiego. Ale we wstępie czytamy:

„W antologii tej jednak nie należy szukać tylko tak zwanego polskiego morza. Nie o Bałtyk chodziło mi, lecz o morze w ogóle, nie o wąski skrawek polskiego Wybrzeża, lecz o wiejące poprzez gdyńskie wrota, a przeczuwane najdawniejszymi tęsknotami — szerokie, tęgie tchnienie oceanicznych wiatrów. O poezję pulsującą rytmiki fal, rozkołysanych szlaków wodnych, poezję morską dna, serc marynarskich wreszcie. Chodziło mi przede wszystkim o tę marynistykę istotną, na chleb nie zamienioną”.

Pojawia się tu zatem po raz pierwszy refleksja teoretyczna na temat cech gatunkowych literatury marynistycznej. Refleksja oczywiście dyletancko sformułowana, ale przecież po marynarsku — prosto i jasno, bez rozszczepiania włosa na dziesięciuro.

Widać w tej antologii dążenie do połączenia ideologii i uczuciowości WIATRU OD MORZA z wizją morza Conradą, dążenie do dzieła literatury marynistycznej jako produktu zawodowego obcowania z morzem, które kształtuje osobowość człowieka morza i wyobraźnię marynarską.

Trzecia antologia odzwierciedla wielki zwycięski bój z hitleryzmem o piastowskie wybrzeże i pracę nad jego odbudową.

Apeluje: *„...aby problem morza stał się jak najrychlej dla całego narodu nie tylko problemem odświeżających zainteresowań, lecz troską życia codziennego, jednym z czołowych zagadnień naszego bytu narodowego”.*

Czwarta antologia E. Kochanowskiej chce „uwypuklić, jakim przemianom uległ stosunek poetów do tematu «morze» i jak z motywu dekoracyjnego stało się ono obecnie nierozważną częścią dzisiejszego życia”.

To zwięzłe sformułowanie — z przedmowy — wyraża zarazem istotny pokoleniowy postulat, zawarty w deklaracji każdej z poprzednich antologii, dzięki czemu każda z nich reprezentuje jednolity, wciąż ten sam, ale z każdym pokoleniem inny zarazem model i składa się na rozwojowy ciąg, odzwierciedlający etapy ideowo-programowych i artystycznych dążeń trzech generacji marynistów, przedzielonych cezurami dwóch wojen światowych: pierwszej, która przyniosła odzyskanie niepodległości wraz z dostępem do morza i drugiej, która przyniosła odzyskanie piastowskiego wybrzeża.

Ta morska paralela dwóch przełomów dziejowych kształtuje i tłumaczy pokoleniową strukturę świadomości marynistycznej. Funkcjonuje w niej mit morza jako symbolu materialnej i duchowej wolności narodu, pojawiający się w ciągu polskich antologii marynistycznych niby dziedzictwo „wieści gminnej”, w której:

...lud składa broń swego rycerza,
Swych myśli przedzę i swych uczuć
kwiaty.

Założenia piątej antologii K. L. Proroka, pt. POECI I MORZE (1969) odczytujemy w jej wstępie:

„Tematyce morskiej przypisujemy — nie tylko w Polsce w obecnej dobie — szczególne wartości wychowawcze... Antologia apeluje zatem o uznanie tematu morskiego w poezji naszej za zjawisko jednego z ważnych jej nurtów, a nie marginesów”.

By wykonać te założenia autor odstępował od tradycyjnego modelu antologii, a decyduje się dać rozwojowy obraz tematu morza w liryce współczesnej. O wyborze tych zjawisk decyduje wysoka ranga artystyczna i równocześnie szeroki krąg odbiorców.

W porównaniu z poprzednimi deklaracjami oznacza to przewartościowanie tradycyjnego modelu antologii, polegające na uwypukleniu w profilu tematycznym batalistyki, rozbudowy portów, stoczni i miast wybrzeża, pracy w zawodach marynarskich, wreszcie twórczości w przymorskich regionach. Stąd też profil ideowy i gatunkowy tej antologii jest zharmonizowany, historycznie autentyczny i odpowiada swoją tendencją głównym nurtom twórczości marynistycznej, z powieścią historyczną i rozmaitymi odmianami prozy narracyjnej. Właśnie nacisk tej rzeczywistości jest widoczny w doborze tekstów antologii POECI I MORZE, która dlatego bardzo często odstępowała od przyjętego wzorca liryki, a nawet, jak w przypadku bajki MYSZ OKRĘTOWA, od liryki jako rodzaju w ogóle. Stąd też linia rozwojowa liryki współczesnej, przesuwająca się przez półtora wieku, jest mimo zapowiedzianych ograniczeń — gęsto wypunktowana lirykami refleksyjnymi o tematyce historycznej. Ta właśnie elastyczność i rozpiętość, która w doborze liryków dąży do zaprezentowania każdego gatunku i w każdym temacie, jeśli te tylko odpowiadają kryterium wysokiej rangi artystycznej charakteryzuje zastosowany w praktyce wzorzec liryki marynistycznej. Takie rozwiązanie problemu modelu w ciągu rozwojowym antologii, jest odbiciem pogłębiającej się świadomości estetycznej pokolenia, przez zwrócenie uwagi na cechy językowo-stylistyczne, na „morską prawdę utworu”.

Z przyjętym kryterium wysokiej rangi artystycznej łączy się pewne postulaty dotyczące konstrukcji antologii, zwłaszcza układu wybranych liryków. Poprzednie antologie zastosowały przeważnie podział tematyczny i rzadziej gatunkowy. Ciąg w antologii „Poeci i morze” uporządkowany według dat urodzeń autorów, ma więcej niedostatków niż zalet. Jeśli antologia zapowiada wysoki artystyczny, zatem winny być wyodrębnione okresy literatury. Można się było pokusić o podziały gatunkowe i regionalne, marynarskie i sportowo-żeglarskie.

Szóstą antologią Jerzego Mazurczyka GŁOSY MORZA (1973) zawiera wybór małych gatunków prozy. W „Słowie wstępnym” autor zapowiada, że ta antologia: „jest szczególnym zwierciadłem dokumentującym naszą obecność na morzu — mimo że nie to było decydującym kryterium w doborze tekstów”.

Tę zapowiedź uzupełnia autor przez dalsze kryteria wyboru, jak relacja: człowiek—morze, prawda artystyczna, „literacko zamknięta całość”. Te założenia wyboru składają się w sumie na wieloznaczne kryteria, które przypisują samemu autorowi, już tylko w teoretycznych ujęciach, o zasadnicze kłopoty i kompromitujące sprzeczności, np. w podtytuł antologii czytamy: *Antologia polskiej noweli morskiej* — a na str. 21... „Oczywiście w żadnym wypadku nie idzie tu o... «nowelę» w XIX-wiecznym rozumieniu, o jakąkolwiek czystość gatunku”.

W ten sposób Mazurczyk umyślnie rezygnuje z „akademickich sporów”, pomija całkowicie konieczność zaopatrzenia wstępu przynajmniej w orientujące czytelnika uwagi o języku, stylu i kompozycji wybranego materiału tekstowego.

Ten najważniejszy obowiązek zbywa albo zastępuje oklepaną frazeologią, np.: „Wybuch drugiej wojny światowej w sposób istotny zaważył na dziejach narodu i jednostek”; „Są narody od wieków żyjące nad morzem i z morza”; „Nie jesteśmy narodem morskim, jak to chcieliby widzieć entuzjaści spod opaczego i przebrzmiałego znaku «naród w służbie morza»”. „Nie jesteśmy narodem morskim, bo nasze morze zawsze będzie tylko jakąś częścią życia kraju, a nie wyznacznikiem historii i wszelkich poczyną” (19). „Nie ryzykowałbym na razie twierdzenia, że nasza literatura marynistyczna ma swoje polskie właściwości”.

Sam wybór i układ tekstów w antologii nie budziłyby żadnych zastrzeżeń, gdyby J. Mazurczyk dokonał jakiegoś podziału, jakiegoś uporządkowania tematycznego czy gatunkowego, a nie pozostawał przy kolejności chronologicznej, która daje — jak to zwie autor — „mozaikową panoramę losów Polski na morzu”. To określenie jest całkowicie sprzeczne z pojęciem antologii, która oznacza zbiór utworów przeważnie poetyckich jednego okresu, ale różnych autorów. Obowiązuje odpowiednia systematyka i klasyfikacja, które składają się na organiczną całość, nawet strukturę antologiczną. Tymczasem w wykonaniu GŁOSÓW MORZA mamy do czynienia z indywidualnie celnie dobranymi utworami, ale błędnie usytuowanymi w całości z powodu braku podziału według tematów, np.: batalistyka, praca na morzu, porty itd.

Jeszcze jeden zasadniczy brak w opracowaniu. Każda nowela, opowiadanie czy reportaż winna mieć swoją „metrykę”, tzn. autora, datę i okoliczności napisania, krótką charakterystykę... Taka metryka może poprzedzać nowelę (tak robią Anglicy) albo następować po noweli czy wreszcie w podtekstowych przypisach. Niezależnie od tej metryki tekst winien być filologicznie opracowany, zwłaszcza jeśli jest przeznaczony dla szerokiego kręgu czytelników.

Edytorska strona omawianej antologii również nie jest w porządku. Materiał stłoczony, format książki za mały, nie podano pierwodruku ani źródła przedruków.

Wreszcie sam tytuł jest nieodpowiedni, jakoś archaicznie spersonifikowany i właśnie w stylu „opaczego światopoglądu” — mówiąc za autorem. To właśnie licytowanie się z krytyką międzywojennej marynistyki jest jeszcze jednym przyczynkiem do wartości antologii, która jest daleka od wymagań współczesnego czytelnika, ponieważ jest tylko chronologiczną inwentaryzacją, a nie konstrukcją.

Siódma antologia Zbigniewa Jankowskiego (1977) pt. MORZE U POETÓW nawiązuje ideowo i konstrukcyjnie do swojej poprzedniczki sprzed kilku lat, do antologii L. Proroka POECI I MORZE (1969). To nawiązanie jest wielorakie, upoważnia nawet do stwierdzenia, że POECI I MORZE to model przyjęty do antologii MORZE U POETÓW. Pomijając lirykę jako zawartość tych dwóch wyborów wymienimy tylko: zbieżność autorów reprezentowanych, zasadnicze przesunięcia do twórców okresu powojennego, układ tekstów w porządku chronologicznym, kryterium wysokiej rangi artystycznej. Są pewne różnice: Prorok, wytrawny znawca historii marynistyki, uwzględnia człon historyczny, od romantyzmu przez Młodą Polskę, okres międzywojenny; przesuwa w doborze ideę ciągłości i jedności marynistyki do okresu powojennego, do najmłodszego pokolenia, urodzonego już w Polsce Ludowej. Jankowski amputuje romantyzm, Młodą Polskę i w zasadzie okres międzywojenny. Wprawdzie jest kilku przedstawicieli okresu międzywojennego (Iwaszkiewicz, Przyboś, Brzękowski, Słonimski), ale wszystkie utwory pochodzą z lat 1964–1974, czyli autorowi chodziło o prezentację wizji morza ukształtowaną dosłownie w ostatnim dziesięcioleciu. I to są rzeczywiste ramy chronologiczne omawianej antologii! Czyż zatem tytuł MORZE U POETÓW znaczyłby, że „poeci morza” pojawili się w Polsce dopiero po roku 1964? Czyż z takiego krótkiego okresu można wnosić czy mówić o reprezentatywnej wizji morza? Kto poręczy, że wszyscy dobrani autorzy są poetami? A może ich ogromna większość okaże się tylko przypadkowymi wierszopisarzami.

Z tym łączy się kłopotliwy problem — poetyckiego przeżycia morza jako przeciwieństwa „doktrynalnych zawężeń marynistyki”, swoistej swobody twórczej i prawa — według autora antologii — do kształtowania wizji morza w wyobraźni czytelnika. A przecież nauka dawno dowiodła (już od Cassira), że sprawa wizji morza, przeżycie morza, wyobraźni morskiej nie jest sprawą tylko indywidualną, ale jest funkcją albo archetypu, albo wytworem kręgu kulturowego, którego dziedzictwo kształtuje nasze przeżycia: świata, śmierci, miłości, morza, kosmosu. To, co dzisiejsi uczestnicy antologii mówią o morzu, jest spadkiem wypracowanym przez kilka generacji poetów polskich i innych narodów. Marynarze-maryniści i marynarze-pracownicy morza nie akceptują poetyckiej wizji morza, chyba że pochodzi ona z zawodowego obcowania z morzem, z takiego wzorcowego skojarzenia jak Conrad-kapitan i Conrad-geniusz. Polska marynistyka dorobiła się już własnej wizji morza, wymienimy tylko: Borchardta, Romanowskiego, Bielskiego, Papuge, Rychlińskiego, Salińskiego. Autor wstępu, jeśli zamierzał zaproponować jakieś nowe spojrzenie na morze czy w ogóle formy przeżycia tego morza, winien najdokładniej przestudiować wszystko, co na ten temat napisano. Wtedy dopiero mógłby zakwestionować błędy, mistyfikacje doktrynerskie i inne zawężenia, i z kolei postawić swoje wnioski czy ujawnić odkrycia. Tymczasem widać z tego, że autor piąte przez dziesiąte coś przeczytał i z iście „poetycko-genialnym” zamachem rozprowadza się z jakimiś doktrynerami czy doktrynami.

STANISŁAW TELEGA

MAŁA PANORAMA RYBACKIEGO ŚWIATA

Badając w latach sześćdziesiątych tematykę bałtycką, a ściślej biorąc — rybacką, we współczesnej naszej literaturze, patrzyłem z pewnym żalem na duży obszar środkowego Pomorza jako na region prawie pustoty literacko, jeśli chodzi o tematykę literacką. Bo przecież sąsiedzi tego słowińskiego Pomorza, zwłaszcza region gdańskiej Kaszubszczyzny z jednej strony i szczytno-przymorski z drugiej, dawno już obrosły, względnie obrastają w tego rodzaju literaturę.

Szczególnie eksponowany literacko był pod tym względem region kaszubski, mający już na swym literackim koncie wiele ciekawych pozycji poczynając od Artura Gruszeckiego i jego powieści „*Tam, gdzie się Wisła kończy*” (1903), następnie powieści i opowiadania J. Bandrowskiego, M. Jarosławskiego czy M. Zydlera, a na powieściach Necla i Znamierowskiego skończywszy. Co więcej, ten właśnie region rybacki stał się terenem literackich penetracji czterech trylogii rybackich: M. Brzeskiej („*Sprawa gminy Ceynowy*”), N. Rydzewskiej („*Akwamaryna*”), Necla („*Kutry o czerwonych żaglach*”), J. Znamierowskiego („*Wulkan AG*”), żeby wymienić tylko tytuły pierwszych tomów tych trylogii.

Region szczytno-przymorski również znalazł swoich pisarzy zajmujących się tematyką rybacką, najpierw w nieudanej powieści M. Bonieckiej, potem częściowo w reportażach literackich K. Błahija i Fr. Gila, następnie w opowiadaniach Cz. Schabowskiego i niektórych powieściach Cz. Czerniawskiego. Co w tym zestawieniu literackim miało Pomorze Środkowe, które weszło przecież najwcześniej do naszej lite-

ratury właśnie opowieścią o słowińskich rybakach w utworze M. Parczewskiej pt. „*Nad morzem*” już w roku 1893? Otóż poza paru przygodnymi opowiadaniem koszańskich pisarzy, właściwie nic.

Dlatego tym większą niespodzianką było pod koniec lat sześćdziesiątych ukazanie się zbioru reportaży Józefa Narkowicza pt. „*Powrót na sobotę*” (1968). Był to sumiennie zebrany zapis reporterski z życia rybackich osiedli, miast i miasteczek środkowego Pomorza, zwiły w swoim socjologicznym sondażu i dojrzały w literackim wyrazie. Prawie w dziesięć lat później wydał Narkowicz drugą reporterską książkę na podobny temat pt. „*Rejsy bez pożegnań*” (1977). Trzeba podkreślić, że w książce tej Narkowicz pogłębia omawiane zagadnienie przez pokazanie dwóch różnych światów rybackich nad Bałtykiem: tradycyjnego, kaszubskiego — i to poczynając od samego krańca wschodniego Bałtyku na Mierzei Wiślanej oraz tworzącego się dopiero nowego świata na środkowym Pomorzu, nie obciążonego tradycją, żywiołowego, o dużej przebojowości, jaką daje wyjście z małorolnych rodzin czy też trudnych warunków w miastach na śródlądowym obszarze kraju — do świata wielkich, potencjalnych możliwości zarobkowych i hazardu życiowego. Bo, jak słusznie zauważa autor — „...Rybołówstwo zawsze będzie wciągać ludzi ciekawych i upartych, bo jest to polowanie, a może rodzaj hazardu”.

Dlatego też nad morze, do rybołówstwa i właśnie tu, w pierwszych powojennych latach środkowego Pomorza ściągali ludzie najprzeróżniejsi — chłopci, robotnicy, nawet nauczyciele i tu formowali pierwsze osiedla, wsie i miasteczka, walcząc często w sposób niewiarygodny nie tylko z morzem na właściwych wodach Bałtyku, ale także na przy-morskim terenie, gdzie trzeba było budować przystanie rybackie, czy z wydymami lub wdzierającym się w ląd morzem. Może dlatego życiorysy tych ludzi są ciekawe, pociągają autora najwięcej, toteż śledzi je z pasją w różnych nadmorskich Rowach, Darłowie, Ustce czy Jarosławcu.

Jednocześnie dostrzega coraz większe zróżnicowanie zawodowe rybaków, w zależności od tego czy są łodziowymi czy też kutrowymi rybakami, a wśród tych ostatnich w zależności od wielkości kutra i jego technicznego wyposażenia. Stwierdza też postępujące nieuchronnie coraz większe zatłoczenie Bałtyku, zmniejszanie się rybostanu i co najważniejsze — zmniejszanie się atrakcyjności zawodu rybaka, szczególnie wśród młodych kandydatów do tego zawodu.

„Jak drugi brzeg” — stwierdza w reportażu „*Drugi brzeg*” — w którym widzi się więcej aniżeli się potem doznaje, którego się oczekuje, aby doznać potem rozczarowania”.

Z ciekawością więc bierzemy do ręki trzecią książkę Narkowicza, która ukazała się na rynku księgarskim w 1980 r. pt. „*Wzdłuż brzegu*”, poświęconą również tym samym zagadnieniom rybackim^{*)}. Jak sugeruje sam tytuł, jest ona spojrzeniem z najszerszego brzegu, od ujścia Wisły i jej osad — Świbna i Mikoszewa — aż po szczytny Dziwnów, na te same w zasadzie sprawy, co w poprzedniej książce. Lecz jest spojrzeniem głębszym i ambitniejszym dzięki wnikliwej konfrontacji różnych okresów i różnych światów rybackich. Oczywiście, jest to przede wszystkim konfrontacja gdańskiej Kaszubszczyzny i środkowego Pomorza, pogłębiona jednak przez pokazanie procesów wzajemnego przenikania się tych dwu krańcowych środowisk w pewnych okresach kryzysowych w rybołówstwie bałtyckim i konfrontacja przemian w technice połowów oraz wynikających stąd przemian w samym zawodzie, spowodowanych zwiększającym się napięciem nerwowym, nieznanym dotychczas w tej profesji.

Oczywiście, najwięcej zapisów reportaży poświeconych jest środkowemu Pomorzu, najlepiej znanemu autorowi. Dotyczą one losów i awansu życiowego rybaków z Dźwirzyna, Ustki, Darłowa, Łeby czy Kołobrzegu. Ludzi dzielnych, upartych, dorabiających się ciężką pracą odpowiednich stanowisk w kutrowych hierarchiach rybackich oraz pewnego dobrobytu. Ale autor pokazuje też losy ludzi związanych z Bałtykiem poprzez Słowiński Park Narodowy albo ludzi nietypowych w rybołówstwie, jak np. rybaków, którzy wprawdzie łowią od czasu do czasu, ale wolą hodo-wać norki, gdyż przynosi im to większe dochody, albo takich, którzy po uzyskaniu stanowisk przechodzą na prywatne łowienie. Znajduje też takich, którzy wprawdzie łowią, ale więcej zajmują się pisanem wierszy, opowiadań, utworów scenicznych czy „kobylistych” powieści, choć, jak na razie, niewiele mają do powiedzenia w literaturze.

Mamy więc w tej książce całą mozaikę ludzi, środowisk i losów ludzkich, małą panoramę życia rybackiego nad Bałtykiem wraz z jego cieniami i nielicznymi blaskami. Jest wreszcie ta książka, penetrująca niemal wszystkie ważniejsze sprawy bałtyckiego świata rybackiego, kapitalnym dokumentem awansu i rozwoju tego świata. Brak w niej natomiast zapisów dramatycznych czy konfliktowych losów jednostek lub grup społecznych i w związku z tym brak pewnej problematyki moralnej, wynikającej z tych konfliktów społecznych. Tam, gdzie się to zdarza, np. w „Kompromitacji”, reportaż zamienia się w opowiadanie, a więc już w literaturę. Oczywiście i reportaż może poruszać zagadnienia moralne, co więcej — nadają mu one szczególnej wartości i wyróżnienia, ale przez swą dosłowność i jednoznaczność utrudniają i w większości przypadków uniemożliwiają pokazanie pełnej prawdy o jakimś zjawisku czy zagadnieniu. Dlatego sprawy moralne są raczej domeną właściwej literatury, w której losy człowieka, oparte nawet na najbardziej realnych faktach, rozgrywane są w kategoriach fikcji artystycznej i uogólnień.

Narkowicz jest dziennikarzem z zawodu, ale pisarzem z zamiłowania i wyboru, dlatego większość jego prac nosi literacki charakter. I to właśnie nadaje im szczególną wartość. Nieprzypadkowym też wydaje się takie oto jego spojrzenie w szkicu „Portrety”, choć pisze w nim nie o sobie, lecz o kimś innym, o przygodnym rybaku.

„Zdaje sobie sprawę z tego, że w nim samym i wokół niego leży materiał na opowiadania, na powieść. Na książkę, która byłaby zwierciadłem współczesnych rybaków. Czy z tego pisania będzie literatura? Może tylko świadectwo pracy i życia człowieka, przekazane własnym dzieciom i najbliższym”.

Chyba się nie pomyliłem czytając te słowa, że odnoszą się one również do samego autora „Wzdłuż brzegu” i że jedną z najbliższych jego książek będzie powieść lub zbiór opowiadań na temat współczesnych rybaków nadbałtyckich.

*) JÓZEF NARKOWICZ — Wzdłuż brzegu. Wyd. I. Wyd. Morskie. Gdańsk 1980, str. 160

HENRYK SZEGŁOWSKI

NA RACHUNEK MORZA

Trafił do rąk moich (żałuję, że tak późno) 149-stronicowy, starannie w płótno obleczone, tom wierszy „wybranych i nowych” Zbigniewa Jankowskiego o śpiewnym tytule ŻYWIÓŁ WSZELKI edycji Wydawnictwa Morskiego w Gdańsku. Poprzedzająca ów „ŻYWIÓŁ” notka biograficzna, rysuje przed czytelnikami ruchliwą sylwetkę autora i zapewnia, że pomieszczone w zbiorze wiersze, „zwrócone są swoim głównym nurtem ku szeroko rozumianemu morzu”, co ma tłumaczyć charakter twórczości autora.

Mając słabość do morza i wszystkiego co z nim związane, ochoczo zabrałem się do czytania. I oto... przykre rozczarowanie. Morze — wbrew poważnemu zapewnieniu — nie tylko nie jest tu „szeroko rozumiane”, ale najwyraźniej — w ogóle nie rozumiane! Istnieje ono w poszczególnych utworach tylko pod sofistycznymi szyldami, na tle których autor zestawia puste — przeważnie — słowa, co bez większego trudu, ot, tak dla zabicia czasu, każdy człowiek potrafi, nawet ten, co morza nigdy nie widział.

Snit mi się samolot-rakieta —
trumna lecąca nad oceanem,
która nagle spadła w morze (...)
(Spotkanie z matką, s. 332)

Przenikaliśmy się
jak zwierzę z lasem, ryba z wodą (...)
(tamże)

Twoje cierpienie jest
od moich przenośni — mądrzejsze
mórz nakładanych jak
prześcieradła (...)
(Homo patiens, s. 328)

Tak oto autor, dotykając różnych tematów, snując rozmaite refleksje — żeby nie powiedzieć ich strzępy — to tu, to tam wplata terminy: morze, ocean, woda, fala, sztorm, burtę, czy wreszcie rybak, nurek, sieć i... pozostaje w głębokim przeświadczeniu, iż czytelnik uwierzy, że on, Zbigniew Jankowski, pisze wiersze o „szeroko rozumianym morzu”, i to co najmniej z oceanicznej inspiracji. Tymczasem jest to semantyczna pozorność, w której emblemat morza ma przesłaniać pustkę wielosłownia, cichość beztreściwości. A gdy już zapewniając (wydaje się, że na siłę) liczne arkusze, wkracza autor w rewiry filozoficzne, wychodzi z tego — by już trzymać się „morskiej terminologii” — taka oto kotłownina:

Prawda jest w drodze.
W przelocie.
Dlatego mewa
cała jest wzrokiem,
dziobem (...)
Prawda jest w drodze,
ale nie na drodze prawdy (...)
Prawda jest w drodze
do odkrycia prawdy (...)
(W drodze, s. 225)

Taki utwór można — za pozwoleniem — ciągnąć w najprawdziwszą nieskończoność, dopisując np.: prawda zboczyła z drogi, prawda zmęczona przysiadła, ponownie weszła na drogę, zatoczyła łuk nad morzem, błysnęła w słońcu niczym fruująca ryba, wypadła z drogi, wróciła do punktu wyjścia i rozpoczęła marsz od morza...

Albo:

Wypuściłem tego wilka z siebie
a on
zatoczył morze,
zahuczał falującą sforą (...)
(Poniosło i wilka, s. 206)

Morze jest? — jest. Falowanie
jest? — jest. No to o co chodzi?
I jeszcze:
(—) Tylko zrozum: czarne jest
białym
jeśli do białości chcesz.
Tylko wyrwij stopy z piasku,
nie daj się związać
chwytym brzegom.
(Morze jest każde, s. 92)

I tutaj mamy piasek, są brzegi — a więc utwór — jest morski. Czy to przypadkiem nie ten „wypuszczony z siebie wilk” jest złym autorem doradcą? To chyba on, drapieżnik bezbożny wmawia w autora poczucie niezawinionej wielkości, pewności siebie aż do takiej miary, że ten woła w wierszu S.O.S.:

(...) Patrz, rozdeptują
wszechocean.
(...) Boże, ocal się we mnie.
Ratuj się, kto w siebie wierzy
(S.O.S., s. 190)

W wierszach Zbigniewa Jankowskiego Bóg zapewne nie chciałby się ocalać. Za dużo wody, za mało morza. „W twoją stronę mój wiersz zwraca się, jak chory do słońca i nie może znaleźć dla siebie miejsca” — przyznaje samokrytycznie autor. Bo też i są to zapiski w biegu łapanych myśli. Myśli przyodziejanych w formę prozy poetyckiej, natkanej nieprzylegającymi metaforami. Tylko dlaczego rozbitej w układ stroficzny?

Gdyby jednak wszystko, co obfity tom pomieścił, zechciał autor jeszcze raz przemyśleć, to i owo skoordynować, pogłębić, ściśleć, popracować nad artystyczną formą treści (koniecznie zachowując skuteczność formy językowej i tegoż języka funkcji komunikatywnej), może i wynikłaby z tego czytelna poezja. A tak — używając słów autora — „toczy się wielożądne”. Toniemy w morzu słów, które jak weksle wystawione na rachunek morza są, niestety, bez pokrycia. A szkoda. Morze to temat urokliwy i rzadko w naszej poezji spotykany. W poezji, nie zaś w jej imitacjach.

ZBIGNIEW JANKOWSKI, Żywiół wszelki, Wydawnictwo Morskie, str. 349.



FOT. KRISTYNA
ŁYCYWEK





FOT. KRYSTYNA ŁYCZYWEK

ANALIZY

CZ.II

W utworach nadsyłanych przez wiejskich słuchaczy na konkurs debiutów często pojawia się refleksja o zmianach w stylu życia, obyczajach, o zyskach i stratach, jakie niesie ze sobą „nowe”. „Żyjemy wygodniej, ale czy godniej” — zastanawia się jeden z uczestników konkursu. Rolnik z Rzeszowskiego tak oddaje paradoks współczesności:

Nie stoją przy żarnach, nie młócą cepami,
Nie rzną trocnią piłą, nie koszą sierpami.
Nie miedlą, nie przędą, zgrzebnego nie tkają,
Nie robią oleju, kasz nie omielają,
Nie tłuką też w stębach, spodni nie latają.
I tak wszyscy mówią, że czasu nie mają.

Ballada o skrzywdzonym dziadku, czyli o nierównym podziale praw i obowiązków w rodzinach wiejskich stała się już chyba ogólnopolską własnością. Zanim nadesłał ją gawędziarz spod Wrocławia, śpiewały o dziadku gospodynie z Kobylanki k/Stargardu. Zwiali z gospodarstwa Kasia, Jaś

i Władek,
uciekli do miasta, został tylko dziadek.
Jaś został magistrem, mecenasem Władek,
inżynierem Kasia, a rolnikiem dziadek.
Jasio ma wilczurą, doga trzyma Władek,
pekińczyka Kasia, świnię trzyma dziadek.
Jasio śpi za biurkiem, krótko robi

Władek,
sześć godzin Kasieńka, a szesnaście dziadek

I tak aż do ostatniego podziału:
Jaś było, dom Kasia, pole dostał Władek,
od grabarza łopatą w tyłek dostał dziadek.

Siedemnastoletni młodzieniec z Opolskiego ujmuje zmiany na wsi w innych kategoriach.

Dzwonią dzwony, mosty dudnią,
Nie od kopyt naszych koni,
Nie od wozów drabiniastych,
Lecz od maszyn naszych własnych.

Obok wierszowanej publicystyki najliczniej reprezentowana była w radiowym konkursie poezja opisowa.

J. S. Bystron w przedwojennym wydaniu „Polskiej pieśni ludowej” przypomniał, że urok, jaki ma dla nas przyroda w pieśni ludowej, leży wyłącznie w naszym odczuciu, nie w intencji śpiewaka. Nie mamy tam nigdzie prawidłowego rozwinięcia krajobrazu.

Typowa prymitywna poezja ludowa jest poezją bez pejzażu. Współczesny badacz folkloru Czesław Hernas pisze, iż motywy krajobrazowe w tej twórczości mają walor ornamentu albo są znakami do rozszyfrowania w katalogach symboliki formuł. Poezja ludowa jest formułowaniem sądu nie według tego, co widzi oko poety, ale według uniwersalnego porządku, jaki z tradycji kulturowej dziedziczy jego pamięć. Motywy przyrodnicze nie mają samodzielnej funkcji estetycznej. Opis natury jest konwencjonalny, posługuje się pewnymi stałymi obrazami (np.

szumiała leszczyna — płakała dziewczyna), gołąb nie da się zastąpić kukułką bez zmiany symboliki.

W nadesłanych tekstach nie ma wyraźnego nawiązania do naiwnej topiki folkloru. Jedynie traktowanie rodzinnej miejscowości jako środka świata można odnieść do starego leksykonu formuł, ale równie dobrze uzasadnia tę postawę naturalny patriotyzm regionalny, podsycany przez Bank Gmin.

Pachwała Dębina, którą przysłała słuchaczka z woj. katowickiego to dowód żywotności wzoru Wincentego Pola („Pieśni Janusza”)

Gdzie jest taki lazur nieba
Gdzie tak śpiewnie szumią drzewa
Gdzie śmiejące wstaje słońce
Gdzie skowronki są tańczące
W jednej tylko miejscowości
Są te cuda i śliczności.

Ale już pochwała Tenczynka ma raczej charakter turystycznej reklamy.

Jest masarnia i piekarnia, wszystkim
znana owocarnia.

U nas ludzie dłużej żyją, bo tenczyńskie
wino pija.

Piją wino i kompoty, więc mają
chęć do roboty.

Na podstawie zgromadzonych w konkursie tekstów można powiedzieć, że rodzi się nowa formuła folkloru, która obejmuje różne przejawy kultury masowej, także slogan gazetowy, czy stereotyp upowszechniony przez TV.

Nawet górale, zamiast o kiedelach i smukłych kozicach, piszą tak, jakby poraziła ich propaganda sukcesu. Oto fragment dziełka o budowie Nowotarckich Zakładów Obuwniczych.

Idzie drogą Juhas z bacą,
prowadzą rozmowę,

Że im dawniej ciężko było, przyszły
czasy nowe.

Kombinat od fundamentów do góry
wyrasta,

Aby w buty zaopatrzyć
wsie polskie i miasta.

Choć były to czasy Fibaka, słuchaczka z łomżyńskiego poświęciła cały poemat drużynie piłkarskiej, „bo w piłce nożnej Polska potęgą”. Każdy z wielkich otrzymał mały portrecik, ale najwięcej kunsztu i zgola nieludowej metaforyki odnajdujemy w strofach poświęconych Tomaszewskiemu.

Po indiańsku — z opaską lub bez niej

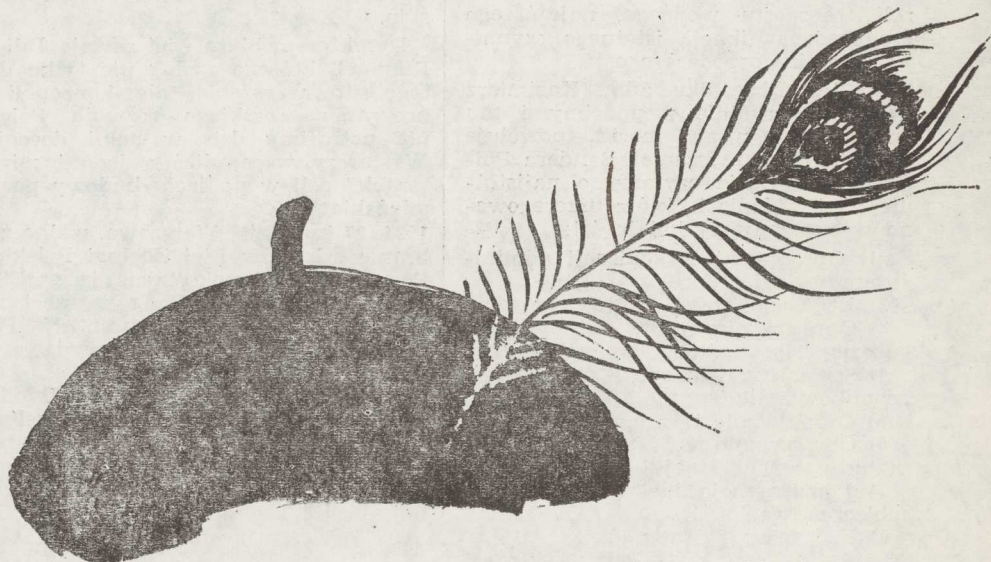
uczesanie zmienia
wódz polski sławny
piłkarskiego plemienia.
Za piłką nura daje
jak szczupak w wodę
nie zważając nawet
na swą urodę.
Prezentuje się z piłką
w bramce
jak dama z łasiczką
na portrecie w ramce.

W ostatniej zwrotce poematu autorka stawia kropkę nad „i”.

Każdy chyba to przyzna
że przyczyną snów moich
jest telewizja.

Strach pomyśleć, jakie spustoszenie sięją w gospodarstwach wiejskich środki przekazu. Słuchaczka z lubelskiego zaniepokoiła autorki radiowej audycji takim oto panegirikiem:

Gdy w świąteczny ranek
w radio kur zapieje
Wy nie wiecie co się
wtedy w domach dzieje.
Krowy ryczą, świnię kwiczą,
Gospodarze Was słuchają.
Gdy się skończy audycja,
Biegiem obrządzają.



MARCIN KORECKI LIGA MORSKA



W uchwale II Kongresu Kultury Morskiej (Gdynia 1980 r.) czytamy: „II Kongres (...) stwierdza społeczną potrzebę powołania Ligi Morskiej — powszechnej ogólnopolskiej organizacji mającej na celu kształtowanie w społeczeństwie polskim świadomości morskiej, jako istotnego składnika bytu narodowego. Zważywszy, że powołanie takiej organizacji jest sprawą pilną uczestnicy Kongresu uznają się za Komitet Założycielski Ligi Morskiej i wylaniają Komitet Organizacyjny, upoważniając go jednocześnie do opracowania założeń programowych i statutu celem przedłożenia władzom rejestracyjnym PRL”.

A więc Liga Morska znów działa. Warto więc przypomnieć kilka faktów z jej dziejów, wskazać na najistotniejsze przedsięwzięcia. Być może po zapoznaniu się z nimi, z wolą kontynuowania tej działalności, do Komitetów Założycielskich zgłoszą się, jak przed laty, setki i tysiące sympatyków morza oraz ludzi doceniających potrzebę większego niż dotychczas rozwijania gospodarki morskiej.

1906. W Królestwie Polskim, na przełomie stuleci, działa Centralne Towarzystwo Przemysłowców z siedzibą w Warszawie. Zostaje utworzony Oddział Towarzystwa Żeglugowego. Program przewidywał gruntowne zajęcie się układem wód śródlądowych Królestwa oraz powiązaniem ich z rzekami rosyjskimi. Koncepcje te nigdy nie zostały zaaprobowane przez zaborców. Ograniczono się do sporządzania opracowań, memoriałów i prac teoretycznych. Wszystko to świadczy o zrozumieniu roli transportu wodnego, najtańszego środka komunikacji, istotnego czynnika rozwoju gospodarczego.

1918. 1 października adm. Kazimierz Porębski, wspólnie z podobnymi mu entuzjastami spraw morza, powołuje do życia Stowarzyszenie „Bandera Polska”. W statucie czytamy o najistotniejszych zadaniach, które uszeregowano w następującej kolejności:

- „1) Opracowanie organizacji administracji żeglugi i portów,
- 2) Regulacja rzek i budowa portów,
- 3) Opracowanie typów statków, najbardziej odpowiednich dla rzek Polski,
- 4) Szkolnictwo zawodowe wśród pracowników żeglugi,
- 5) Opracowanie terminologii,
- 6) Opracowanie statystyk o ruchu w żegludze wewnętrznej i zewnętrznej,
- 7) Popularyzacja idei żeglugi wśród społeczeństwa.”

Opracowano także plan przejścia i zagospodarowania sprzętu, urządzeń, słowem wszystkiego, co wiązało się z żegluga śródlądową. Chodziło o uniemożliwienie zaborcom zniszczenia lub pozbawienia, gospodarczo osłabionego kraju, majątku morskiego.

Kolejnym zadaniem było zagospodarowanie wybrzeża i odzyskanie Gdańska. I znów rozpoczęto od dokumentacji, która w latach późniejszych stała się podstawą planów szczegółowych. Stowarzyszenie wydawało pismo o nazwie „Bandera Polska”.

1919. W maju Stowarzyszenie przekształcono w Ligę Żeglugi Polskiej. Do programu poprzedniczki dopisano takie sprawy, jak działalność na rzecz rozwoju marynarki wojennej, handlowej, transportu i handlu morskiego, a także szkolnictwa morskiego.

1920. Liga przerywa swoją dotychczasową działalność. Wojna ze Związkiem Radzieckim angażuje wszystkich jej członków. Organizuje więc biura werbunkowe i prowadzi kursy sanitariuszy.

1921. W opublikowanej odezwie Ligi Żeglugi Polskiej czytamy m. in.: „Morze jest jedynym ośrodkiem życia dziesiątków milionów ludzi. Każdy statek polski — to nowa ziemia polska, to nowy warsztat pracy, to nowy skarb Narodu”. Liga liczy ponad 20 tys.

1922. Liga Żeglugi Polskiej organizuje pierwsze regaty na Gdyniejskiej Redzie. Coraz częściej odbywają się odczyty i spotkania; wykorzystuje się pierwsze materiały filmowe i fotograficzne. Organizowane są pierwsze wycieczki morskie.

Dyrektorem biura Ligi zostaje Julian Rummel, którego zasług nie tylko dla tego stowarzyszenia, ale koncepcji i programu morskiego rozwoju Polski nie potrafimy dziś w pełni docenić. Wystarczy wspomnieć o jego inspiratorskiej roli w podjęciu budowy portu gdyniejskiego.

1924. 27 kwietnia, Warszawa, walne zebranie członków Ligi Żeglugi Polskiej. Postanowiono przekształcić ją w Ligę Morską i Rzeczną. Po raz trzeci na czele tego ruchu staje adm. K. Porębski. Liga rozpoczyna wydawanie swojego pisma pt.: „Morze”.

1925. Zorganizowano „Tydzień Bandery”, akcję społeczną, której celem, obok popularyzowania spraw morza, było zebranie funduszy na budowę statku szkolnego dla marynarki wojennej.

● W rocznicę wyzwolenia Pomorza Zachodniego wojewoda szczeciński przyznał nagrody zasłużonym pracownikom kultury i nauki. Otrzymali je: prof. dr hab. Saturnin Borowiec — za prace badawcze w dziedzinie rolnictwa i wpływu obiektów przemysłowych na środowisko człowieka, Tomasz Burasiewicz — za osiągnięcia w dziedzinie malarstwa i grafiki, Władysław Daniszewski — za publicystykę morską, prof. dr Marek Eisner — za wkład w rozwój Kliniki Endokrynologii i Chorób Przemiany Materii, Jerzy Ern — za kreacje aktorskie, Zbigniew Kosiorowski — za działalność w ruchu regionalnym i za kierowanie pracą red. „Morza i Ziemi”, Danuta Kret — za popularyzację problemów nauki i oświaty w „Głosie Szczecińskim”, Helena Raszka — za twórczość poetycką, doc. dr hab. Zygmunt Silski — za planowanie regionalne, Danuta Szydłowska — za inicjatywy i upowszechnianie kultury, redakcja „Kurierza Szczecińskiego” — za inicjatywy społeczne i kulturalne, Szczecińskie Towarzystwo Naukowe — za rozwój nauk humanistycznych i technicznych, Okręg Szczeciński Związku Polskich Artystów Plastyków — za inicjatywy społeczne i twórcze w upowszechnianiu sztuki, Zespół Architektów Stoczni Szczecińskiej im. A. Warskiego — za działalność projektową i wystroje

1927. Członkowie Ligi, autorytety w sprawach morskich, są konsultantami rządowych projektów rozwoju gospodarki morskiej. W pracach tych uczestniczą już wychowankowie poprzedniczek Ligi Morskiej i Recznej.

1928. Powstaje przy Lidze „Związek Pionierów Kolonialnych”. W październiku na I Walnym Zjeździe Delegatów Ligi w Katowicach przyjęto program kolonialny.

1930. Na zjeździe w Gdyni powołana zostaje do życia Liga Morska i Kolonialna. Do programu włączono zagadnienia o charakterze politycznym. Lata trzydzieste to okres antypolskiej propagandy w Niemczech, to spór o tzw. korytarz Pomorski. Powracają więc w pracy propagandowej Ligi akcenty historycznego prawa Polski do bałtyckiego brzegu, roli morza w życiu kraju, znaczenia dla jego przyszłości. Organ prasowy Ligi, „Morze”, ukazuje się w coraz większych nakładach. Wraście zapotrzebowanie na informacje i opracowania publicystyczne dotyczące spraw morskich. Przy Lidze, w 1931 roku, zostaje powołany Instytut Wydawniczy, którego dorobek ocenia się dziś na ponad trzysta tytułów.

1932. Zorganizowano pierwsze w Polsce Święto Morza.

1934. Rząd zgadza się na podjęcie przez Ligę zbiórki pieniędzy na Fundusz Obrony Morskiej. Miesięcznik „Morze” przekracza nakład 130 tys. Powstają dwa nowe czasopisma. Obok zbiórki pieniędzy na budowę okrętów wojennych Liga dokonuje pierwszych zakupów ziemi, głównie w Brazylii (ok. 7 tys. hektarów w stanie Parana). Plany kolonizacyjne skierowane są również na kontynent afrykański. Liga nawiązuje kontakty i czyni ustalenia z Rządem Liberii. Rozwija się wychowanie morskie. Z obozów żeglarskich Ligi, m. in. nad jeziorem Narocz, skorzystało 10 tys. osób. Zorganizowano także 20 specjalnych „Pociągów do Gdyni”.

LATA NASTĘPNE. Idee Ligi Morskiej i Kolonialnej są już czymś tak powszechnym w Polsce, że trudno sobie wyobrazić w końcu lat trzydziestych jakąkolwiek imprezę czy społeczną ak-

morze i ziemia

KRONIKA

wnętrz statków, Zespół Realizatorów Opery „Straszny Dwór” — za realizację polskiej opery narodowej w Teatrze Muzycznym w Szczecinie.

● Ryszard Liskowacki został laureatem konkursów: „Książki i Wiedzy” za opowiadania o tematyce ruchu robotniczego oraz Teatru w Sosnowcu za sztukę dramatyczną „Prognoza pogody na jutro”.

● W Szczecinie otwarto filię warszawskiego Czechosłowackiego Ośrodka Kultury i Informacji.

● Kazimierz Jaworski za książkę pt. „11.40 GMT Newport” otrzymał literacką nagrodę im. J. Conrada, przyznaną przez Związek Zawodowy Marynarzy i Portowców.

cję bez członków tej organizacji. Wielki entuzjazm i gotowość „pracy bezinteresownej” kilku zapaleńców, którzy jeszcze przed pierwszą wojną światową zdążyli „morzami ku Polsce”, zrodził ruch skupiający w końcu lat trzydziestych milion Polaków.

Jednym z największych osiągnięć Ligi jest Gdynia, a najcenniejszym — wykształcenie świadomości roli spraw morskich w życiu społecznym, gospodarczym i intelektualnym narodów.

Wojna 1939 roku przerywa działalność organizacji. Jednak w 1945 roku niemal na linii frontu, na odzyskanych terenach pojawiają się działacze Ligi, zakładają koła, powołują okręgi. Program nawiązuje do najlepszych doświadczeń dwudziestolecia międzywojennego.

1945. Pierwsze wzmianki o działalności Ligi Morskiej na terenie Szczecina pojawiają się w dokumentach z czerwca. Ponieważ władze miasta muszą na kilka miesięcy opuścić Szczecin i działają w Koszalinie, Zarząd Okręgu Ligi Morskiej nawiązuje współpracę z tamtejszymi działaczami. W styczniu 1946 roku, po powrocie do Szczecina, zostaje przejęty, wcześniej zarezerwowany, gmach przy ul. Mariana Buczka 7. Od tej chwili rozpoczyna się działalność, w której tyle sukcesów, co chwil wątpliwości. Poważne kłopoty organizacyjne, brak instruktorów, dotacji, sprzętu, przystani itp., stwarza szereg trudności, uniemożliwia prowadzenie akcji propagandowych, wychowawczych i szkoleniowych.

1946. W prasie pierwsze informacje o działalności Ligi Morskiej w Szczecinie. W piśmie „Szczecin” stała rubryka „Wiadomości Ligi Morskiej Okręgu Szczecińskiego”. Liczba członków szacowana jest na 14 000 osób.

Organizowane są pierwsze kursy żeglarskie. Młodzi entuzjaści morza mają do dyspozycji 11 kajaków i kilka jachtów, które wymagają napraw i konserwacji. Kosztem 200 tys. zł remontowana jest siedziba Ligi Morskiej. Zarząd podejmuje próbę uruchomienia własnego schroniska oraz Morskiego

Klubu Literacko-Artystycznego. Ze sprawozdania finansowego za rok 1946 wynika, że wydatki Ligi Morskiej zostały w całości pokryte przychodami na sumę 277 tys. zł.

1947. W Okręgu Szczecińskim zarejestrowanych jest 25 obwodów, 83 oddziały, 49 kół szkolnych, łącznie 16 311 członków. Wszystkie obwody, za wyjątkiem Choszczyna, zorganizowały uroczyste obchody „Święta Morza”. Były one połączone — m. in. — z otwarciem Domu Ligi Morskiej w Szczecinku i Kołobrzegu, poświęceniem przystani i sprzętu Jacht-Clubu „Gryf” w Koszalinie, Kamieniu Pomorskim i Dębnie.

W ciągu całego roku członkowie Ligi Morskiej wyremontowali 26 jachtów. Zakupiono też nowy sprzęt za milion złotych. Pieniądze te zdobyli pracą społeczną młodzi żeglarze. Z Jeziora Dąbie wydobyto zatopiony tam kecz o powierzchni żagli 200 m². Objęto opieką i przystąpiono do remontu czterech ośrodków rekreacyjnych, po dwa w Międzyzdrojach i Międzywodziu.

1949. Szczecińska Liga Morska zrzesza 11 004 członków. W jednym ze sprawozdań czytamy: „Do największych trudności organizacyjnych należy brak głębokiego zainteresowania działalnością Ligi Morskiej przedstawicieli władz miejskich oraz brak jakichkolwiek subwencji... (—) Ogólnie działalność organizacyjną należy ocenić jako dostateczną”.

Mimo trudności wewnętrznych zarząd podejmował wiele inicjatyw i akcji. W dzielnicach przyportowych organizowano koncerty solistów i orkiestry PR oraz projekcje filmów o tematyce morskiej. Zorganizowano 2 wycieczki statkiem do Międzyzdrojów. Liga patronowała akcji ufundowania przez społeczeństwo Szczecina sztandaru Państwowej Szkoły Morskiej. Z okazji Nowego Roku przygotowano dla marynarzy i rybaków prezenty, których wartość przekroczyła kwotę 80 tys. zł. Zwiększa się ilość sprzętu pływającego. Przybyło 8 łodzi typu P-7, 4 jachty kilowe, motorówka (bez silnika). Kontynuowano remont kilku innych jednostek i łodzi.

Rozpoczęły działalność ośrodki turystyczne Ligi Morskiej w Gołecinie, w Międzyzdrojach i Kołobrzegu. Na kwietniowym zjeździe Polskiego Związku Zachodniego i Ligi Morskiej powstaje nowa „Liga Morska”, która w swym programie nawiązuje do radzieckiego „Dosflotu” i staje się organizacją paramilitarną. Jej podstawym zadaniem jest teraz przygotowanie kadr dla wszystkich zawodów morskich, z Marynarką Wojenną włącznie.

1951. Najważniejszym dokumentem z tego roku jest obszerny memoriał do Zarządu Ligi Morskiej. Rzecz dotyczyła finansowania przedsięwzięć Okręgu Szczecińskiego. Otóż w porozumieniu z centralą, po otrzymaniu zapewnień o dofinansowaniu, przystąpiono do remontu jachtów, ośrodków sportowo-rekreacyjnych, organizacji świetlicy żeglarskiej i rozwijania modelarni. Po wykonaniu części prac i przy zaangażowaniu innych, Zarząd Główny wycofuje się z pomocy finansowej. Trzeba więc tradycyjnymi sposobami zdobywać pieniądze (potrzeba kilkanaście milionów złotych). Jaki był finał tej

sprawy, trudno dziś powiedzieć. W dokumentach brak informacji.

Liga Morska w dalszym ciągu przechodzi proces reorganizacji. „Musimy zwiększyć współpracę z Ligą Przyjaciół Żołnierza i Ligą Lotniczą”. Nowym rzecznikiem programu Ligi Morskiej staje się Polskie Radio. Nadawane są w programie lokalnym i ogólnopolskim audycje o pracach Ligi. W sprawozdaniu za 1951 rok czytamy, że „Celem naszej organizacji jest — podobnie jak to ma miejsce w Związku Radzieckim — stwarzanie społecznego zaplecza dla naszej Wojennej Marynarki Ludowej”.

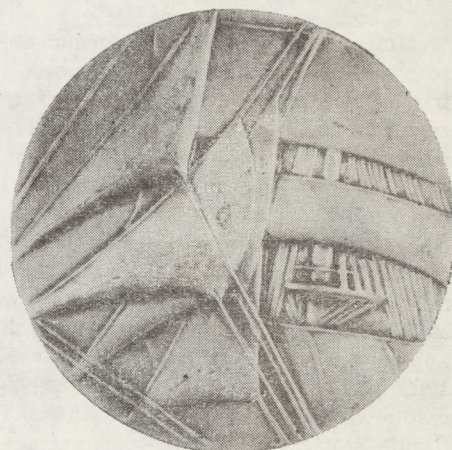
Zmiany programu działania i założeń organizacji powodują, że liczba członków Ligi spada do 4183 osób. Z dzisiejszego punktu widzenia, integracji i rozwojowi nie sprzyjały coraz częściej sporządzane „...analizy składu politycznego Zarządów Kół i Oddziałów”.

1952. To praktycznie rzecz biorąc ostatni rok działalności Ligi Morskiej. Tyle dokumenty, które są przechowywane w Wojewódzkim Archiwum Państwowym w Szczecinie. Brak informacji o sposobie i okolicznościach rozwiązania Ligi Morskiej.

Od Redakcji i Zachodnio-Pomorskiego Okręgu Ligi Morskiej

Kwartalnik „Morze i Ziemia”, poczynawszy od tego numeru, udostępnia swoje łamy Lidze Morskiej i zaprasza do współpracy w redagowaniu pisma wszystkich sympatyków tego społecznego ruchu. Obok informowania o pracach Ligi pragniemy publikować materiały o charakterze publicystycznym, literackim, poetyckim, reprodukować prace plastyków i fotografików, organizować konkursy literackie i plenery, drukować opracowania socjologów, naukowców, działaczy kultury. Pragniemy dać świadectwo morskiej świadomości Polaków i ją pogłębiać. Prezentowane na naszych łamach materiały winny mieć charakter popularyzatorski, wręcz instruktażowy dla kół Ligi Morskiej. Muszą pomagać im w pracy, a jednocześnie być podstawą do społecznego sprawdzania naszej morskiej wiedzy i stanu uczuć.

Z A T E M: każde koło Ligi Morskiej, każdy jej członek jest prenumeratorem i korespondentem kwartalnika „Morze i Ziemia”. Adres: Wydział Informacyjny i Propagandowy Zachodnio-Pomorskiego Okręgu Ligi Morskiej: 71-410 Szczecin, ul. Niedziałkowskiego 24, tel. 23-00-51 (centrala), 22-38-28, 22-10-79.





STANISŁAW ZAJĄCZEK

z cyklu WERSJE

Wersja z myszą

Góra stękała całą noc. Nad ranem pękła u podstawy i urodziła mysz. Mysz uciekła przed siebie przerażona, wydając świdrujący, na granicy słyszalności pisk. Kiedy wracała z drugiej strony Ziemi, nie było nikogo. Wszyscy umarli. Od tego pisku.

Wersja o pomysle

Wymarsz odbywał się w należytym porządku. Wychodziliśmy zwartymi kolumnami, dom po domu; można było zabrać najkonieczniejsze rzeczy. Pomocy udzielała służba porządkowa. Pielęgniarki prowadziły paralityków, a na skrzyżowaniach rozdzielały zimne napoje. Późnym wieczorem dotarliśmy na miejsce, nad Doliną wzbijał się kurz i słychać było szum milionów rozmów. Ale — było to zagadkowe — wszyscy się jakoś pomieścili. Okazało się, że już zbyt ciemno, należało czekać. Ogniska prędko pogasły około północy niemal wszyscy już spali.

Rano porządkowi poinformowali, że sytuacja nieco się skomplikowała i trzeba będzie poczekać. Dojadaliśmy zapasy. Nazajutrz zorganizowano pierwsze wyprawy po jedzenie. Z dnia na dzień wszyscy stawali się coraz mniej niecierpliwi. Kobiety rodziły dzieci, odgrodzono cmentarz murkien z kamieni. Grupa silnych mężczyzn zawładnęła strumieniem na środku Doliny i w zamian za wodę żądała najładniejszych kobiet. Jednak po paru dniach zauważyli, że to nudne. Kiedy zniknęli porządkowi, wybrano straż obywatelską i radę starszych.

Któregoś dnia grupa wysłana po jedzenie wróciła z wiadomością, że padliśmy ofiarą pomyłki. Wejście jest w sąsiedniej Dolinie, od wielu dni zresztą nieczynne. Rozważano czy jednak nie spróbować. Ale nikt nie podnosił się z miejsca.

Byliśmy zadowoleni.

Wersja o Jasiu, który zepsuł wszystko

Kiedy dostaliśmy wezwanie z datą i miejscem uszczęśliwienia, byli tacy, którym pomysł wydawał się nieco przesadny. Twierdzono też, że jest niewykonalny technicznie, obawiano się rewolucji wywołanej długim czekaniem w kolejce.

Ale gdy nadeszła oczekiwana data wszyscy poczuli się lepiej. Banki przestały molestować dłużników. Pociągi jeździły punktualnie, zresztą nikt nie używał zegarków. Przestano szczepić psy przeciw wściekliznie i dzieci przeciw wszystkim chorobom; jedne i drugie robiły się inteligentniejsze i miłsze w pożyciu. Nieszczęśliwy staruszek, który od lat zalegał ze składkami w Związku Rencistów zauważył, że zarząd zajmuje się wreszcie i jego problemami. Ogłoszono całkowite rozbrownienie.

Wreszcie nadszedł dzień realizacji ostatniego etapu projektu. Wyruszano zwartymi kolumnami, śpiewając pieśni społecznie pożyteczne, utrzymane w radosnych rytmach parzystych. Pozostali w mieście policjanci sprawdzali czy wszystko jest dobrze pozamykane. Na łące za miastem, w czterech okienkach, wydawano odpowiednie talony. Ze

względu na zasady demokracji wszyscy mieli możliwość wyboru.

Można było umierać: za miłość człowieka do człowieka, uświadomioną konieczność lub kalendarz gregoriański. Także Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami miało swoje przedstawicielstwo. Nie pozwolono jednak kilku ekscentrykom umierać za nic.

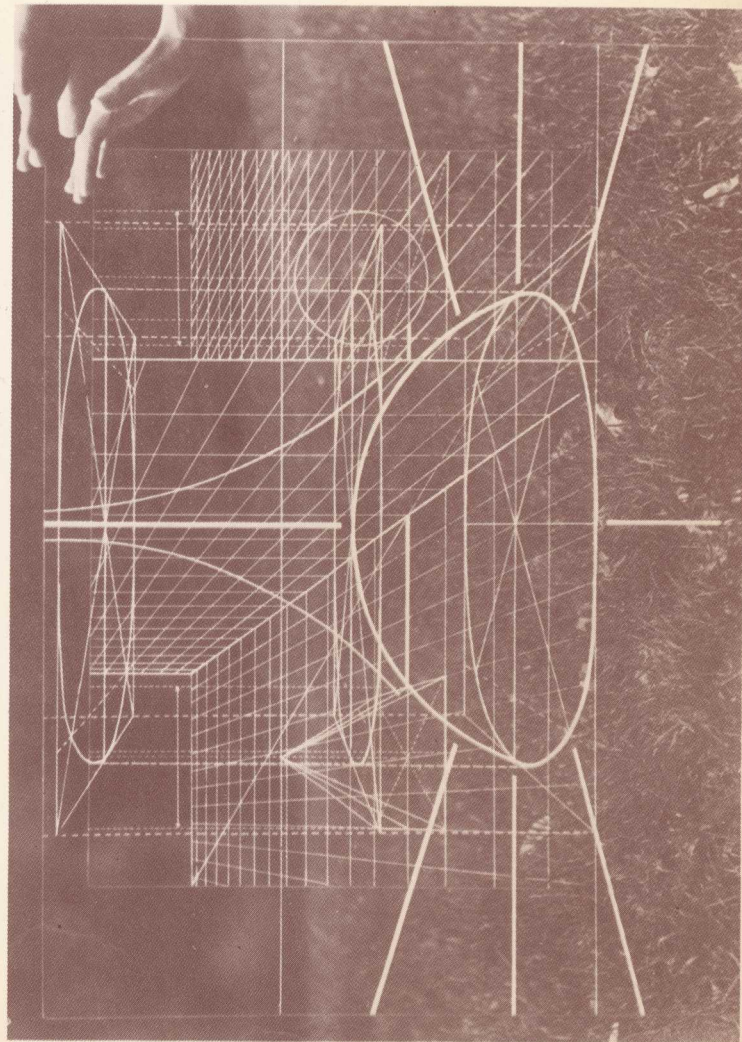
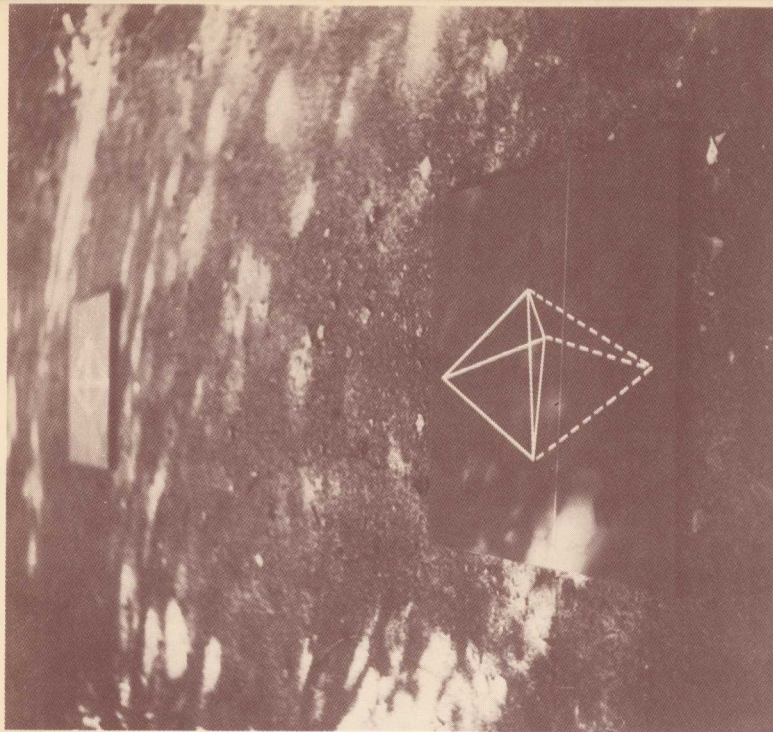
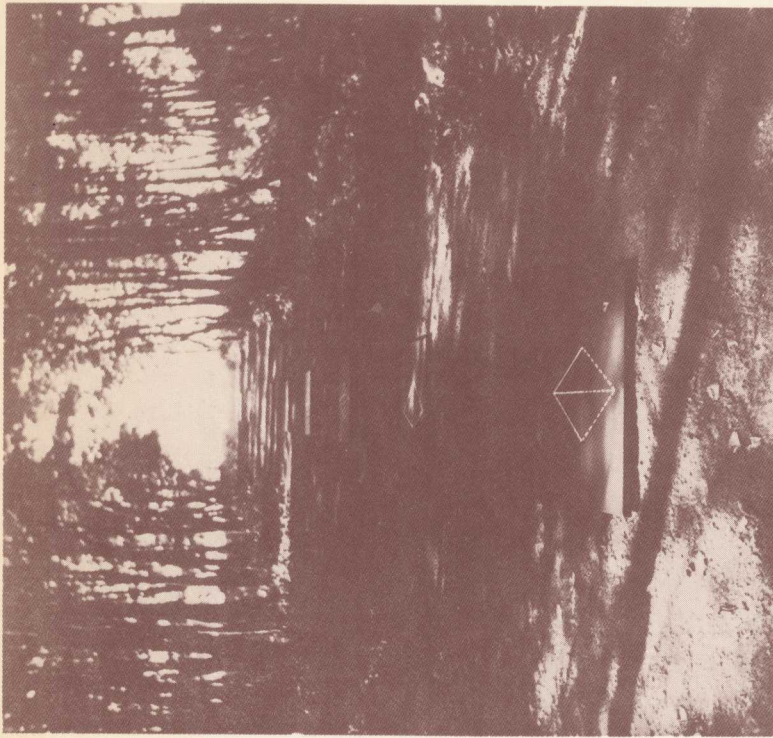
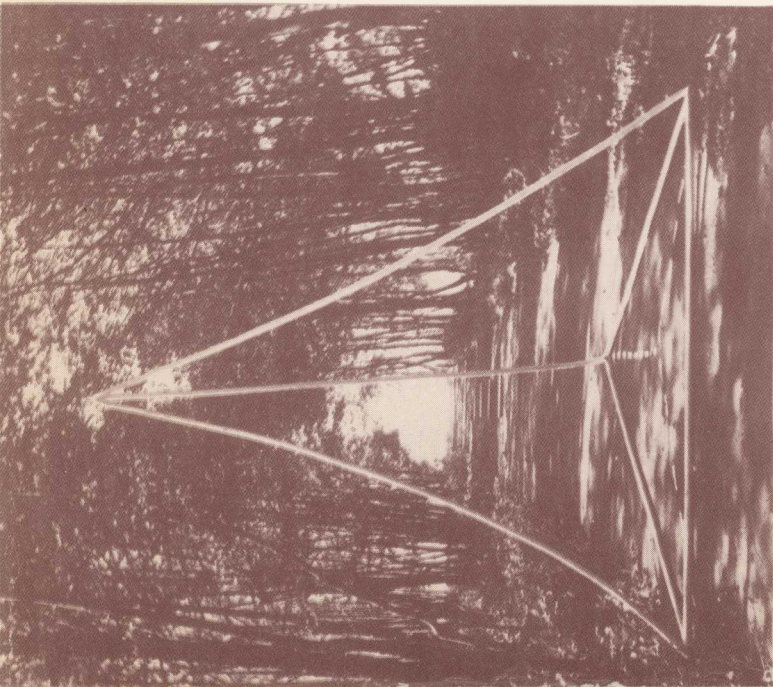
Powoli formowały się kolejki. Rodziny zabierały się do drugiego śniadania. Zwarte formacje wojskowe wykonywały odpowiednie utwory wokalne. Sierotki w białych ubrankach rozsiewały wokół płatki róż. Wreszcie zagrała orkiestra i przecięto wstęgi do okienek. I wtedy przybiegli dwaj policjanci, ciągnąc za uszy głupiego Jasia, który siadywał zwykle w mieście koło studni. Jasio jękał się bardziej niż zwykle, ale o ile można go było zrozumieć, nie chciał umierać ani za kalendarz gregoriański, ani za konieczność uświadomioną, ani za miłość międzyludzką. Znając awersję Jasia do kotów, z tej możliwości zrezygnowano z góry.

Gdyby zawsze jeden głupi miał wszystko popsuć, nigdy do niczego byśmy nie doszli. Toteż mężczyźni szybko zrobili z nim porządek i rozdeptali Jasia bardzo dokładnie.

Orkiestra stanęła na wysokości zadania i grała piękniej niż zazwyczaj. Korzystając z krótkiej przerwy, kobiety związały koce i zbierały papierki z trawy.

Toteż po rozdeptaniu Jasia nie było już nic do roboty, można było spokojnie wracać do domów.

I znów trzeba było wszystko zacząć od początku.



CENA ZŁ 40,—

